# W polskiej dżungli

Rozdział I.

## NOC NAD JEZIOREM.

Cisza nocna zalegała całą okolicę. Czarne szuwary spały nad nieruchomą tonią jeziora. Bujne olchy znużone skwarem dziennym zwieszały gałęzie nad czarnem jego zwierciadłem. Trochę dalej od brzegu, na piaszczystej grzędzie, niby mur niezdobyty, stał zwarty w ścieśnionych szeregach bór sosnowy. Gwiazdy przeglądały się w wodzie, a księżyc, sunąc po niebie, kreślił na rozlewisku jeziornem szeroką, srebrną drogę.

Wszystko usnęło dokoła. Tylko od czasu do czasu rozlegał się krótki, urywany rechot żab; gdzieś w sitowiu pluskał drapieżny szczupak, wpadając na sennego lina. Po chwili odgłosy te milkły i zapadała niczem już niezmącona cisza. Wszystko wokół pozostawało bez ruchu i tylko księżyc niepowstrzymanie odbywał swój niezmienny bieg, jakgdyby zapatrzony w ziemię — jej towarzysz wierny i stróż nocny.

Do świtu pozostawało jeszcze dwie godziny, gdy na północnym brzegu jeziora z lekkim szelestem rozstąpiły się wysokie trzciny i dwa chyże cienie bez plusku zanurzyły się w wodzie. Zwinęły się i pogrążyły liście lilij wodnych, a dwie fale, rozbiegające się coraz szerzej i dalej, poczęły marszczyć nieruchomą wodę, aż rozkołysały ścianę sitowia i sztywne pędy traw przybrzeżnych.

Nad tonią wystawały dwie głowy o płonących ślepiach i czujnie nastawionych uszach.

Dwa wilki przepływały jezioro, z cichem chrapaniem wciągając wilgotne powietrze.

Dopłynąwszy do przeciwległego brzegu, wsunęły się do haszczy i jęły skradać się, jak ledwie dostrzegalne zjawy. W zbitym i skłębionym gąszczu wiklin i wysokich traw błyskały czerwonemi ognikami „lampy“ wilcze. Basiury[1] przedzierały się, węsząc tuż-tuż przy ziemi, aż stanęły, wytknąwszy łby ponad gmatwaninę krzaków, tataraku i burych, suchych zielsk.

Czujne chrapy ich pochwyciły natychmiast cieplejszy powiew, nasycony dymem smolnym. Przed nocą jeszcze zaniepokoił wilki ten zapach palącego się drzewa. Stare „basiury“ znały go nie od dziś. Pamiętały, że każdej jesieni ludzie „puszczali pał“, a wtedy płomienie szalały wszędzie po bajorach na topielisku, pożerając suche trawy i trzciny, gdzie szare drapieżniki miały swe legowiska.

Wilczury postanowiły zbadać, skąd to niewidzialne prądy powietrzne przynoszą pochwytywane chrapami strugi dymu — groźnej zapowiedzi ucieczki bezładnej lub zagłady.

Czołgając się na brzuchach, wypełzły z haszczy i sunęły bez szelestu po

otwartej łące, przyciskając się do ziemi i kryjąc w trawie świecące się ślepie.
Dotarłszy do szczytu pagórka, węszyły i wzrokiem przebijały mrok nocny, zwodniczy, zmieniający kształty przedmiotów i odległość między niemi.
Wśród młodej porośli olszowej, koło pnia wysokiej, starej sosny, po przez krzaki połyskiwało czerwoną plamą dogasające już ognisko. Bystre ślepia wilcze rozejrzały szkarłatne i niebieskie wężyki, biegające chyżo po węglach, węchem pochwyciły gorzki, smolny dym tlejących gałęzi sosnowych i jeszcze czegoś, od czego trwoga zakradła się do serc zuchwałych drapieżców.
Jeden z nich, przywarłszy do ziemi, zaczął pełznąć dalej, gdy nagle rozedrgał się urwany skowyt, a po chwili cienkie, pełne przerażenia szczekanie małego pieska niby batem smagnęło senną ciszę.
Chybkie cienie wilków zamajaczyły na zboczu pagórka i, wpadłszy do haszczy, zaczaiły się, rozdymając chrapy i strzygąc uszami.
Piesek szczekał coraz przeraźliwiej, skowytał i chwilami wył — trwożnie i przeciągle. Wilki kłapnęły kłami i, truchtem dobiegłszy do jeziora, weszły do wody. Po chwili oddalały się już, szybko płynąc wśród zanurzających się nagle liści grążeli i ślizkich, prężnych ich pędów.
— Burek! Coś ty tam zwęszył, piesku? — odezwał się nagle młody, nieco zaspany głos.
Chociaż pytanie to wypowiedziane było cicho, jednak ten obcy milczącej nocy dźwięk wdarł się w nieruchomy, jakgdyby ciężki mrok i potoczył się nad rozlewiskiem jeziora. Posłyszały go wilki i już w popłochu, prychając głośno, zdążały do brzegu, aby ukryć się w haszczach.
Z zarośli olszowych wyszedł wysoki, barczysty, zapewne szesnastoletni chłopak i stanął na zboczu pagórka, rozglądając się wokół i nadsłuchując. Piesek umilkł i tulił się do nóg stojącego chłopca. Żaden dźwięk nie mącił teraz ciszy, bo nawet puhacz, czując bliski świt, zaszył się gdzieś do dziupli. Nad wodą wykwitły już pierwsze smugi mgły i snuły się nad trzcinami.
— Co cię tak zaniepokoiło, mały kundlu? — szepnął chłopak, podnosząc mordkę pieska i zaglądając w jego bystre, mądre ślepie.
Jakgdyby zrozumiawszy pytanie, Burek z wściekłem szczekaniem pomknął ku zaroślom nadbrzeżnym i znikł w nich.
— Panoczku, hej, panoczku! — dobiegł cichy okrzyk z gąszczu olszyn.
— Chodźcie-no tu, Wasyl — odpowiedział chłopiec, z niepokojem wsłuchując się w coraz wścieklejsze szczekanie i skowyt Burka.
Wkrótce podbiegł do niego młody Poleszuk i spytał:
— Cóż to? Nie śpi się wam, paniczu?
Dowiedziawszy się, że Burek zbudził chłopaka i ujadaniem wyciągnął go z pod ciepłego koca, Wasyl uśmiechnął się i mruknął:
— E! Nic to! Zwykła to u nas rzecz... Pies zwęszył wilki, no i wiadomo — „brecha“...[2] Idźcie spać, panoczku, a ja dorzucę drzewa na węgle...
Urwał i uniósł głowę. Gdzieś wysoko z cichym gwizdaniem i sykiem przeleciały jakieś ptaki — niewidzialne na tle ciemnego nieba i po chwili z pluskiem spadły na wodę.
— Kaczki zaczynają przeloty... — mruknął Poleszuk. — Tylko patrzeć — brzeszczeć pocznie... Idźcie do kurenia, paniczu!
Chłopak wstrząsnął ramionami, czując wilgoć, ogarniającą go niby mokrą

płachtą, i, zawróciwszy, szybkim krokiem poszedł ku czarnej ścianie olszyn.
Na małej polanie ze starą sosną pośrodku stały dwa szałasy; przed niemi żarzyły się na piasku dogasające węgle, coraz bardziej okrywając się szarym, puszystym popiołem.
Chłopak wślizgnął się cicho do ciemnego wnętrza „kurenia“, zbudowanego z pochyło wbitych w ziemię grubych żerdzi olszowych, od zewnątrz okrytych korą i płatami darniny. Zawieszone na sznurze prześcieradło przedzielało wnętrze tego zwykłego schroniska rybaków poleskich na dwie połowy. Chłopak położył się na niskiej pryczy, splecionej z gałęzi wiklinowych i, poprawiwszy poduszkę, wyżej naciągnął koc.
— Jurku, dlaczego nie śpisz? — zapytał z poza firanki głos kobiecy.
Udał, że nie słyszy i nic nie odpowiedział. Nie chciał wybijać siostry ze snu. Wieczorem spostrzegł, że Marysia po długiej podróży kajakiem przybladła, chociaż, jak zwykle, przyrządziła kolację i uporządkowała kureń, wraz z Wasylem zgarnąwszy naprędce stare, czarne płachty pajęczyn i zamiotłszy pryczę.
W obozie na nowo zapanowała cisza. Nawet Burek, naszczekawszy się dosyta, powrócił i zwinął się przy ognisku, od czasu do czasu warcząc głucho i wzdychając, jakgdyby żałował czegoś niepocieszenie.
Mgła otuliła całą już powierzchnię jeziora; smugi jej wsiąkały w gąszcz trzcin i krzaków i przeciągały się aż do lasu. Niebo stawało się szarem; księżyc stracił na swym blasku i jakgdyby się skurczył. Nad kureniami coraz częściej przelatywały kaczki i z urwanem kwaczeniem opadały na jezioro. Z bagnistych łąk torfowych odzywały się jękliwe zawodzenia czajek. W krzakach olszynowych raz po raz rozlegał się pisk drobnych ptaszków, budzących się powoli. Dzięcioł, przyczajony na wierzchołku sosny, ześlizgnął się niżej i, niby w bęben, twardym dziobem uderzył w pień drzewa.
Jak gdyby na sygnał dobosza na wschodzie rozdarła się mętno-szara płachta nieba i przez potężną szparę błysnęło nieskończenie długie, wąskie, jak ostrze brzytwy, pasmo szkarłatu, z chwilą każdą szerząc się coraz bardziej. Czerwone promienie słońca wytrysnęły z niego, zaróżowiły i pozłociły korony sosen i olch, pochłonęły bladą tarczę księżyca i jęły rozpraszać ostatnie zwały mroku i siwe zwoje mgieł.
Z większego kurenia wyszedł Wasyl, popatrzył na podnoszące się słońce, przeżegnał się trzykrotnie i, podrapawszy się w głowę, jął dorzucać do ogniska suche gałęzie. Po chwili z tegoż kurenia wynurzyły się dwie skulone postacie chłopaków i, mrużąc oczy, rozglądały się wokoło.
— Brr... — wzdrygnął się jeden z chłopców. — Zimno...
Wasyl błysnął zębami w uśmiechu i powiedział wesołym głosem:
— U nas tu zawsze tak — w nocy zimno, w dzień — skwar! Wiadomo — błota i woda!
Chłopcy zbliżyli się do ogniska i, wyciągając nad niem ręce, wygrzewali się z zadowoleniem.
— Gruszczyński zaspał... — szepnął jeden z nich, spoglądając w stronę mniejszego szałasu.
— Zmachał się wczoraj, wiosłując cały niemal dzień, mój Staszku! — odpowiedział drugi z wyrzutem. — Nam już ręce poodpadały, a on ciągnął

za wszystkich... Dobrze jeszcze, że nie wypadło nam znów zanocować na kajakach, bo chyba do reszty zżarłyby nas te przebrzydłe komary!
Staszek ożywił się nagle i, coś sobie przypomniawszy, zawołał:
— Widziałeś, Olku, te bagna? Jak okiem sięgnąć — niska trawa na grząskiej, wodą okrytej ziemi... Ani rusz wyjść na brzeg! Jurek spróbował i zapadł się po pas. Ledwie się wygramolił z topieliska!
— Otóż to! A ty powiadasz — zaspał! Zasłużył sobie chyba na wypoczynek?! Napracował się biedak!
Wasyl, słuchając tej rozmowy przyjaciół, uśmiechał się chytrze aż wreszcie się odezwał:
— Wy spaliście, a on, ledwie Burek warknął na wilki, już wyszedł i słuchał, czy co wam nie grozi... Taki niczego nie zaśpi! Ho, ho!
W tej samej chwili z kurenia wyszedł i stanął, przeciągając się i uśmiechając wesoło, ten, o kim mówiono przy ognisku.
— Dzień dobry czcigodnemu towarzystwu! — zawołał żartobliwie. — Jak się spało na nowem miejscu? Co się śniło?
— Doskonale, chociaż było trochę zimno pod jednym kocem, a nie miałem sił wstać i wyciągnąć drugiego z plecaka, — odpowiedział Olek, przyglądając się dzięciołowi, który, nie zwracając żadnej uwagi na ludzi, zaciekle kuł dziobem pień sosny.
— Czułem przez materac każdy pręt w wiązaniu pryczy, — westchnął Staszek. — Trzeba będzie podłożyć grubą warstwę mchu.
— Słusznie! I ja to samo zamierzam zrobić! — powiedział ze śmiechem Jurek. — Chociaż nie przeszkodziło mi to, bo spałem, jak suseł!
— Wasyl mówił nam, żeś wstawał w nocy... — wtrącił jeden z chłopców.
— Na chwilę tylko — skinął głową kolega. — Obawiałem się, że pożrą nas wilki.
— Et! — machnąwszy ręką, mruknął Poleszuk. — Śmiałe są one i złe tylko w zimie, w lecie — płochliwe i nieochocze do napadu. Ale zapomniałem o nich! Trzeba popatrzeć, ile ich było i gdzie się skradały?
To powiedziawszy, gwizdnął na pieska i, wskazawszy mu ręką kierunek, powiedział:
— Szukaj!
Burek pochylił głowę ku ziemi i, powęszywszy chwil kilka, jął szczekać i warczeć, biegnąc wprost do jeziora. Chłopcy szli za nim i przyglądali się pieskowi. Przestał szczekać, miotał się w różne strony i węszył, głośno prychając. Wasyl ostrożnie rozchylał trawę, aż skinął ręką w stronę chłopaków i powiedział:
— Dwa stare wilki przepłynęły jezioro i tą samą drogą powróciły... Ależ daleko doczołgały się szare zbóje! Patrzcie! Tu wilczury przygniotły trawę, a tam leżały na szczycie pagórka. Pewnie Burek spłoszył je, bo uciekły, skacząc przez krzaki... Poco tu przychodziły?
Kręcił głową i myślał nad zagadkową wizytą drapieżników.
— Co tam rozglądacie? — dobiegł ich głos od strony obozu i na szczycie wzgórza, stanęła wiotka dziewczynka, przysłaniając oczy dłonią. — Hej, Jurek, Staszek, Olek, Wasyl, chodźcie już, bo czas na śniadanie!
— Idziemy, Marysieńko! — odpowiedział Olek, machnąwszy w jej stronę ręką.
— Myślałem, że będzie spała aż do południa — cichym głosem zauważył Jurek. — Zmęczona była wczoraj...

To powiedzenie oburzyło Staszka, bo potrząsnął jasną czupryną i odparł surowym głosem:
— Marysia — dobra koleżanka i spełnia swoje obowiązki sumiennie...
— Chytrusie jeden! — zawołał Olek, klepiąc go po ramieniu. — Ględzisz o obowiązkach, a sam masz na myśli smaczną jajecznicę z boczkiem wędzonym... Pochlebco!
Śmiejąc się i prześcigając wzajemnie, wbiegali po sypkiem zboczu pagórka.
Rozpoczęło się wkrótce życie obozowe. Olek przyniósł kubeł wody, Staszek napełnił nią duży imbryk i zawiesił go nad ogniem; Wasyl nazbierał gałęzi, a potem jął piaskiem czyścić patelnię. Jurek poszedł na brzeg jeziora, zabrawszy ze sobą ręcznik, mydło, kubek i szczoteczkę do zębów. Stanąwszy nad wodą, zawołał:
— Marysiu, myj się prędzej! Bractwo głodne i czeka na śniadanie!
Odpowiedział mu głośny plusk i wesoły śmiech dziewczynki.
Podpływała właśnie do brzegu i uśmiechała się do słońca, nieba i zielonych koron drzew. Po chwili była już przy ognisku i krzątała się koło przyrządzania posiłku porannego, dogadując chłopcom:
— Olek, tnij słoninę cieniutkiemi plasterkami i nie oblizuj się, jak kot na szperki! Stachu, uważaj na jajka, gdy je rozbijasz, a nie przyglądaj się łakomie wędzonce, bo i tak jej nie dostaniesz! Wasylu, rąbcie te gałęzie drobniej, aby dymu mniej było i nie zerkajcie, przyjacielu, ku patelni! Cóż to za żarłoki i łakomczuchy z was?! Mam ja z wami kłopot! Nakarmić taką ciągle głodną bandę! No! — dość tego! Skoczcie teraz umyć się i powracajcie rychło. Dam sobie teraz radę bez was.
Wasyl, ścigając się z chłopakami, zbiegał ze stromego zbocza pagórka i mówił zdyszanym głosem:
— Szybko biegacie, tak szybko, że zająca chyba dogonić możecie!
— A no, jak sport — to sport! — odpowiedzieli mu obaj, jeszcze przyspieszając biegu i opędzając się skaczącemu na nich i piszczącemu z uciechy Burkowi.
Znikli w zaroślach wiklinowych, a plusk wody, głośny śmiech i prychanie, które rozległy się po chwili, świadczyły o tem, że całe bractwo zażywało kąpieli porannej.

Rozdział II.

## DZIELNA KOMPANJA.

Tak się rozpoczął pierwszy dzień młodych turystów, w obozie, założonym na brzegu jeziora Czerwiszcze.
Wasyl — człowiek miejscowy — z zaciekawieniem przyglądał się nieznajomej młodzieży i głowił się nad tem, co też będą robiły te chłopaki i panienka w kureniach rybackich i poco tu właściwie przyjechali? Wiedział tylko tyle, że właściciel majątku Czerwiszcze polecił wójtowi posłać na przystań na Stochodzie dwa wozy i zawieźć gości nad jezioro, gdzie mieli zamiar spędzić kilka dni. Dziedzic kazał wtedy Wasylowi osiodłać konia i jechać ku kureniom, gdzie miał pomagać gościom.

— A pamiętaj — mówił dziedzic, — że dałem im pozwolenie na łapanie ryb i strzelanie do wszystkich drapieżnych zwierząt i ptaków, gdyż rozmnożyło się tych zbójów bez liku, a starosta i nadleśniczy prosili mnie, abym kazał przetrzebić to krwiożercze bractwo.

Wasyl nie wiedział jednak, jak doszło do wyjazdu całej młodej kompanji z Warszawy.

Myśl ta zrodziła się w głowie jednego z chłopaków, Stanisława Wyzbickiego. Ojciec jego był przyjacielem właściciela Czerwiszcza i uzyskał od niego pozwolenie na pobyt syna z kolegami nad jeziorem i w lasach czerwiszczańskich.

Staszek ze swej strony zaprosił na wycieczkę dwóch kolegów — starszego o dwie klasy Jurka Gruszczyńskiego, największego siłacza w gimnazjum, i Olka Malewicza. Obaj byli kajakowcami i zamiłowanymi podróżnikami, więc też z radością przyjęli zaproszenie przyjaciela. Nazajutrz jednak Jurek przyszedł do Stacha i powiedział mu, że musi, niestety, odmówić udziału we wspólnej wyprawie, ponieważ przyjechała właśnie jego siostra, która uczy się w Krakowie, i że wobec tego spędzą razem wakacje w Warszawie, gdyż rodzice nie mają pieniędzy, aby wyjechać na letnisko.

Staszek, rumieniąc się, zaproponował zmieszanym nieco głosem:

— A możeby i Marysia wyruszyła z nami? Bardzo byłbym rad i opiekowałbym się nią w podróży... Jak myślisz, Jurku?

Ucieszony Gruszczyński pobiegł do domu rozmówić się z rodzicami i siostrą, a w dwa dni potem siedzieli już we czwórkę w przedziale wagonu, zdawszy poprzednio na bagaż dwa kajaki, starannie opięte płótnem. Pociąg mknął w kierunku Brześcia nad Bugiem i Sarn.

Na małej stacyjce nad Stochodem kompanja wysiadła, wyładowała kajaki i bagaże, a, rozmieściwszy je w łodziach, ruszyła w drogę z prądem rzeki. Płynęli nadspodziewanie wolno, ponieważ zatrzymywali się często. Jurek — zamiłowany fotograf, nieraz już premjowany za swoje zdjęcia zwierząt i ptaków w ruchu, za co nawet otrzymał przezwisko „Kodak-myśliwca“, coraz częściej zwalniał bieg kajaku i fotografował to dzikie kaczki, wypływające z gęstego sitowia, to znów bąka, stojącego nieruchomo jak posąg na torfowej kępie, to żórawie, na widok ludzi podrywające się z błotnistej łąki.

Staszek był również winny tego znacznego opóźnienia. Słynął on jako doskonały strzelec i zdobywca kilku już nagród za celność. Mały karabinek jego nie chybiał nigdy prawie. Chłopak, widząc tu unoszącego się nad trzcinami jastrzębia, tam znów — raroga napadającego na pisklęta kaczek i czajek, wyskakiwał na brzeg i skradał się do drapieżnych ptaków, czając się za krzakami, a nawet pełznąc po ziemi. Jurek, śledząc jego ruchy, wydobył z futerału mały aparat kinematograficzny i nakręcił kilka łowieckich przygód kolegi.

Olek znów, żeby nie próżnować, wyciągnął z łodzi składane wędzidło i na poczekaniu rozpoczął połów ryb. Wprawny i zamiłowany w tym sporcie, korzystając z przydługich nieraz popasów, wyciągnął nieraz parę leszczów i schwytał sporego szczupaka, znęciwszy go sztuczną rybką, rzuconą tuż przed ścianą tataraków, gdzie zwykle lubią robić zasadzki drapieżce wodne.

Noc zastała ich na rzece. Próżno rozglądali się dokoła, szukając jakichkolwiek śladów siedziby ludzkiej. Jak okiem sięgnąć, nigdzie nie

widać było żadnego ognia lub oświetlonego lampą naftową czy choćby łuczywem okna chaty poleskiej.
— Źle! — mruknął Olek do Jurka. — Będziemy musieli zanocować na brzegu.
— Albo raczej w kajakach, bo, jak widzieliście zapewne, — brzegi są niskie i zalane wodą. Zresztą musimy poszukać suchego miejsca — powiedział Jurek i opuścił wiosło do wody.
Świecąc sobie lampkami elektrycznemi, nie znaleźli jednak wyższego i suchszego brzegu. Dokoła ciągnęły się bagna, na które można było wpłynąć bez trudu wprost z łożyska rzeki. Komary cięły młodych turystów zawzięcie, drobne muszki właziły im do oczu, nozdrzy i uszu.
— Takem się nałykała tych przebrzydłych robaków, że nawet głodu nie czuję! — ze śmiechem poskarżyła się Marynia, wypluwając jakąś muchę.
Jurek dał sygnał do zatrzymania się na nocleg.
Rzuciwszy małe kotewki, chłopcy związali oba kajaki razem, co zwiększyło ich równowagę, i zaczęli przyrządzać kolację. Marynia z pomocą Olka oskrobała ryby i, pokrajawszy je na kawałki, włożyła do kociołka. Wyzbicki położył na dziobach czółna deskę i ustawił na niej primus. Długo gotowała się ryba, a w oczekiwaniu polewki, młodzież zjadła po dwa jajka na twardo ze sporą pajdą chleba. Gdy ryba dogotowała się wreszcie, postawiono na primusie czajnik z herbatą, a cała kompanja, nalawszy sobie do kubków gorącej zupy, raczyła się smaczną potrawą, chwaląc wyborną kucharkę.
Wypłókawszy naczynia, napili się herbaty i, sprzątnąwszy wszystko, zaczęli układać się do snu.
Już drzemali, gdy posłyszeli nagle głośny plusk, ciche prychanie i cienki zgrzyt. Trzciny, rosnące wpobliżu, poruszyły się zlekka, lecz po chwili znieruchomiały i znowu wszystko się uciszyło. Komary tylko trąbiły nad uchem i dobiegało zewsząd basowe kumkanie żab.
— Co to było? — spytała Marynia.
Nikt nie mógł dać odpowiedzi, aż nareszcie odezwał się Stach:
— Zdaje mi się, że to wydra wyruszyła na żerowisko i rozpoczęła połów ryb...
Westchnął i dodał szeptem:
— Ech, gdybym tak spotkał wydrę w dzień...
— No, i coby Stach na tem zyskał? — spytała dziewczynka.
— Ja — to nic, ale zato Marynia miałaby piękny kołnierz do płaszcza zimowego...
Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Olek powiedział z udaną powagą:
— Wobec tego proponuję nowe przysłowie: Nie darowuj wydry, jeżeliś nie upolował jej poprzednio, szczególnie w lecie, gdy futro jej nic nie jest warte!
Znowu zawinęli się w koce i umilkli.
Noc mijała spokojnie i nic już nie przerywało odpoczynku młodych podróżników.
Obudzili się przed świtem jeszcze i, napiwszy się herbaty, ruszyli dalej. Płynęli teraz szybko, chociaż coraz częściej nęciły ich niespotykane nigdzie widoki, możliwość zapolowania i połowu ryb.
Śpieszyli się jednak, gdyż, jak określili z mapy, spory jeszcze szmat drogi pozostawał im do Czerwiszcza.

Stochód jednak uwziął się na nich. Zboczywszy z głównego prądu, trafili do jakiejś odnogi i dopiero po dwu godzinach przekonali się, że kończy się ona ślepo. Musieli więc powracać tą samą drogą, bezużytecznie straciwszy dobre trzy godziny i zmęczywszy się ciągłem lawirowaniem śród zatopionych drzew.
Wpłynąwszy do prawdziwego koryta, usiłowali nadrobić zmarnowany czas. Zamiast obiadu postanowili pokrzepić się tylko chlebem i kawałkiem suchej kiełbasy, poczem ruszyli dalej. Wkrótce natrafili na miejsce, przegrodzone od brzegu do brzegu długą koleją tratw. Musieli więc wyciągać kajaki i przenosić je po bagnie, co było bardzo uciążliwe i zabrało im sporo czasu. Dopiero przed zachodem słońca mogli płynąć dalej, ale wszyscy byli tak znużeni, że ramiona odmawiały im posłuszeństwa. Tylko jeden Jurek nie dał za wygranę. Uwiązał do rufy kajak kolegów i wiosłował dalej, ciągnąc go za sobą na lince. Późno wieczorem dotarli do przystani czerwiszczańskiej, gdzie spotkał ich Wasyl, i załadowawszy na jeden wóz kajaki i bagaże gości, na drugi zaś wsadziwszy młodych podróżników, powiózł ich przez las nad jezioro, gdzie zamierzali założyć obóz.

Na szczęście Wasyl dostarczył ze dworu duży kociół bigosu, dwa bochenki świeżego chleba i samowar miedziany, więc kolację wmig przygotowano, poczem zupełnie wyczerpane towarzystwo, naprędce uprzątnąwszy kurenie, udało się na spoczynek. Wszyscy odrazu zasnęli kamiennym snem, i tylko Jurek Gruszczyński, który, jako starszy, bo miał już skończonych szesnaście lat, poczuwał się do obowiązku opiekowania się wszystkimi, przerwał swój dobrze zasłużony wypoczynek, posłyszawszy ujadanie Burka, wesołego kundla podwórzowego.

Sosny gonne i świerki walczą z bagnem zachłannem.

Po rannem śniadaniu, młodzież rozpoczęła nowy pracowity dzień.

Jurek, wyciągnąwszy kajaki na brzeg i przewróciwszy je do góry dnem, obejrzał uważnie. Płynąc ślepą odnogą Stochodu, słyszał kilka razy, że lekkie czółenka uderzały o zatopione konary drzew, a parę razy zgrzytnęły, zawadziwszy o kamienie. Zaniepokoiło go to, więc okiem znawcy sprawdził stan kajaków. Na szczęście, nie spostrzegł żadnego uszkodzenia. Uradowany tem, wziął swój aparat kinematograficzny i,

strąciwszy czółenko na wodę, popłynął, trzymając się brzegu. W jednem miejscu, gdzie czarne olchy i wysokie graby stały tuż nad jeziorem, przeglądając się w jego połyskliwem zwierciadle, Jurek gwałtownie zahamował ruch łodzi i porwał za aparat.
Kajak zakołysał się na nieruchomej powierzchni jeziora. Chłopak siedział, jak skamieniały, chociaż wzrokiem odmierzał odległość od interesującego go przedmiotu, a palce jego ostrożnie nastawiały aparat, przygotowując go do zdjęć.
Na wysokiej, wyciągniętej nad wodą gałęzi grabu stała szara czapla z podniesioną głową. Miała rozwarty dziób i wydawała ostry, przeszywający syk. Nad drzewem, na znacznej jeszcze wysokości krążył potężny orzeł białoogoniasty, coraz szybciej zwężając spiralę swego lotu.
Jurek starał się domyśleć, poco czapla usadowiła się nagle na drzewie. Czy z wysokiej gałęzi wypatrywała ryby w jeziorze, czy może stała na straży znajdującego się gdzieś w pobliżu gniazda?
Przygotowany do zdjęć czekał z podniesionym aparatem.
Orzeł tymczasem, zatoczywszy koło, ukośnym lotem runął na czaplę i, bijąc powietrze silnemi skrzydłami, zawisnął nad nią. Zapewne był to młody jeszcze orzeł, niewprawny do zbójeckich napadów. W ostatniej bowiem chwili uląkł się groźnie wymierzonego mu w pierś ostrego dzioba czapli, uczynił nagły skręt i, odleciawszy, usiadł na sąsiednim grabie, klekocąc drapieżnie. Po chwili spostrzegł Jurka i z cienkim skwirem zerwał się do lotu.
— Leć sobie, zbóju, na złamanie karku! — pomyślał chłopiec. — Twój niecny napad i tchórzliwa ucieczka pozostały na filmie!
Czuł prawdziwą radość, gdyż sfilmowanie podobnej sceny z natury jest rzeczą niezmiernie rzadką i trudną.
Uśmiechnąwszy się z zadowoleniem, popłynął dalej, starając się nie pluskać i robić jak najmniej gwałtownych ruchów.
Na przeciwległym brzegu spostrzegł wąziutką ścieżkę wśród trzcin — ledwie przebity przesmyk, który prowadził do zarośli i znaczył się w nich zawiłym zygzakiem. Zrozumiał, że był to tak zwany „grząd“ — przejście w haszczach, wydeptane przez zwierzęta. Próżno jednak czekał chłopak, zaczaiwszy się w wysokich trzcinach. Żadne zwierzę nie podchodziło do brzegu.
— Hej, Jurku! — posłyszał nagle wesoły okrzyk i poznał głos Malewicza.
Kolega wraz z kajakiem zaszył się w szuwarach i łapał ryby na wędkę.
— Jak ci tam idzie? — spytał go Jurek.
— Nienajgorzej! — odpowiedział Olek. — Natrafiłem widać na całe stado linów, bo już ze sześć sztuk wyciągnąłem, a oto... idzie siódmy!...
To mówiąc, zbyt szybko i gwałtownie szarpnął wędkę. Ryba się zerwała z haczyka, a linka i pływak, wpadłszy z rozmachem do gęstwiny, zaplątały się wśród gałązek i twardych chwastów.
— Nie darowuj wydry, jeżeliś jej nie upolował poprzednio! — zażartował Jurek, przypominając sobie ułożone przez kolegę przysłowie.
Ten parsknął śmiechem i dodał:
— Ani też żywego lina w wodzie... Zerwał mi się w ostatniej chwili...
Jurek popłynął dalej, rozglądając się dokoła. Jezioro miało kilka malowniczych zakątków po brzegach i cieszyło wzrok lśniącą taflą wody i zieloną ścianą trzcin. W gąszczu krzaków szczebiotały i ćwirkały drobne

ptaszki, na olszynie śpiewał drozd, gdzieś z lasu dobiegało kukanie kukułki. Koło sitowia i tataraków pluskały ryby, wyskakując z wody. Wysoko pod obłokami kwilił jastrząb.
Wielka radość ogarnęła Jurka, radość, którą daje przyroda, ciesząca się z promieni słońca, z wonnych i ciepłych powiewów wiatru, z blasku wody i ze wszystkiego, co żyje i wyczuwa prawdziwą radość życia.

Rozdział III.

## PIERWSZE WYPRAWY.

Jurek powróciwszy do obozu, nie zastał tam nikogo oprócz Maryni.
Dziewczynka doprowadzała do ostatecznego porządku nieprzytulne kurenie. Jej drobne rączki potrafiły dokonać w nich cudownych przemian. Poleciwszy Wasylowi naciąć jak najwięcej tataraków i trzcin, ozdobiła niemi ściany i niby zielonym kobiercem przykryła ziemię. Znikły za zielenią brzydkie, okopcone drągi, z których sklecono niegdyś tę najprostszą na świecie siedzibę ludzką, a pod grubą warstwą trzcin ukryły się głębokie wyboje w ziemi i szary, sypki piasek. Nad pryczami Marynia rozwiesiła płótno, którem otulano kajaki, a na zielonych jego płachtach umieściła fotografje rodziców chłopców, po rogach zaś — poprzypinała okiści trzcin i pęki wrzosów.
Walizki i plecaki stały w głębi kureni, przykryte białem płótnem żaglowem, koszlawe stoły i ławy, bylejak sklecone z desek nieheblowanych, świeciły czystością, gdyż dziewczynka starannie wyszorowała je gorącą wodą z mydłem i piaskiem.
— Ależ się napracowałaś, Marysieńko! — zdumiał się brat. — Ho, ho! Teraz już to jest nie jakiś tam kureń poleski, tylko pałac!
Dziewczynka zaśmiała się wesoło i natychmiast odpowiedziała:
— Pałac, jak pałac, ale całkiem przyzwoity schron! Najbiedniejsza siedziba może stać się przyjemną dla oka i przytulną, jeżeli się pochodzi koło niej i oczyści starannie. Człowiek wszak to nie zwierzę, z bylejakiego barłogu zadowolone. Nie znoszę brudów, nieładu i brzydoty. Popatrz tylko, jak przyozdobiłam swój „pokoik“!
Jurek, wszedłszy do mniejszego kurenia, zdumiał się raz jeszcze, a po chwili, porwawszy Marysię w ramiona, wycałował ją serdecznie.
Ponure wnętrze ubogiego szałasu zmieniło się do niepoznania. Wszystko tu tonęło w zieleni, gdyż dziewczynka oplotła drągi pochyłych ścian i stożkowaty pułap kurenia sitowiem, a kawałki płótna przy pryczach i „kotarę“ z prześcieradła ozdobiła białemi i lijowemi kwiatami grążeli i dzwonków. Nogi, niby w najlepszym, puszystym kobiercu, tonęły w grubej warstwie naciętych związanych w snopy trzcin. Walizki stały na krótkich klocach olszynowych, wziętych z pobliskiego sągu, i, po narzuceniu na nie płótna żaglowego, zamieniły się w dość wygodne tapczany.
Koło pryczy dziewczynki za kotarą wesoło było od białej narzuty na posłaniu i bukietów z nenufarów i maków.
— Bardzo tu pięknie u ciebie! — zachwycał się brat. — Ale nie widzę tu ani kociołków ani imbryka i kubków. Gdzieżeś je ukryła?

Marysia klasnęła w dłonie i wybuchnęła wesołym śmiechem.
— To już całkiem mój wynalazek, za który, jak twierdzi Wasyl, wdzięczni mi będą rybacy czerwiszczańscy! — zawołała. — Namówiłam tego miłego Poleszuka, aby zbudował malutką chałupę z czterech stojaków, oplecionych wikliną. Tam urządzę kredens, spiżarnię i kuchnię, bo Wasyl przyrzekł wylepić mi z gliny prawdziwy piec poleski!
— A gdzież jest Wasyl? — spytał Jurek, patrząc z wdzięcznością na siostrę.
— Poszedł do lasu po słupy, pręty wiklinowe i glinę! — odpowiedziała dziewczynka i dodała: — Jeżeli przez dzień dzisiejszy nie będziecie mi się tu pętać, — to przed wieczorem wszystko już będzie gotowe! Trzeba powiedzieć naszym chłopcom, aby podtrzymywali porządek i dbali o przyjemny wygląd kurenia, bo inaczej — taką im awanturę zrobię, że — ha!
Brat zaśmiał się i mruknął sobie pod nosem:
— Najtrudniej to będzie z Olkiem! Ten to potrafi wszystko w jednej chwili do góry nogami przewrócić!
— No, to w następnej chwili wszystko mi posprząta! — stanowczym głosem powiedziała Marynia, potrząsnąwszy płową czuprynką. — Dam ja z nim sobie radę!
Za ścianą rozległy się czyjeś kroki i dobiegł wesoły głos Staszka Wyzbickiego:
— Hej, a jest tam kto?
Jurek wyjrzał na dwór i wydał okrzyk zdumienia:
— Patrz-no, Marysiu, co ten chłopak upolował?
Wybiegli oboje z kurenia. Stach szedł ku nim, trzymając wysoko nad głową dużego lisa.
— Piękny okaz — co? — wołał Stach, potrząsając lisem. — Patrzcie tylko — trafiony w głowę! Futerka kula wcale nie popsuła! Nie mam dla Maryni wydry, ale zato przyniosłem jej w darze — lisa...
To powiedziawszy, położył przed nią na ziemi upolowane zwierzę. Dziewczynka pochyliła się nad niem i pogłaskała rude, puszyste futerko.
— Dziękuję, Staszku, za piękny prezent... — zaczęła Marynia, lecz urwała nagle, z niepokojem spojrzawszy na brata.
Jurek dotknął lisa i przekonał się natychmiast, że upolowane zwierzę traciło sierść.
— Szkoda! — mruknął do kolegi, kiwając głową. — Lis linieje, a więc na nic twoje zachody i celny strzał, bracie! No, ale przyda się zato do fotografji. Ustawimy go w różnych pozycjach i narobimy z tuzin zdjęć. Tymczasem proponuję ułożyć nowe przysłowie: „Nie darowuj lisów podczas lata“.
Za chwilę Jurek krzyknął:
— Patrzcie, Olek także powraca!
Młody rybak szedł, dźwigając pęk ryb, powiązanych sznurkiem. Zaczęto podziwiać duże liny, grube, czarnemi pręgami ozdobione okonie i śliskie miętusy o okrągłych paszczach.
Ponieważ do obiadu pozostawało około trzech godzin, chłopcy zaczęli budować szałas z czterech cienkich pniaków, które z lasu przyciągnął Wasyl, wyplatając ściany z gałęzi wiklinowych. Nie mogli przytem nie podziwiać wrodzonej zdolności Wasyla do wykorzystania różnych

kształtów drzewa.
Poleszuk — człowiek leśny — wyrąbał takie sztuki, które ułatwiły mu budowę, nie wymagając żadnych oprócz siekiery narzędzi. Chłopcy nie skończyli jeszcze oplatania ścian spiżarni, gdy Wasyl zdążył już wylepić duży piec z gliny, którą znalazł w niewielkiem urwisku nadbrzeżnem. Zapaliwszy w piecu suche gałęzie, stał i przyglądał się wychodzącemu z komina dymowi. Po pewnej chwili uśmiechnął się i mruknął niby do siebie samego:
— Zbuduję chyba wędzarnię... Ryb dużo, a wędzone dłużej się przechowują.
Zabrał się wnet do roboty. Ulepił coś nakształt zamkniętego, kopulastego dzbana i doprowadził do niego kolano komina. Dym, wydobywając się z pieca, przechodził pod kopułą i dopiero bardzo wolno przez wąskie szczeliny w dolnej części wędzarni wydostawał się na zewnątrz. Nie zwlekając, chłopak przetknął wilgotną jeszcze i mokrą glinę grubym patykiem i rozwiesił na nim ryby, rozpłatane wzdłuż grzbietu.
Marynia po pewnym czasie spojrzała na słońce i zaczęła się krzątać przy ognisku, gotując grochówkę ze słoniną i przygotowując patelnię na jajecznicę. Przy niej, nie odstępując jej ani na krok, kręcił się Burek. Merdał kołtuniastą kitą, przymilnie mrużył ślepia, popiskując cicho i prosząco. Od czasu do czasu szczękał kłami, w locie chwytając rzucane mu przez dziewczynkę skrawki słoniny i łykając je chciwie.
Wreszcie Marynia klasnęła w ręce i zawołała:
— Na obiad! Na obiad!
Chłopaki i Wasyl nie dali się długo prosić i, umywszy ręce w jeziorze, przybiegli do ogniska. Staszek z Olkiem weszli do swego kurenia, aby wytrzeć ręce i przygładzić włosy, lecz, zajrzawszy do wnętrza szałasu, skamienieli.
— Czary, czy co? — spytał Olek. — Toż to najwspanialsza komnata magnacka!
— Ale, ale! — coś sobie przypomniawszy, zawołała Marynia. — Upraszam o ścisłe przestrzeganie porządku i czystości w tej komnacie, bo inaczej będzie w niej bałagan, na co patrzeć nie mogę!
— Któżby śmiał robić tu nieporządki?! — oburzył się Olek. — Takie cudo i raptem — nieporządek?! Już ja dopilnuję, aby nikt...
— Zdrajco! — zaśmiał się przyjaciel. — Do kogo ty to pijesz? Do mnie, czy do siebie?
W wesołych podskokach powrócili do ogniska, przy którem Wasyl, siedząc już z miską w ręku, mówił:
— Sporządzę tu dla was, panienko, stół i dwie ławy... Wygodniej będzie...
Umilkł, bo Marynia nalała mu dymiącej grochówki i włożyła do miski duży kawał słoniny.
Całe towarzystwo jadło w milczeniu. Tylko Burek, oczekując swojej kolei, przebierał łapkami i piszczał niecierpliwie.

Rozdział IV.

## TAJEMNICZE STRZAŁY.

Nazajutrz wnet po porannem śniadaniu, Jurek pożegnał przyjaciół i, wsunąwszy do kieszeni bluzy tabliczkę czekolady, uzbrojony w kodak i aparat kinematograficzny, wyruszył na daleki wywiad w poszukiwaniu widoków i porywających zdjęć zwierząt i ptaków na wolności.
Chłopak, przeciąwszy polanę, gdzie został założony obóz, wszedł do lasu. Otoczył go zmrok. Przez wysokie, rozłożyste korony dębów i grabów promienie słońca przedzierały się skąpo. Tylko tam i ówdzie złote plamy jego padały na zielony kobierzec runa zielonego lub drgały na gładkich pniach drzew.
Jurek spostrzegł, że w tej miejscowości panował las liściasty, z dębów, grabów, olch i osik złożony. Zrzadka tylko strzelał w wyż gonny, prosty, jak złocista kolumna pion sosny, bielała brzoza smętna i zwisały czarne łapy świerków.
Chłopak szedł wolno, gdyż zarośnięta wysoką trawą ścieżka urwała się nagle. Przedzierał się więc przez pogmatwany gąszcz leszczyn, jarzębin, kruszyn i tarniny. Nogi wikłały mu się w zbitej porośli traw, zielsk i chwastów, wybujałych nadmiernie.
Z gmatwaniny krzaków i wysokich traw wywinął się nagle zając i, śmignąwszy białym osmykiem, dał nura w haszcze, zanim Jurek zdążył ogarnąć go wizjerem kodaka.
W innem znów miejscu jakieś niewidzialne zwierzę z trzaskiem butwiejącej leżaniny i głuchym tupotem wyskoczyło z gąszczu wiązówki błotnej i umknęło.
— Zapewne sarna... — domyślił się chłopak, próżno starając się dojrzeć czegoś wśród stłoczonych krzaków i grubych pni.
Niezrażony niepowodzeniem ruszył dalej.
Miejscami przegradzały mu drogę nieruchome potoki z pływającemi na ich powierzchni liśćmi nenufarów i kępami wystających z wody tataraków. Musiał przechodzić je wbród, pogrążając się niemal po pas, a potem grzązł w bagnistej ziemi, cmokającej głośno, gdy stopy jego przerywały miękki, gruby pokrowiec zielonego mchu.
Szedł naprzód z uporem, ciesząc się, że otacza go dziki, dziewiczy niemal las, prawdziwa... dżungla europejska, o której z takim zachwytem opowiadał uczniom w gimnazjum młody, zapalony nauczyciel przyrody, turysta niezmordowany i, podobnie, jak Jurek, zamiłowany fotograf.
Natrafiwszy na małe jeziorko, Jurek zatrzymał się, aby wybrać najłatwiejszą drogę. Stał cicho i rozglądał się uważnie. Nad brzegiem nagromadziły się stosy śniegołomu. Cienkie, słabowite drzewka osik, olch i brzóz, nie osłonięte w tem miejscu konarami wysokich dębów i grabów, nie wytrzymały ciężaru śniegu zimowego i pod brzemieniem ogromnych białych czap, pochyliły się do ziemi, pękły w trzonie i leżały teraz w nieładzie, jakgdyby potrzaskane i powalone wybuchem pocisku.
Jurek zamierzał już okrążyć jeziorko o czarnej wodzie, gdzie pękały duże bąble gazu błotnego, tworzącego się zwykle przy gniciu zatoniętych drzew, gdy nagle znieruchomiał, podniósłszy aparat kinematograficzny.
Na pień złamanej brzozy wybiegło małe, płowe zwierzątko o dziwacznie wygiętym w kabłąk grzbiecie. Chłopiec poznał odrazu łasicę o cienkiem i zwinnem, jak u węża, ciałku. Mały drapieżnik, wpatrzony w gąszcz suchych gałęzi i burych pędów kostrzewy, nie spostrzegł człowieka. Jurek miał już łasicę na oku, śledząc jej ruchy poprzez ramkę celownika, gdy

zwierzątko jednym susem, prężąc się w powietrzu, śmignęło nadół. Jurek zdążył puścić w ruch wstęgę filmową i pochwycić zwierzątko w skoku. W haszczach rozległy się w tej chwili dwa głosy — jeden ochrypły, do przerażonego gdakania kury podobny, drugi — cienki, ostry, niby zgrzyt stali po szkle. Coś załopotało w zbitej sieci trawy i wnet zacichło. Jurek, trzymając aparat w pogotowiu, ostrożnie rozsunął suche gałęzie i zajrzał do ich gąszczu. Po chwili z cichym turkotem przesunęły się o dwa metry wstęgi, a potem chłopiec, bijąc kijem w pień brzozy, jął odpędzać syczącą nań łasicę.
Mały drapieżnik zwęszył i wytropił siedzącą na gnieździe cieciorkę, wpadł na nią i w jednej chwili wpił się zębami w szyję ptaka. Nie zamierzał teraz ustąpić komukolwiek swej zdobyczy.
Wyginając grzbiet, błyskał groźnie drapieżnemi oczkami i, rozwarłszy pyszczek, syczał z wściekłością. Gdy jednak koniec kija zbliżył się do niego, mignął płowem futerkiem i ukrył się w trawie.
Jurek podniósł ptaka i uwiązał go do paska, myśląc o tem, że Marynia ucieszy się z tak niespodziewanego, a wybornego dodatku do swych zapasów żywnościowych.
Obszedłszy jeziorko, Jurek wyszedł na nieco wyższe miejsce. Tam i sam z pod mchu i trawy wyglądały osypiska piaszczyste i, jak to bywa prawie zawsze na takich glebach, wybujał tu bór sosnowy. Chłopak porobił sporo zdjęć kodakiem i poszedł dalej. Dobiegały go zewsząd głosy drobnych ptaszków: drozda-śpiewaka, szczygłów i piegzy-śmieszki.
Oparty plecami o pień sosnowy, stał cicho i pokrzepiał się czekoladą.
Wiewiórka, nie spostrzegłszy go, ześlizgnęła się z drzewa i usiadła przy jego stopach; po chwili jednak posłyszała szmer jego oddechu i, robiąc duże susy, przecięła małą polankę i wdrapała się na drzewo.
Jakiś ptak z głośnym furkotem i przeciągłym piskiem mignął pomiędzy pionami sosen i spadł na nagą gałąź, tuż nad głową chłopaka.
Jurek, który spostrzegł spore, szare ciało ptaka i jego ciemno-rdzawą główkę z czerwonemi brwiami, odrazu poznał jarząbka.
Teraz jednak nie mógł odnaleźć go wzrokiem na pozbawionej sęków i igliwia gałęzi. Widniała na niej tylko duża narośl. Przyglądając się bacznie, zauważył, że narośl ta poruszała się nieznacznie i znowu znieruchomiała.
Jurek przekonał się niebawem, że sprytny ptak, usiadłszy na nieprzykrytej niczem gałęzi, objął ją skrzydłami i wyciągnął się na niej, szyję przycisnąwszy do szarej kory. W ten sposób, przybierając wygląd zwykłej narośli, bronił się przed możliwym napadem licznych w puszczy drapieżców: kuny, łasicy, tchórza, orła, jastrzębia i człowieka ze strzelbą w ręku.
Natychmiast zaturkotał aparat filmowy. Chłopak, ucieszony z tego zdjęcia, ruszył dalej.
Bór urwał się niemal raptownie. Zaczęła się nizina.
Wysokie trzciny, sitowie, tataraki i zarośle wełnianki okrywały rozległą, błotnistą równinę. Większe i mniejsze kałuże połyskiwały na niej, niby szyby okien. Pod nogami chlupała woda, a przez grubą warstwę mchów sączyły się bure, rdzawe strugi.
Chłopiec wahał się, czy ma iść dalej, czy też powracać.
Gdy się namyślał nad tem, z poza krzaków osik i wikliny, stąpając

ostrożnie po bagnie, wynurzył się łoś.
Był to młody byk o niedużych jeszcze łopatach[3], rzadki tymczasem na Polesiu, gdzie łosie hodowane są w kilku rezerwatach. Ten wyrwał się zapewne z jednego z nich i ruszył w świat szeroki.
Szedł lekkim truchtem, pochyliwszy rogaty łeb i jak gdyby węsząc przy ziemi. Nad błotem wisiały jeszcze przeźroczyste, lekkie smugi mgły i drżały w powietrzu niewidzialne opary. Przez ich zasłonę zwierzę wydawało się znacznie większem, o niewyraźnych, rozpływających się zarysach.
Chłopak drżał z obawy, że przepuści tak szczęśliwą sposobność, jak zrobienie zdjęcia łosia na wolności.
Przykucnął za krzakiem, ustawił aparat, odwiązał cieciorkę, aby mu nie przeszkadzała, i jął się skradać w gąszczu, przecinając drogę łosiowi.
Piękny zwierz zatrzymał się na szczęście, i stał, otrząsając się cały i nogami, czyli, jak mówią myśliwi — „biegami“, odpędzając tnące go bąki — te same, co przez cały dzień dokuczały chłopakowi.
Jurek w tej chwili czuł jednak wdzięczność dla bąków, gdyż pomogły mu dojść do łosia na jakie sto pięćdziesiąt kroków a może nawet bliżej. Podniósł się więc z poza krzaków wiklinowych i wycelował do zwierza z aparatu kinematograficznego.
Łoś poruszył niespokojnie łyżkami[4] i ciężkim galopem pomknął przez krzaki. Długo migał w gęstwinie jego ciemny kark z najeżoną sierścią i zarzucona wtył rogata głowa.
Jurek ścigał go, zapadając się do głębokich dołów pełnych wody, skacząc z kępy na kępę i czepiając się wolną ręką twardych pędów wiklinowych.
Biegł, nie spuszczając oczu z ciemnej sylwetki zwierza, i nagle wydał cichy okrzyk radości.
Na dużej, zupełnie odkrytej polanie ujrzał łosia w całej okazałości. Stał z podniesionym łbem i nadsłuchiwał.
Znowu zaczęło się podchodzenie, czajenie się za krzakami i, chociaż przemoczony do nitki, chłopak cieszył się, że odległość maleje szybko, gdyż zwierzę nie spostrzegało skradającego się ku niemu człowieka.
Z odległości stu kroków, ukryty doskonale za ścianą gęstych zarośli, Jurek podniósł aparat i, patrząc przez wizjer, nacisnął sprężynę. Cichy szelest sunącej przed objektywem taśmy sprawiał niewymowną radość chłopcu, gdyż wiedział już, że niezawodny, dający ostre zdjęcia aparat ogarnia krajobraz wraz z rzadkim gościem tych okolic — łosiem.
Jurek pragnąłby teraz, aby piękny byk zerwał się do biegu, aby upamiętnić na filmie jego posuwisty kłus na grząskim moczarze i potężny galop, gdy z pod racic wytryskiwały mu strumyki wody i wylatywały szmaty darniny i czarnego torfu.
Zwierz jednak nie ruszał się z miejsca. Stał, zmieniony w słuch i trwożne oczekiwanie. Wreszcie zarzucił łopaty na grzbiet i sprężył się do skoku, ale w tej samej chwili gdzieś z krzaków buchnął krótki, niegłośny strzał.
Łoś potknął się nagle, lecz natychmiast skoczył naprzód i, sadząc przez kałuże i piersią roztrącając gęstą porośl, wpadł do haszczy olszynowych i zniknął w nich.
Jurek obejrzał się, szukając człowieka, który strzelił do tej chronionej przez prawo zwierzyny.
Dokoła panowała jednak cisza i nikt nie wynurzał się z krzaków.

Chłopak poszedł ku zaroślom, skąd padł strzał, lecz i tam nie dostrzegł nikogo. Jął więc nawoływać, ale nie doszedł go znikąd głos ludzki. Rozglądał się więc bezradnie na wszystkie strony, a po chwili jakiś niepokój zakradł mu się do serca.
Rozumiał, że strzelec ukrył się gdzieś wpobliżu i zapewne patrzy na niego teraz złym wzrokiem, gdyż Jurek stał się mimowolnym świadkiem surowo karanego wykroczenia.
— Któż może przeszkodzić temu kłusownikowi wypuścić we mnie drugą kulę?! — mignęła mu nagle trwożna myśl. — Jestem bezbronny, a ciężko rannego lub zabitego niktby tu nie znalazł na moczarze...
Czując zimne wężyki, ślizgające mu się po plecach, kierował się w przeciwnym kierunku. Coraz głębiej pogrążały się stopy chłopaka w czarny torf i trafiały do głębokich dołów, napełnionych burą, cuchnącą wodą.
Na skraju bagna spostrzegł w kilku miejscach zmiętą trawę, a na mchu — świeżo odciśnięty ślad stopy ludzkiej.
Jurek odetchnął swobodniej, gdy ujrzał nad sobą ciemny namiot gałęzi olszynowych, a pod nogami — twardszy grunt. Czuł się bardzo zmęczony i głodny. Zatrzymał się więc i zaczął przypominać sobie, skąd rozpoczął pościg łosia i gdzie zostawił odebraną łasicy zdobycz.
Jednostajny, nizinny krajobraz nie pozwalał jednak zorientować się ściśle, więc chłopak machnął ręką i mruknął do siebie:
— Mniejsza o tę cieciorkę! Właściwie tak zawsze bywa, że wszystko, co zostało zdobyte z krzywdą innej istoty, na dobre nie wychodzi... Niechże tę kurę weźmie sobie jakaś inna łasica lub lis...
Postanowił odpocząć trochę, zjeść parę kawałków czekolady i ruszyć ku obozowi.
Nie obawiał się, że przyjaciele będą się o niego niepokoili, nie widząc go przy obiedzie. Nieraz już spędzali lato w obozach i każdy korzystał z pełnej swobody. Dziś jednak czuł niewytłumaczony niepokój i pragnął czemprędzej dotrzeć do Czerwiszcza tembardziej, że słońce stało już nisko.
Zaciekawiony nieznanym krajobrazem, przebywając ciężką drogę i tracąc dużo czasu na zdjęcia i skradanie się do łosia, nie zauważył nawet, że dzień miał się już ku końcowi.
Z przewieszonemi przez ramię futerałami, podpierając się długą tyką brzozową, Jurek przedzierał się ku zachodowi, gdyż jezioro leżało w tym właśnie kierunku.
Co chwila musiał brnąć przez rozlewiska i skakać przez rowy, grzązł w rozmokłej ziemi i kotłował w wysokich zaroślach olch, wiklin i nędznych, wykrzywionych brzóz.
Ujrzał wreszcie ciemną ścianę lasu, a na jej tle niebieską smugę dymu.
Biegiem skierował się w tamtą stronę i wkrótce poczuł pod nogami twardy grunt; nozdrza chłopaka pochwyciły natychmiast zapach płonącego drzewa. Istotnie na skraju lasu tliło się kilka gałęzi, a cienka struga dymu rozpływała się leniwie w wilgotnem powietrzu.
Przy małem ognisku nie zastał nikogo. Na piasku widniały świeże ślady postołów; w trawie błyszczała porzucona łuska naboju karabinowego.
— Hej, kto tu jest? Wychodźcie, nie bójcie się! — zawołał Jurek, oglądając się na wszystkie strony.

Cisza mu odpowiedziała i świegot ptaszków, zlatujących się na nocleg. Gdzieś niedaleko zawodziła wilga, a pracowity dzięcioł kuł jeszcze jakiś pień zbutwiały. Koło uszu chłopaka śpiewały swoją złośliwą pieśń basową komary, całą chmarą otaczając go, tnąc bez litości i wciskając mu się do nosa i oczu.

Obecność ludzi, którzy niezawodnie kryli się przed nim, irytowała i niepokoiła Jurka i zmuszała go do oglądania się na wszystkie strony i nadsłuchiwania. Pragnął minąć czemprędzej lasek olszynowy, za którym, jak myślał, zaczynała się puszcza dębowo-grabowa, dobiegająca aż do Czerwiszcza.

Znowu zaczął przedzierać się przez krzaki, spiesząc się i oglądając co chwila. Las skończył się wreszcie i przed oczami chłopaka w gęstym już zmierzchu

Nad bagnem rdzawem olszyniec stanął ścianą zwartą...

rozpostarła się obszerna polana. Rosły na niej trzciny, rzadkie krzaczki wiklin i samotne, cienkie brzozy. Na przeciwległym krańcu moczaru czerniała ściana lasu.

Nie chcąc już tracić czasu na obchodzenie bagna, Jurek podciągnął wyżej rzemyki aparatów, aby nie zamoczyć ich, i wszedł w wysokie sitowie. Stopy grzęzły mu w miękkiej ziemi, pluskała woda, lecz chłopiec z uporem dążył przed siebie.

Słońce wolno zapadało za lasem. Fioletowe cienie pełzły nad ziemią; nad bagnem podnosiły się już obłoki mgły i wisiały nad trzcinami, niby lekkie, zwiewne płachty.

Nad błotem przeciągały kaczory, skupiające się w stadka.

Gdzieś jęknęła czajka, zerwawszy się z kępy.

Zamierzając przebrnąć bagno przed zapadnięciem mroku, Jurek szedł naprzełaj, z radością spostrzegając, że grunt staje się twardszy, a pod nogami nie chlupie już woda. Radość jego nie trwała jednak długo, gdyż niebawem wszedł znowu na moczar okryty wysokiemi kępami, porośniętemi szczeciną twardych traw i mchu. Usiłował stąpać po nich, lecz kępy przechylały się zdradziecko, a wtedy wpadał do czarnego błota i grzązł w niem aż do kolan.

Posuwał się teraz bardzo wolno, namacując tyką twardsze miejsca lub,

opierając stopy o obsadę kęp.
Ściemniało się tymczasem.
Z coraz to większym mozołem brnął Jurek przez moczar, który, jak mu się zdawało, nigdy się nie skończy. Zapadał się coraz częściej i głębiej do topieliska i tracił długie chwile aby znaleźć jakieś oparcie dla nóg. Dotarł wreszcie do wysokich zarośli. Zmuszony był przedzierać się przez gąszcz krzaków. Nogi plątały mu się i ślizgały wśród sieci wystających korzeni, cienkie pręty smagały po twarzy i dłoniach, komary całemi rojami obsiadały go i żądliły nawet przez płótno bluzy.
Wyczerpany zupełnie stanął, aby choć trochę wytchnąć.
Poczuł nagle ból w szczękach. Zrozumiał, że z siłą zaciska zęby, chociaż nie uświadamiał sobie tego, że to upór, żądający dokonania zamierzonego dzieła — przebrnięcia bagniska, zmusił go kurczowym niemal ruchem zacisnąć zęby i iść, iść przed siebie.
Jurek wciągnął całą piersią parne powietrze i jął się rozglądać w mroku.
Ujrzał jakieś niejasne jeszcze błyski na wierzchołku stojącego woddali drzewa, a, gdy rozświetliło się ono na dobre, wydał cichy, radosny okrzyk.
Nie wątpił ani chwili, że pod drzewem płonie ognisko. Być może, Wasyl ze Staszkiem lub Olkiem, zaniepokojeni długą nieobecnością jego, wyszli na poszukiwanie towarzysza i palą gałęzie, sygnalizując mu?
— Ho — ho! — krzyknął Jurek. — Wasyl!... Stachu! Olku-u!...
Odpowiedziało mu echo, a po chwili urwane szczeknięcie i żałosny, krótki skowyt psa.
— To — Burek! — ucieszył się chłopiec i, zawoławszy raz jeszcze: — Ho-ho-ho! — jął się przedzierać przez krzaki.
Wkrótce natrafił na kładkę — raczej na kilka zrąbanych drzew, rzuconych na topiel. Jurek, ślizgając się na mokrych pniach, szedł już szybciej, gdy nagle pies szczeknął raz jeszcze, a jakiś człowiek, niewidzialny w mroku i haszczach krzyknął po — białorusku:
— Nie zbliżaj się, bo strzelę...
Chłopak stanął jak wryty, nie rozumiejąc, co znaczy ta pogróżka, lecz w tej samej chwili padł strzał. Kula z cienkim świstem przemknęła nad krzakami.
Jurek, chociaż przerażony, nie stracił jednak przytomności umysłu i natychmiast uskoczył na bok, pozostawiając kładkę, gdyż tu najłatwiej mógł być trafiony.
Starając się nie robić hałasu, powracał na moczar, aby uniknąć spotkania z tajemniczym człowiekiem. Odszedł już daleko, gdy nagle urwała się pod nim ziemia i runął w jakąś otchłań.
Przytomny i nieraz już przechodzący różne opały, szybkim ruchem przekręcił swoją tykę i oparł się na niej piersią. Wparta w korzenie krzaków i kępę trawiastą wytrzymała ciężar jego ciała. Długo gramolił się Jurek z topieliska torfowego, aż udało mu się oprzeć kolanami o coś twardego i stanął wreszcie na nogi, wyżej pasa oblepiony cuchnącem błotem.
Mrużąc oczy w mroku, rozglądał się wokół, szukając miejsca, gdzie mógłby usiąść i spędzić noc.
Postanowił porzucić zamiar wydostania się z bagniska w ciemności i doczekać się świtu. Głód dokuczał mu i coraz wściekleje cięły komary i jakieś drobne, natrętne muszki.

Namacawszy nogą zbutwiały pieniek, usiadł na nim i, zdjąwszy futerały, powiesił je na gałęziach krzaków. Roztarłszy sobie pogryziony kark i dłonie, obwiązał twarz chusteczką do nosa, podniósł kołnierz bluzy i, zabezpieczony tak od gryzących owadów, siedział bez ruchu. Chłopak łamał sobie głowę nad niepokojącą go zagadką, pragnąc dowiedzieć się, kim był ów człowiek, strzelający do niego, zbłąkanego w bajorach torfowiska?

Uciążliwą noc spędził Jurek wśród krzaków, wyrastających z topieli! Przetrwał ją jednak i o świcie, nie wynurzając się z haszczy i płosząc dzikie kaczki, wyszedł na niewysoką, piaszczystą grzędę, z radością ujrzawszy na niej głębokie, świeże koleiny. Szedł drogą i wkrótce ujrzał drabiniasty wóz, skaczący na wybojach i przechylający się z boku na bok. Powożący Poleszuk ze zdumieniem patrzał na zabłoconego chłopaka i drapał się w głowę. Zatrzymał konie i spytał:

— A co wy robicie na błocie Radno, panoczku? Toż to u nas najstraszniejszy „zybun“[5]!

Jurek opowiedział mu o całej swej wyprawie, przemilczał jednak spotkanie z zagadkowym człowiekiem i strzał do łosia. Posłyszawszy o obozie nad Czerwiszczem, chłop powiedział:

— Tak ja was, paniczu, dowiozę do wsi Czapcze... Stamtąd to już blisko do jeziora...

Koło godziny dziesiątej dojechali do Czapczy. Zapłaciwszy Poleszukowi, chłopiec ruszył drogą na wioskę Szenie i, dotarłszy do brzegu Czerwiszcza, przed południem zbliżał się już do obozu, hukając radośnie. Wszyscy zaniepokojeni długą nieobecnością Jurka wybiegli z szałasów i witali go. Naradzali się właśnie nad tem, czy nie należy dać znać do dworu o zaginięciu Jurka. Marynia z troską w oczach przyglądała się przybladłej i zmęczonej twarzy brata i jego zabłoconemu ubraniu.

— Co się z tobą działo? — pytali go koledzy.

— Zgubiłem kierunek w lesie i zabrnąłem na błoto, które się nazywa Radno! — słabo uśmiechając się, powiedział Jurek, czując ściskanie w żołądku.

— Błoto Radno! — wykrzyknął Wasyl. — Toż to, paniczu, topielisko tam prawdziwe!...

— Wiem coś o tem! — zaśmiał się chłopak, oczami wskazując na ubranie, okryte błotem i zielonemi nićmi wodorostów. — Ale, dajcie mi coś do zjedzenia! Głodny jestem, jak wilk!...

Marynia na poczekaniu usmażyła jajecznicę, aby chłopak mógł już cierpliwie czekać na obiad. Zaspokoiwszy pierwszy głód, Jurek poszedł nad jezioro umyć się i zmienić ubranie. Po obiedzie rzucił się na posłanie i usnął, jak zabity.

Rozdział V.

## WALKA ZE SZCZUPAKIEM.

Jurek obudził się nazajutrz dopiero o siódmej zrana, i, dotknąwszy dłonią kotary, powiedział do Maryni:

— Ależ zaspałem!
Siostra nie odpowiedziała mu, więc, zerwawszy się z posłania, zajrzał za kotarę. Dziewczynki już tam nie było. Prycza jej była uprzątnięta i na niej leżał biały pokrowiec.
Narzuciwszy szybko płaszcz kąpielowy, wybiegł z kurenia. Marynia naradzała się z Wasylem, chłopcy krzątali się koło kajaków.
— Dzień dobry! — zawołał Jurek. — Za chwilę będę gotów...
Po śniadaniu kompanja podzieliła się. Kucharzem miał na ten dzień zostać Wasyl, obiecując przyrządzić kapuśniak poleski i upiec ryby, schwytane wieczorem przez Olka.
Stach, uzbrojony w karabinek, podjął się towarzyszenia Maryni, która chciała namalować obrazek akwarelowy z natury i rozpocząć układanie zielnika, o co prosił ją profesor przyrody.
Olek zaś z tajemniczą miną namawiał Jurka, aby popłynął z nim kajakiem.
— Nie pożałujesz tego! — dodał zagadkowym i wzruszonym szeptem.
Gdy byli już na środku jeziora, kierując się ku jego wschodniemu końcowi, Olek zaczął opowiadać:
— Widzisz ten cypelek, nad którym zwisają gałęzie leszczyn? Siedziałem tam wczoraj z wędką. Leszcze brały znakomicie... Będziesz je dziś miał na obiad! Raz po raz wyciągam sobie ryby, aż tu widzę, że z trzcin wypływa kilka łysek i zmierza ku środkowi jeziora, gdy nagle, jak coś nie pluśnie przed niemi, i raptem czyjaś ogromna paszcza porywa jednego z ptaków! W okamgnieniu ryba wraz z łyską zniknęła w wodzie. Był to, powiadam ci, prawdziwy potwór! Postanowiłem sobie, że go schwytam na hak i właśnie dziś chcę spróbować szczęścia.
— Myślisz, że ten „potwór“ pozostaje wciąż na tem samem miejscu? — spytał Jurek, z niedowierzaniem patrząc na Olka.
— Wczoraj przesiedziałem tam cały dzień i mam powody myśleć, że grasuje on przeważnie w pobliżu leszczyn — odpowiedział kolega. — Zresztą przekonamy się o tem niebawem...
Tymczasem kajak bez szmeru zbliżał się do cypelka, okrytego gęstemi zaroślami krzaków. Olek wydobył rolkę z mocną i grubą linką. Na końcu jedwabnego sznurka wisiała srebrna rybka. Trzy kotwiczki, ukryte w pękach czerwonej włóczki, zwisały z niej. Rybak spuścił sztuczną przynętę do wody.
— Wiosłuj, ale jak najciszej! — szepnął do Jurka i zaczął wypuszczać linkę ze zwijadła.
Metalowa rybka, obracając się i błyszcząc w wodzie płynęła za kajakiem. Olek wypuścił około pięćdziesięciu metrów linki i, owinąwszy ją dokoła dłoni, od czasu do czasu ciągnął ją ku sobie i znowu puszczał wolno. Kajak po raz trzeci już przepłynął przed cypelkiem i ścianą wysokich trzcin, gdy w pewnej chwili Olek wydał lekki krzyk, przechylił się na bok i omal że nie przewrócił czółenka.
W pośpiechu jął wypuszczać linkę z rolki. Wyprężyła się jak struna i cięła powierzchnię jeziora. Młody rybak, wykręciwszy jeszcze kilka metrów linki ze zwijadła, szarpnął ją nagle i puścił wolno.
— Jest! — zawołał radosnym głosem. — Coś połknęło hak i nie ujdzie już naszych rąk, chyba, że zerwie sznurek...
Tymczasem owe „coś“ zakreśliwszy szerokie koło pod wodą, jęło holować kajak na środek jeziora.

— Wiosłuj, wiosłuj ile pary w garści! — krzyknął Olek i odetchnął z ulgą, spostrzegłszy, że linka odprężyła się znacznie. Nie trwało to długo, bo ryba, nie wypływając na powierzchnię wody, zaczęła się miotać w różne strony, zmuszając Jurka do ciągłych obrotów i zmiany kierunku. Pływali od jednego brzegu do drugiego, a Olek, to luzując linkę, to podciągając ją, nużył tem schwytaną rybę, aż wreszcie wyczerpana ukazała prawie czarny, szeroki grzbiet i, plusnąwszy ogonem, poszła na głębinę.
— Jakąż to zahaczyłeś rybę? — spytał cicho Jurek.
— Nie wiem jeszcze... — syknął chłopak z przejęciem, — ale spora, bo spora!
Ryba coraz częściej wypływała na powierzchnię i już słabiej ciągnęła linkę. Zato rybak stał się śmielszy i zmusił wkońcu zdobycz swoją do podpłynięcia bliżej do kajaku. Podciągnąwszy ją wyżej, zajrzał w toń i krzyknął do Jurka.
— Szczupak, olbrzymi szczupak! Wiosłuj ku trzcinom!...
Olek, manewrując linką i pomagając sobie bosakiem, zapędził szczupaka w trzciny, gdzie ryba nie mogła już się miotać swobodnie.
Chłopcy wciągnęli swoją zdobycz do kajaku. Szczupak na półtora metra długi ważył około 20 kilogramów. Był to stary okaz, o prawie czarnym karku i szerokim łbie, okrytym wodorostami.
— Duży jest coprawda, ten szczupak, — mruknął Olek — ale nie mógłby on porwać łyski... Zresztą zauważyłem całkiem inną paszczę — okrągłą, szeroką, gdy tymczasem łeb szczupaka przypomina głowy młodych krokodylów, które widziałem w ogrodzie zoologicznym.
— Poszukaj dobrze, a może w jego brzuchu znajdziesz pióra i dziób łyski! — zażartował Jurek, wiosłując ku cypelkowi, skąd rozpoczęli połów.
Złożywszy w wykopanym dole piękną zdobycz, wypłynęli znów na jezioro.
Olek obejrzał uważnie całą linkę i haki kotewek, poprawił na nich zdradliwe czerwone włóczki i znowu opuścił sztuczną rybkę na głębinę.
Jurek wiosłował, starając się nie pluskać i nie czynić hałasu. Pływali tam i zpowrotem, przecinając jezioro od leszczynowego cypelka do niskiego brzegu, gdzie stały nieruchome trzciny, oplecione powojami i dzikim groszkiem.
— Powracajcie do do-o-mu! — dobiegł ich głos Stacha. — O-biad na stole... Do-o do-o-omu!
Jurek obejrzał się na kolegę.
— Powracamy, co? — spytał.
— Powracajmy, — odpowiedział Olek. — Nie możemy zmuszać innych, aby czekali na nas. Zresztą — wprowadza to niemożliwy nieład w planie całego dnia... Bo, prawdę mówiąc...
Chłopak urwał nagle i wydał przeraźliwy krzyk.
Owinięta dokoła ręki linka, wyprężywszy się, przecięła mu skórę. Krew spływała czerwonemi strugami po mokrej dłoni. Olek, sycząc z bólu, nie wypuścił jednak rolki, lecz szybkim ruchem oswobodziwszy rękę, zaczął wykręcać nowe zwoje linki, z lekkim warkotem biegnącej do wody. Kajak kołysał się z boku na bok, grożąc przewróceniem się dogóry dnem.
— Na prawo, na prawo! — skomenderował Olek i krzyknął triumfującym głosem: — A nie mówiłem, że on tu właśnie grasuje?!
Linka coraz szybciej wybiegała ze zwijadła, aż wreszcie skończyła się i trzymała tylko na zatrzasku rolki. Szarpnięta potężnie, ze świstem pękła i

— kajak zakołysał się bezradnie.
— Wieloryb, czy co u licha? — spytał Jurek.
— Do wieloryba mu daleko — odpowiedział Olek, — ale to właśnie ten sam potwór, którego robotę widziałem wczoraj... A to — drab! Porwał mi najlepszą linkę z rybką... No, ale poczekaj, zbóju, spotkamy się niebawem!....
Dzieląc się wrażeniami łowów, zabrali szczupaka i popłynęli ku obozowi. Na brzegu stał Stach Wyzbicki i nawoływał:
— Do do-o-m-u klu-u-u-ski sty-...y-gną!

Rozdział VI.

## POTWÓR WODNY.

Po posiłku młodzież, sprzątnąwszy ze stołu i wymywszy naczynie, przystąpiła do przerwanych zajęć. Marynia ze Stachem poszli do lasu, gdzie dziewczynka zaczęła malować piękny, rozłożysty dąb, stojący samotnie na polanie, chłopak zaś miał zamiar wytropić, jakieś zwierzę, które na błotnistym brzegu potoku odcisnęło swe ślady.
Były to okrągłe dołki z jednej strony zlekka zazębione. Staszek zawyrokował, że przechodził tam jakiś drapieżnik, o łapach, uzbrojonych w duże pazury.
— Jakież to mogło być zwierzę? — spytała go Marynia.
— Jeżeli się nie mylę, to — ryś! — odpowiedział i dorzucił gorącym szeptem: — Chciałbym się spotkać oko w oko z tym lampartem naszych lasów!
Olek tymczasem, pozostawszy w obozie, objaśniał coś Wasylowi. Młody Poleszuk, uśmiechając się pobłażliwie, mówił:
— Rozumiem, panoczku, rozumiem! My — zwyczajni tratwy wiązać i taką dla was sklecę, że choćby po Bugu na niej można będzie płynąć bez obawy! Łucznik[6] też postawię tak, aby ogień oczu nie ślepił i dymem nie podkurzał. Wiem przecież, jak to się robi! Z ojcem często na „łuczenje“[7] jeździłem, bo my z Olczyru jesteśmy, a to tuż nad Stochodem. Tam co chłop, to — rybak!
Zaśmiał się i, wziąwszy siekierę, poszedł do lasu. Wkrótce dobiegły głuche uderzenia stali po twardych pniach i łomot kilku padających drzew.
Olek i Jurek pobiegli w tamtą stronę i zaczęli wyciągać z lasu bierwiona sosnowe, układając je na brzegu jeziora. Dobre trzy godziny mozolili się nad kleceniem tratwy, podziwiając zręczność Wasyla, który giętkiemi prętami wiklinowemi wiązał smolne belki, zbijał je drewnianemi kołkami i obciosywał, posługując się jedynie siekierą, tą nieodstępną towarzyszką leśnego człowieka, jakim jest Poleszuk. Wasyl ustawił na zaostrzonym końcu tratwy stojak z rozwidlonego potrójnie sęka i pomiędzy jego zęby wcisnął grube, smolne drzazgi sosnowe. Przed takim poleskim „łucznikiem“ wisiał płat kory, chroniąc oczy rybaka przed blaskiem ognia.
— No, a teraz musimy wyrąbać długie „szosty“[8] i ustawić wiosło od tyłu, aby móc płynąć na głębinie, gdzie nie uda wam się zmacać dna —

powiedział Poleszuk.
Strąciwszy tratwę na wodę i uwiązawszy ją, powrócili do obozu. Wasyl wziął się natychmiast do zbijania wiosła z szerokich kawałków łupanej sosny. Olek zaś chodził po zaroślach, szukając równego i długiego drzewka. Znalazł wreszcie wysoką, cienką brzózkę i, zrąbawszy ją, zdjął z niej korę, a końce opalił zlekka nad ogniskiem. Długo potem grzebał w kuferku, aż na samem dnie znalazł zawiniątko z „ością“ lub „ościeniem“ — stalowemi widełkami o czterech zazębionych ostrzach. Umocowawszy ość na drążku, przywiązał do przeciwległego końca jego cienki sznur i wysoko w powietrze podrzucił swoją broń.
— Niech-no tylko zobaczę go w wodzie, a nie ujdzie mi on tym razem! — zawołał i dodał natychmiast: — Połów ościeniem dozwolony jest tylko na największe i drapieżne ryby.
Wasyl uśmiechnął się do niego i, spojrzawszy na chłopca, poprosił:
— Weźcie mnie, panoczku, ze sobą! Wiosłować będę, a gdyby się co stało, — pomogę. Od małego chłopca nawykły ja do ości... Strach, jak lubię „łuczyć“ ryby!...
— Po wieczerzy, jak się ściemni zupełnie, popłyniemy we trzech — wy, Gruszczyński i ja! — zgodził się natychmiast Olek i opowiedział Poleszukowi o widzianym wczoraj potworze i o zerwaniu przez niego linki z rybką.
Posłyszawszy o tem, Poleszuk aż podskoczył z radości.
— Paniczku! — zawołał. — Toż to napewno — sum! Gdy Stochód na wiosnę wylewa, — to zapływają one do Czerwiszcza... Hej! Musimy my go nadziać na oścień. Duży to sum, stary, skoro łyski chwyta... Niełatwa z nim będzie robota.. ale go znajdziemy!
— Czy aby znajdziemy? — westchnął chłopak.
— A gdzieżby on się podział? — uspokoił go Wasyl. — Skrzydeł nie ma, więc nie odleci, a w jeziorze się nie ukryje, bo go wypatrzymy...
Poleszuk obejrzał uważnie ość, kręcąc głową i mrucząc sobie pod nosem:
— Słabe ma ona zęby... ale jeżeli ostrożnie bić i z rozumem, to i dobrze będzie... Tylko pamiętajcie, paniczu, żeby zaraz po wbiciu ości puścić drąg, bo inaczej — sum połamie wszystko i drzewo i żelazo... Silna to ryba... oj, silna! Jednego razu ojca mego na Pinie z „szuhalei“[9] wyciągnęła, a łódkę przewróciła!
Jurek, słuchając tego opowiadania, śledził wyraz twarzy Olka. Podobał mu się bardzo! Oczy chłopaka błyszczały odwagą, szczęki zaciskały się mocno.
— Zuch! — pomyślał Jurek z zadowoleniem. — Taki to nie cofnie się przed niebezpieczeństwem i powziętego zamiaru nie porzuci!
W milczeniu poklepał Olka po ramieniu, a gdy ten zwrócił ku niemu zdziwioną twarz, uśmiechnął się do niego i powiedział:
— Widzi mi się, że schwytasz tego suma?
— Schwytam! — potwierdził chłopak i rozdął nozdrza.
Nie wiele już czasu pozostawało do zachodu słońca, gdy Marynia powróciła ze Stachem.
Zaczęli opowiadać o tem, co widzieli w puszczy, dziewczynka zaś pokazała trzy udane rysunki akwarelowe i kilka arkuszy bibuły z rozłożonemi w niej roślinami.
Stach wypytywał Poleszuka, czy kiedykolwiek widziano rysie w okolicach

Czerwiszcza.
— W zeszłym roku w zimie, kiedy to dziedzic zaprosił gości na polowanie, — panowie ubili aż trzy rysie! — zawołał Poleszuk. — Niedawno słyszałem, jak gajowy Nikolak meldował we dworze, że znalazł warchlaka[10], poszarpanego przez rysia. Chłopi nasi bają, że w tych oto lasach i w sąsiednich — Karasińskich i Kuchowskich znają dziesięć, a może i więcej lęgów rysich!
Stach, posłyszawszy to, ucieszył się niewymownie i oznajmił:
— W takim razie wytropię rysia, bo ślady na ziemi i zadziory na korze olszynowej dowodzą, że myszkuje on po lesie, więc zapewne gdzieś tu niedaleko ma gniazdo. Muszę zobaczyć największego drapieżnika naszych lasów!
— Paniczu, — odezwał się poważnym głosem Wasyl — niełatwa to rzecz a i niebezpieczna! Posłuchajcie — opowiem wam, jak pewnego razu mój dziad miał spotkanie z rysiem, gdy „gajował“ w Kuchowskiej puszczy...
Wasyl chciał rozpocząć opowiadanie, lecz Olek wstał i patrząc na czarne, zachmurzone niebo, powiedział:
— Czas na nas! Ciemno i cicho — najodpowiedniejsza pora!
— Co prawda, to prawda! — zgodził się Poleszuk i, zgarnąwszy suszące się przy ognisku łuczywo, narzucił na ramiona szarą sukmanę.
Olek, raz jeszcze sprawdziwszy nasadę ości, podniósł oczy na Jurka i szepnął do niego:
— Chodźmy już!
Spojrzawszy na Marynię i Stacha, dodał żartobliwie:
— A wy, dzieciaki, spać!
„Dzieciaki“ odprowadziły jednak rybaków do brzegu i długo jeszcze stały, przyglądając się tratwie, która płynęła po czarnej, nieruchomej wodzie.
Rybaków, dawno już pochłonął mrok, ale po jeziorze sunęła szeroka smuga światła. Smolne drzazgi rozsypywały czerwone i złote iskry, drobne węgle wpadały do wody i wnet gasły z cichym sykiem.
Na tratwie panowało milczenie.
Poleszuk ostrożnie opuszczał szerokie wiosło do wody, wpatrując się w stojącego na dziobie Olka. Chłopak, oparty o drążek ości, pochylał się nad tonią i badał dno, oświetlone ogniem „łucznika“. Widział wyraźnie zarośle traw wodnych i kołyszące się płachty wodorostów. Tam i sam błyskały srebrem łuski uśpione ryby, powolnie poruszające płetwami. Niby jakieś potwory wieloramienne, leżały zwalone w nieładzie pnie drzew, oddawna skamieniałe i czarne. Śród gałęzi ich spały liny, a w mule dennym, wystawiwszy ciemne grzbiety, kryły się leniwe karasie.
Tratwa płynęła cicho. Syczały, wpadając do wody, drobne, rozżarzone węgielki.
Jurek dorzucił świeżych szczap na palenisko „łucznika“ i przykucnął tuż za przyjacielem.
Długo jeszcze krążyli po jeziorze, zataczając na niem coraz węższe koła i zbliżając się powoli i ostrożnie ku cypelkowi leszczynowemu.
— Stój! — rzucił nagle przez zęby Olek, prostując się i prężąc cały.
Wasyl zatrzymał tratwę tak gwałtownie, że zakołysała się cała, a snop iskier posypał się z „łucznika“.
Olek, trzymając ość w prawej ręce, podniósł ją wysoko, a, opuściwszy ostrze do wody, z siłą wbił je głębiej. Po chwili schwycił wystające do

połowy drzewce i przycisnął je ramieniem.
W tej chwili potknął się, pochylił nad wodą i wpadłby zapewne do jeziora, gdyby Jurek nie zdążył schwycić go za pasek.
— Jest! Jest! — wołał podnieconym głosem rybak. — Ogromny, jak kloc drzewa, sum — potwór, powiadam wam! Trafiłem go dobrze — w sam kark, wprost za łbem...
Nie skończył, bo zaczęły się dziać rzeczy niezwykłe. Sum wyrwał ość z rąk chłopca i byłby ją wciągnął na głębinę, lecz Olek zdążył złapać sznur, uwiązany do drążka.
— Panoczku! — zawołał Wasyl. — Oj, wyrwie on sobie żelazo, jeżeli tak ciągnąć będzie! Przywiążcie lepiej do sznura kloc, co pod „łucznikiem“ leży i puśćcie suma, niech się sam powoli zmorduje...
Chłopak usłuchał Poleszuka i, uwiązawszy sznur do sporego kawałka pnia brzozowego, zrzucił go z tratwy.
Kloc, niby pływak olbrzymiej wędki, kołysał się na wodzie, kilka razy zanurzając się w niej zupełnie i znów wypływając. Tratwa zdążała za nim, a gdy dopływała, Olek podciągał sznur, wydobywając z wody drążek i znowu naciskając go. Po pewnym czasie sum zaczął wynurzać się z jeziora i z jakimś dziwnym dźwiękiem, podobnym do westchnienia, wciągał powietrze.
Minęło jeszcze sporo czasu, zanim Olek, ująwszy drążek, podciągnął go ku tratwie. Ryba nie stawiała już oporu. Gdy sum wypłynął koło dziobu tratwy na głębokości metra, Jurek zajrzał do wody i natychmiast wydał okrzyk zdumienia.
— Boże, cóż to za potworna bestja!
Ryba, wypocząwszy nieco, plusnęła potężnie i powróciła na głębinę. Przez pół godziny jeszcze trwało holowanie tratwy, bo Olek sznura już nie puszczał, aż wkońcu ustały bezładne miotanie się i nagłe szarpnięcia schwytanej ryby.
Skierowawszy tratwę na piasek przybrzeżny z nielada mozołem wydobyli olbrzymią rybę z gąszczu trzcin i oplatających ją śliskich pędów grążeli. Ujrzawszy ją w całej okazałości, leżącą na piasku nie mogli powstrzymać się od okrzyków zdumienia i triumfu. Mieli bowiem przed sobą jedną z największych ryb wód europejskich, prawdziwego potwora o przerażającym wyglądzie.
Ciemno granatowy grzbiet suma, zielonkawe boki i jasny brzuch z czarnemi plamami i pasmami na skórze, pozbawionej łusek, zdradzały potężne mięśnie, lecz szczególne wrażenie wywierała olbrzymia, prawie zupełnie okrągła głowa i otwarta paszcza, z kilkoma rzędami zębów. Z górnej szczęki zwisały dwa długie, prawie białe wąsy, z dolnej — cztery krótsze, o czerwonawem zabarwieniu.
— Wieloryb! — zawołał dumny ze swej zdobyczy Olek.
— Masz rację! — odpowiedział Jurek. — Czytałem gdzieś, że w Szwecji nazywają suma „niemieckim wielorybem“. Taki jegomość łyka podobno nietylko jakieś tam marne łyski, ale nawet gęsi domowe. Rybacy naddunajscy unikają sumów, gdyż są przekonani, iż one mszczą się za schwytanie ich i, przewróciwszy łódź, rozszarpują ludzi.
— Co będziemy robili z taką kupą mięsa? — spytał Olek.
Wasyl chrząknął w kułak i niepewnym głosem zaproponował:
— Przyholujemy go do obozu, a potem sprowadzę kupca, który zapłaci

wam za suma dobre pieniądze... Tak myślę, że pociągnie on ze sto kilogramów...

Chłopcy, wysłuchawszy rady Poleszuka, przez pewien czas namyślali się, wreszcie Olek potrząsnął głową i oznajmił:

— Nie możemy tego robić! Mogłem wprawdzie schwytać suma, ale należy on do właściciela jeziora. Musimy mu rybę odesłać...

— Zupełnie słusznie! — podtrzymał kolegę Jurek. — Wasyl skoczy zatem jutro do dworu, sprowadzi furmankę i odwiezie suma dziedzicowi z listem od nas...

Poleszuk kiwnął głową i mruknął:

— Sprawiedliwie to będzie...

Napatrzywszy się dobrze na swoją zdobycz, którą Gruszczyński nazajutrz obiecywał sobie sfotografować z różnych stron, rybacy postanowili powracać do obozu. Wkrótce, podważywszy ciężkie cielsko drągami, strącili je na głębinę.

Tratwa ruszyła ku przeciwległemu brzegowi. Sunęła bardzo powoli, gdyż za rufą to pogrążając się w jeziorze, to wypływając na powierzchnię jego, wlókł się potworny kadłub suma, holowanego na sznurze.

Wyciągnąwszy rybę na brzeg i przykrywszy go trzcinami i ściętą wikliną, rybacy poszli do obozu, dzieląc się wrażeniami zakończonych łowów. Rozstali się przed kureniami, a Jurek przypomniał Wasylowi, żeby jak najwcześniej wyruszył do dworu po furmankę.

— Ale zabierzcie z sobą list, który dziś jeszcze napiszę do dziedzica — powiedział chłopak i, pożegnawszy Poleszuka i Stacha, ostrożnie, aby nie zbudzić siostry, wślizgnął się do szałasu. Zapalił latarkę elektryczną i napisał list do właściciela majątku Czerwiszcze, dziękując mu za gościnę w jego posiadłościach i odsyłając suma, schwytanego przez Olka Malewicza.

Zgasiwszy światło, położył się i natychmiast usnął. Spał jednak niespokojnie, gdyż śniły mu się na zmianę, to olbrzymia paszcza suma, to znów ponure oczy człowieka, zaczajonego w haszczach na błocie Radno. Męczyło chłopaka i drażniło, że widział wyraźne oczy kłusownika, lecz nie mógł rozejrzeć ani rysów jego twarzy, ani samej postaci.

Rozdział VII.

## PRZERWANA WYPRAWA KINEMATOGRAFICZNA.

Pierwsze śniadanie spożyli we czwórkę, gdyż Wasyl zapewne przed świtem jeszcze poszedł do dworu. Jurek nie słyszał, jak Poleszuk wchodził do kurenia, aby zabrać przygotowany przez chłopca list.

— Właściwie, — powiedział Gruszczyński, patrząc na siedzące przed nim towarzystwo, — nie jesteśmy w porządku. Powinniśmy byli odrazu po założeniu obozu, odwiedzić dziedzica i podziękować mu za gościnę.

Olek skrzywił się pogardliwie i mruknął:

— Przesądy! Niepotrzebne ceregiele...

Marynia i Stach Wyzbicki milczeli, więc Jurek znowu się odezwał.

— No, nie przeczę, że bez nich też żyć można... ale myślę, że grzeczność

znakomicie ułatwia i umila życie. Gdyby wszyscy stosowali to prawidło w stosunkach wzajemnych, nie byłoby zapewne, awantur, bijatyk i nieprzyjaźni, wynikającej z błahego nieraz powodu... Opowiadał mi kolega-marynarz, że, będąc w Japonji, dziwił się powszechnie panującej tam uprzejmości. Śmiałem się, gdy posłyszałem, że pewien wieśniak japoński, potrącony przez rowerzystę, podniósł się natychmiast i zaczął go przepraszać, że swojem niezgrabnem ciałem śmiał zagrodzić mu drogę!
— A to ci chińska heca — wybuchnął śmiechem ubawiony Olek.
— Raczej — japońska — poprawił go Stach.
— Przekonaliście mnie... — mruknął Olek, poważniejąc nagle. — W niedzielę pojadę do dworu, a i wy ze mną... Ale Marynia i Stach nic jeszcze nie wiedzą o naszych nocnych przygodach! Posłuchajcie więc, bo to, doprawdy, — ciekawe!
Olek i Jurek, przerywając sobie wzajemnie, zaczęli opowiadać ze wszystkiemi szczegółami przebieg wyprawy na suma. Gdy skończyli Jurek wstał i, przyniósłszy aparat fotograficzny, powiedział:
— Teraz radzę wam obejrzeć tego potwora! Przy tej sposobności sfotografuję was przy sumie, na tle jeziora!
Dziewczynka i Stach oczom swym nie wierzyli, że na jakiś tam marny „widelec“, jak Marynia nazywała ość, można było schwytać tak potężną rybę. Olek chodził dumny i uśmiechał się triumfująco.
— Jabym i większego jeszcze olbrzyma złapał, gdyby tylko one zamieszkiwały nasze wody! Ale, po ukończeniu szkoły, a potem politechniki, uciułam sobie trochę grosza i zaraz wyruszę na morza południowe. Czytałem opisy łowów dwuch Anglików — Holcombe’a i Hedges’a, którzy, nie uwierzycie mi, jeżeli powiem, że schwytali na wędkę (ale jaką!) piłoryby o wadze 4.500 funtów i rekiny do 1.500 funtów. To dopiero prawdziwe łowy i cóż wobec nich znaczy mój 250 funtowy sum?!
— No, tak, tak! — pocieszała go Marynia. — Jednak i jezioro Czerwiszcze — to nie podzwrotnikowe morze, Olku! Twój sum — to niebylejaka zdobycz! Możesz być z niej dumny!
— Ustawiajcie się i róbcie inteligentne twarze! — przerwał tę rozmowę Jurek. — Fotografuję! Raz, dwa... trzy!
Zrobiwszy kilka zdjęć, Jurek pożegnał siostrę i przyjaciół i, podpierając się wyrąbanym w lesie mocnym i wysokim kijem brzozowym, jakiego używali dawni pielgrzymi, ruszył w stronę lasu. Tym razem wybrał jednak inny niż poprzednio kierunek. Wkrótce wszedł do lasu dębowego, przedzierając się przez gęsty jego podszyt. Wierzby, krzaki porzeczki czarnej, kruszyny i kaliny tworzyły haszcze trudne do przebycia, ale zato stanowiły doskonały teren dla ukrycia się na nim i podglądania zwierząt i ptaków.
Jurek, choć szedł naprzód bardzo wolno, ocenił wkrótce te zalety miejscowości.
Posłyszawszy jakieś chrapliwe parskanie, wytknął głowę z zarośli porzeczek i usiłował zajrzeć w głąb lasu. Postąpił z całą ostrożnością kilkadziesiąt kroków i spostrzegł spore stado dzików, pasących się w dąbrowie. Zrobiwszy kilka ciekawych zdjęć na taśmie filmowej, przyglądał się zwierzętom, nieprzeczuwającym obecności człowieka.
Lochy[11] rozgrzebywały ryjami warstwę liści zeszłorocznych i darniny, szukając żołędzi, korzeni i innego pożywienia; wesołe, ruchliwe warchlaki

żerowały wpobliżu, co chwila wszczynając bójki i trącając się ryjami; ciemniejsze od nich i większe wycinki, błyskając wystającemi już szablami i fajkami[12], wydawały basowe chrząkania i ponuro spoglądały na błotnistą kotlinkę, ze świstem węsząc i jeżąc pióra, jak myśliwi nazywają szczecinę na karkach dzików.

Gdzieś na szczycie dębu zaskrzeczała nagle sroka. Zeskakując z gałęzi na gałęź coraz niżej i niżej, wrzeszczała przeraźliwie i trwożnie. Zapewne spostrzegła zaczajonego w krzakach chłopca i skrzekiem usiłowała przestrzec dzikich mieszkańców puszczy o możliwem niebezpieczeństwie.

Wkrótce dopięła swego, gdyż dziki, sapiąc gniewnie i fukając, opuściły żerowisko. Migały jak cienie tam i sam pomiędzy ciemnemi pionami drzew, a za niemi, trzymając się haszczy, nadążał odyniec, potrząsając siwym karkiem, okrytym zeschłemi grudkami błota i żywicą.

Jurek zdążył wziąć go na cel i... sfotografować.

Drąca się, jak opętana, sroka odleciała, ale skrzek jej zwabił najciekawszą zapewne na świecie istotę — wiewiórkę.

Posłyszawszy odgłosy jakiejś awantury, mknęła, skacząc z drzewa na drzewo, aż po gładkim pniu dębu ześlizgnęła się na ostatnią nad ziemią gałęź i, przewieszona przez nią, zerkała czarnemi oczkami, nadstawiając uszki i cicho zgrzytając ząbkami. Nie widząc nic ciekawego i nie spostrzegłszy Jurka, machnęła rudą kitą i wyciągnęła się rozkosznie na grubej gałęzi.

Wydać się mogło, że usnęła, znużona całodziennem skakaniem po drzewach. Nie spało jednak rude, wesołe zwierzątko, gdyż zaledwie krzyknął kos, śmignęła czerwienią futerka i w mgnieniu oka dała nura w zielony gąszcz listowia.

Bystrooki, czarny drozd, pospolicie nazywany kosem, pełni dobrowolnie obowiązki stróża bezpieczeństwa. Spostrzegłszy jakieś drapieżne zwierzę lub ptaka, siada na wysokiej gałęzi i wydaje jednostajny, miarowy krzyk: „ljutt... ljutt... ljutt!“.

Różni się on bardzo od zwykłego, melodyjnego głosu tego miłego ptaka leśnego, a, gdy rozlegnie się to monotonne, ale pełne ukrytej trwogi nawoływanie, — inne ptaki, zające, myszy i wiewiórki chowają się czemprędzej na wysokich gałęziach i w trawie.

Wiewiórka, migając kitą wśród liści, oglądała całą okolicę. Przekonała się wkrótce, że na jasnem niebie nie widać ani jastrzębia, ani bystrej kani. Zrozumiała wtedy, że alarm kosa zwracał uwagę na ziemię, więc zatrzymała się na chwilę i zajrzała wdół, gdzie krzaki i wysokie badyle jakichś zielsk stłoczyły się w zbity, pogmatwany gąszcz.

Coś spostrzegła tam widać, bo, nie oglądając się już, popędziła naoślep, uchodząc dalej i dalej.

Nietylko jednak bystrooka wiewiórka i czujny kos wypatrzyły drapieżnika, rozejrzał go również wśród butwiejącej leżaniny zaczajony w krzakach Jurek i, nie zwlekając, puścił w ruch taśmę.

Na okrytej mchem i białemi gąbkami kłodzie dębowej stało piękne zwierzątko. Ciemno-bure futerko okrywało zwinne, długie ciało jego z cienkim ogonem; żółta plama na gardle i śnieżno-biały brzuszek małego drapieżnika odcinały się wyraźnie na zielonem runie mchu.

Jurek poznał kunę, bo tyle razy śledził w zoologicznym ogrodzie jej wężowe, zawsze niespokojne i skradające się ruchy. Zwierzątko podniosło

ostrą mordkę i, przebierając łapkami, wpatrywało się w gąszcz liści. Kos, przekonawszy się, że dopiął swego celu, zerwał się z gałęzi i, przeleciawszy nad głową chłopca, wpadł w zarośle kruszyny. Pod stopą Jurka trzasnęła sucha gałązka, a dźwięk ten spłoszył kunę. Przywarła do kłody i, niby wąż, bez szmeru ześlizgnęła się z niej i przepadła, jak kamień, wrzucony do wody.
— Niby rozpłynęła się w powietrzu lub wsiąkła w mech... — pomyślał Jurek, bardzo trafnie określając nieuchwytny ruch zwierzątka. Szczęście sprzyjało mu. „Wykręcił“ około dwudziestu metrów taśmy i był pewien doskonałych zdjęć i to jakich?! Najtrudniejszych do wykonania i najdroższych, bo z natury!
— Dzikie zwierzęta na wolności, w zwykłych warunkach ich życia! — myślał chłopak. — Żeby zrobić dziesięć metrów filmu z tygrysem, panterą lub słoniem, amerykańscy operatorzy filmowi odbywają długie wyprawy, kosztujące setki tysięcy dolarów... Ja robię to samo z naszemi dzikiemi mieszkańcami puszczy, ale bez dolarów i długich wypraw... Jakżeż mało dotychczas zrobiono w tej dziedzinie! A jakie to ciekawe i porywające! Tak myśląc, szedł dalej i rozglądał się dokoła. Sroka i kos jednak popsuły plany kunie i... kinematografiście-amatorowi. Zwierzęta umknęły gdzieś daleko, lub zaszyły się w gąszczu i ostępach leśnych. Jurek nic więcej nie spotykał i zamierzał już wyjść na przecinającą puszczę drogę, znaczącą się woddali żółtą wstęgą sypkiego piasku, gdy gdzieś bardzo blisko siebie posłyszał ostry i przeciągły świst. Rozsuwając kijem cienkie pędy trzmieliny i gąszcz kostrzewy, ciernistej paproci i mietlicy, ujrzał wreszcie żmiję. Zwojem cienkiego ciała przyciskała do ziemi nieżywą już mysz, i rozwarłszy paszczę, syczała. Chłopak był przekonany, że gniew gada skierowany jest nie na niego i że to coś innego drażni go. Kiedy poruszyła się jakaś sucha gałąź, chłopiec spostrzegł drugą większą żmiję. Unosząc płaską głowę i co chwila śmigając cienkim językiem, czołgała się szybko, prześlizgując się pomiędzy kawałkami drzewa i badylami. Jurek, przewidując ciekawe widowisko, przygotował się do zdjęć, lecz nadzieje jego nie spełniły się. Mniejsza żmija, nie oczekując napadu zbliżającej się bandytki, sycząc coraz rozpaczliwiej, wsunęła się pod sterczący, zgniły pień, pozostawiając swoją zdobycz na łasce losu. Jurek po chwili robił zdjęcie napastnicy, spokojnie zabierającej się do uczty.
Chłopak wiedział dobrze, że żmija jest gadem niebezpiecznym. Mignęła mu narazie myśl, że należałoby zabić tę jadowitą gadzinę, lecz natychmiast zjawiła się inna myśl i Jurek szepnął do siebie:
— Natura wytworzyła wiele rodzajów istot żyjących, a zatem mają one prawo do życia, jak i ja. Któż może upoważnić mnie do zamordowania choć jednej z nich?
Takie rozumowanie Jurka przerwał cichy, odległością zapewne zagłuszony strzał.
Jak się chłopakowi wydało, dobiegł on od strony jeziora, więc Jurek nie wątpił, że to Staś Wyzbicki strzelił do jakiegoś jastrzębia lub raroga. Wyszedł na drogę i, brnąc po piachu, ruszył ku obozowi, gdyż ten „trakt“ poleski przebiegał zapewne niedaleko północnego brzegu Czerwiszcza. Szedł szybko, postukując swym kijem pielgrzymim. Słońce prażyło żarem

nieznośnym. Bąki cięły przez bluzę i uwijały się dokoła, nad głową i koło twarzy bzykały jakieś drobne muszki.
Jurek stanął nagle jak wryty, zapominając nawet o aparacie. Przez drogę dwoma susami mignął lis, a za nim w pełnym biegu locha z trzema warchlakami, o kilka zaś kroków dalej dwie sarny przesadziły rów i znikły w krzakach podszytu leśnego.
— Cóż to za tak niedobrane towarzystwo? — zadawał sobie pytanie chłopiec. — Dziki gonią lisa, a sarny — dziki? Koniec świata — czy co?
Znowu już znacznie bliżej huknął strzał, a w chwilę potem rozdarł powietrze przeraźliwy krzyk.
Echo poniosło go od drzewa do drzewa, powtarzając na różne głosy, wreszcie zgubiło się gdzieś w dalekiej kniei.
Jurek zbladł straszliwie. Poznał głos Stacha. Na myśl przyszły mu natychmiast słowa kolegi, że będzie tropił rysia.
Strzał... potem drugi i... ten krzyk pełen zgrozy... Co się tam stało?
Pytanie to zadał sobie, biegnąc już w kierunku strzału, czując, że serce bije mu gwałtownie, a niepokój zimną obręczą ściska je.
Nagle wydał cichy jęk, bo przez tupot własnych nóg, szelest roztrącanych krzaków i trzask tratowanych gałęzi, ucho jego pochwyciło jeszcze jeden strzał.
Teraz, nie myśląc już o niczem, biegł naprzełaj.

Rozdział VIII.

## TROPEM RYSIA.

Wkrótce po odejściu Jurka, Stach Wyzbicki, obejrzawszy karabinek, spytał Marysi:
— Olek wybiera się pieszo na Stochód, aby spróbować tam szczęścia... Co do mnie, to miałem zamiar poszukać tego rysia, którego ślady widzieliśmy wczoraj w lesie, ale nie wiem, czy mogę odejść, gdy Marynia pozostaje sama w obozie?
Dziewczynka spojrzała na niego z oburzeniem.
— A cóż mi się stać może? Nie jestem przecież niemowlęciem! Niech Stach idzie i nie robi sobie żadnych ze mną ceremonji. Mam przecież towarzysza i obrońcę, bo Wasyl zostawił Burka, uwiązawszy go do drzewa... Muszę popracować nad zielnikiem, więc z obozu dziś nigdzie się nie ruszę...
Po tej rozmowie chłopcy rozeszli się w różne strony. Olek, zabrawszy wędki i plecak z imbrykiem i żywnością, skierował się ku rzece, Staszek zaś poszedł do lasu w kierunku południowym.
Nie miał zamiaru zapolowania na rysia, bo byłoby to szaleństwem. Małokalibrowy karabinek nie nadawał się do tak zuchwałego przedsięwzięcia. Chłopak pragnął tylko wytropić plamistego kota i przyjrzeć mu się w puszczy.
Długo brnął po piaszczystej glebie, okrytej wrzosowiskiem. Sosny, o złotych w słońcu pionach, stały nieruchomo, sącząc aromat żywiczny. W niskiej porośli śpiewał drobiazg skrzydlaty — szczygły, czyże i czeczotki.

Wyżej fruwały krzywonosy, przelatując z gałęzi na gałęź i czepiając się szyszek sosnowych. Gdzieś w krzakach w pobliżu wody pokrzykiwała wilga.

Bór skończył się wkrótce i chłopaka otoczyła puszcza mieszana, gdzie dęby, graby i jesiony wyparły już sosny, a gąszcz olch, osik i brzóz głuszył drobną młódź sosnową.

Znikły wrzosy, a zamiast nich panoszyły się wszędzie paprocie, modrzewnice, bliźniczki i trzęślice.

Niekiedy stopy chłopca tonęły w miękkich poduszkach mchu, z którego wyrastały krzaczki borówek i czernic.

Obchodząc zwaliska burzołomu, Stach spłoszył głuszycę. Drgnął i stanął, gdy z łopotem skrzydeł i basowym krzykiem ptak wyrwał mu się z pod nóg i, usiadłszy na gałęzi, „kokać“ zaczął gniewnie. Chłopak, rozejrzawszy się dokoła, spostrzegł gniazdo, ukryte pomiędzy kępami mchu. Sześcioro piskląt, przyciśniętych do siebie, leżało na jego dnie bez ruchu. Naśladowały kupkę suchych liści dębowych, z opierzenia podobne do nich, gdyż natura, nadając im zabarwienie ochronne, broniła ich tem przed napastnikami.

Chłopak uśmiechał się, widząc, jak maleństwo zerka w jego stronę czarnemi oczkami i coraz mocniej przyciska się do siebie, ostrzegane coraz bardziej trwożnym głosem matki.

Stachowi wydało się, że rozumie krzyk starej.

— Ko-ko-ko-ko! Uważajcie!... Stoi jeszcze ten olbrzymi drapieżnik... Nie ruszajcie się!... Zamknijcie oczki, bo błyszczą wam, jak gwiazdki!... Ko-kok! Ko-ko-ko-ko!

Chłopiec poszedł dalej, słysząc, jak śmiertelnie strwożona głuszyca zleciała z drzewa i z łomotem wpadła w zwaliska suchych gałęzi.

— Szkoda, że nie poszedł ze mną Jurek! — pomyślał Stach. — Nakręciłby pięknych kilka metrów ciekawego filmu!...

Szedł, badawczym wzrokiem rozglądając się na wszystkie strony. Nic nie mogło ujść jego uwagi, gdyż wyrobił już w sobie spostrzegawczość i czujność myśliwego.

Wkrótce spostrzegł nieomylne oznaki grasującego w puszczy rysia.

Po raz pierwszy ujrzał je, doszedłszy do brzegu potoku. Nad jego czarnem łożyskiem wysokie olchy pochylały swe gładkie piony, tworząc kopułę z koron, których nie przebijały złociste strzały słońca. Na korzeniach, wystających z czarnej, wilgotnej ziemi, bielały długie zadziory — blizny od ostrych pazurów. Trochę dalej, na błocie widniały okrągłe ślady z wklęśnięciami wewnątrz.

Nie czekając dłużej, chłopak na wszelki wypadek odsunął bezpiecznik karabina i przeskoczył rów z czarną wodą i wystającemi z niej nagiemi gałęziami.

Odszukawszy ślady na przeciwległej stronie, Stach starał się domyśleć, jaką drogę przez zarośla wierzb i wiklin obrał sobie centkowany kot, wychodząc z legowiska.

Jakaś dziwna cisza panowała w puszczy, jakgdyby przytłoczywszy ją swym ciężarem.

Umilkły drobne ptaszęta, a nawet bąki huczeć i brzęczeć przestały.

Nastrój ostrego oczekiwania i jakiejś grozy mimowoli udzielił się Stachowi. Nozdrza mu się rozdęły, a dreszczyk wzruszenia przebiegł mu

po grzbiecie. Nie mógł powstrzymać się, aby nie drgnąć, gdy z gęstwiny, robiąc olbrzymie skoki, wypadł kozioł. Przesadził jednym susem potok i krzaki nadbrzeżne, mignął białym „talerzem“[13] i zniknął w zaroślach. Drozd, jak kamień ciśnięty z procy, wyfrunął z krzaków i, usiadłszy na wysokiej gałęzi, wydał przeraźliwy krzyk.
Stach patrzał i słuchał, lecz najlżejszy nawet szmer nie dobiegał jego uszu. Znowu zapadła ciężka, przyczajona cisza. Ani źdźbło trawy, ani badyl, ani cienka gałązka wikliny nie poruszały się i nie chwiały.
— Co się tu dzieje? — miotała się w głowie Stacha trwożna myśl.
Coraz wyraźniej wyczuwaną grozą wiało z nieznanych mateczników puszczy, gdzie człowiek rzadko, a może nawet nigdy nie docierał.
Chłopak uspokoił się wkrótce i zamyślił się nad tem, jak źle musi się czuć samotny człowiek, zbłąkany w ciemnej, pełnej dzikich zwierząt dżungli afrykańskiej, brazylijskiej lub indyjskiej, którą tylko im znanemi przesmykami przecinają lwy, jaguary i tygrysy, a z konarów potężnych drzew zwisają potężne ciała plamistych pytonów i boa-dusicieli.
Rozmyślania te przerwał przenikliwy syk i głośne, złe prychnięcie.
Dźwięki te rozległy się nad głową stojącego bez ruchu chłopca. Szybko podniósłszy oczy, ogarnął wzrokiem potwornie powyginane konary dębu i wtedy odrazu spostrzegł plamistą skórę rysia, rozpłaszczonego na grubej gałęzi.
Drapieżnik, przywarłszy całem ciałem do nagiego sęku, raz po raz potrząsał czarnemi pędzelkami[14] przyciśniętych do głowy uszu, rozwierał paszczę, syczał i prychał, jak rozwścieczony kot. Jasno-żółta, okryta czarnemi centkami skóra drżała na nim, poruszana prężącemi się mięśniami. Płomienne, groźne ślepie wbijał w źrenice chłopaka.
Ryś wyprężył się cały i drżał. Jeszcze chwila i — runąłby na chłopaka.
Stach siłą woli zmusił serce, aby nie tłukło się bezładnie w ciężko oddychającej piersi, głębiej wciągnął powietrze i, błyskawicznym ruchem zmierzywszy do zwierza, nacisnął cyngiel.
Charcząc i koziołkując w powietrzu, ryś spadł na ziemię, wił się i miotał, wyrywając całe szmaty darniny. Zrepetowawszy strzelbę, Wyzbicki podniósł ją do ramienia, lecz zwierz, jakgdyby poderwany niewidzialną siłą, wpadł w haszcze i przepadł w nich.
Stach długo nadsłuchiwał, lecz z gąszczu krzaków i traw nie dobiegł go żaden dźwięk.
— Albo się przyczaił, albo padł już — myślał młody myśliwy i, zaszedłszy z boku, ostrożnie przedzierał się przez gęstwinę. Rysia nigdzie nie znalazł. Plamisty kot zapadł się pod ziemię, zmienił się w parę i rozwiał się w powietrzu, jak sinawy dymek strzału karabinowego...
Stach nie wiedział, co ma począć. Podczas gdy stał, bezradnie rozglądając się dokoła, jakiś szybki cień mignął w krzakach, a gdy wypadł na małą polankę, Stach ujrzał rysia, który biegł, słaniając się i przypadając do ziemi.
Chłopak popędził za nim.
Ścigając już, spostrzegł, że ryś spłoszył dziki, które, skoczywszy do jakiejś kotliny, wyparły z niej lisa; dalej nieco, biegnąc naprzełaj przez zarośla oczeretów, chłopak spłoszył z żerowiska sarny. Pomknęły naoślep, tratując krzaki i miotając się w kniei.
Zziajany, nie mogąc złapać oddechu, Stach biegł za rysiem, czując, że

wkrótce jednak zmuszony będzie stanąć, bo zabraknie mu sił do pościgu. Tymczasem ciężko ranny zwierz, zdawało się, odżył na nowo i migał centkowaną skórą, uchodząc coraz dalej. W tej ostatniej, zdawało się, chwili, Wyzbicki spostrzegł, że ryś zaczął zachowywać się dziwnie. Podskoczył kilka razy na jednem miejscu, zwalił się nabok, lecz podniósł się i znowu biegł, oglądając się na swego prześladowcę i błyskając ślepiami. Pęd jego osłabł jednak znacznie i Stach wkońcu zbliżył się do niego na pięćdziesiąt kroków. Stanął i wziął rysia na muszkę, a gdy dotknęła lewej łopatki zwierza, — strzelił. Ryś podskoczył i padł bez ruchu.

Myśliwy pobiegł ku swej pięknej zdobyczy. Kilka zaledwie kroków oddzielało go od rysia, gdy kot, zebrawszy resztki sił, zwinął się w kłębek i skoczył na wroga. Był to ostatni wysiłek, — raczej chęć zemsty niż obrony, bo natychmiast runął na ziemię bez życia. Potężną łapą zdążył wszakże dosięgnąć piersi chłopca. Pod ciosem zakrzywionych pazurów, niby nożem rozpruta, pękła płócienna bluza, a z pod wyszarpniętego pasma skóry bluznęła krew. Ostry, piekący ból zmusił Stacha do wydania głośnego, niemal rozpaczliwego okrzyku. Obawiając się nowego napadu rysia, chłopak wypuścił mu w głowę trzecią kulę. Zwierz nie poruszył się więcej. Nie było żadnej już wątpliwości — ryś nie żył. Opuszczając strzelbę, Stach kolbą zawadził o ranę na piersi i znowu krzyknął z nieznośnego bólu. W oczach zawirowały mu czerwone i zielone ogniki, a dziwna słabość w nogach zmusiła go usiąść na ziemi. Chwiał się i dygotał cały. W tej samej chwili posłyszał tupot nóg, trzask gwałtownie rozsuwanych krzaków i głośne, niespokojne nawoływanie:

— Stachu! Staszku! Wyzbicki!

Chłopak poznał głos Jurka i odpowiedział mu słabym okrzykiem. Po chwili przyjaciel był już przy nim i blady ze wzruszenia oglądał jego ranę i uspokajał:

— Głębokie zadraśnięcie... To bagatela, bracie!

W oczach Jurka miotał się jednak niepokój i serdeczne współczucie. Zrzuciwszy bluzę, podarł na sobie koszulę, zrobił z niej długi bandaż i, obejrzawszy się dokoła, pobiegł szukać wody. Namoczywszy w potoku szmatę, ostrożnie obmył ranę, naciągnął na nią zerwaną skórę i, jak umiał, nałożył opatrunek, mrucząc:

— Oprzesz się na mojej tyce, a ja cię poprowadzę... W obozie zalejemy ranę jodyną, przysypiemy kseroformem[15], a Marynia omota ciebie prawdziwemi bandażami. Za trzy dni wszystko się zagoi i zabliźni. Pozostanie ci na piersi bilet wizytowy tego plamistego jegomościa, którego wezmę teraz na barana, i — ruszamy...

Po chwili szli przez puszczę, kierując się ku Czerwiszczu. Stach od czasu do czasu jęczał przez zęby i z trudem przedzierał się przez krzaki. Spostrzegłszy to, Jurek posadził go wygodnie pod drzewem i powiedział:

— Zdrzemnij się trochę, zanim sprowadzę tu nasze pogotowie ratunkowe!... Tak myślę, że Wasyl już powrócił do obozu...

Przerzuciwszy sobie przez ramię zabitego rysia, szybko się oddalił. Stach pozostał sam. Siedział, dzwoniąc zębami i dygocąc cały, gdyż rana bolała coraz

dotkliwiej. Czekał dobrą godzinę na powrót przyjaciela. Posłyszał wreszcie nawoływania i rozpoznał głosy obydwu kolegów i Wasyla. Odpowiedział im, jak mógł najgłośniej, i wkrótce byli już przy nim.
— Ależ zuch z ciebie, Staszku! — zachwycał się Olek. — Ubić takiego rysia, no — no!
Poleszuk patrzał z szacunkiem na młodego myśliwca i w milczeniu kręcił głową, myśląc:
— Taki młody, dzieciak jeszcze, a patrz-no go, jaki odważny!
— Wasylu, — szepnął Jurek, — musimy zrobić nosze!

Poleszuk wyciągnął siekierę z za pasa i w kilka minut potem nosze, okryte kocem, były już gotowe. Złożono na nich Stacha i pochód ruszył ku obozowi.

Przez topieliska i olszyńce podmokłe kładka się ciągnie na kilometry...
Marynia przygotowała wszystko na przyjęcie rannego.

Gdy chłopcy rozebrali Stacha i położyli go na posłaniu, dziewczynka przystąpiła do czynności sanitarjuszki, zalała ranę jodyną, przysypała kseroformem i czystym bandażem owinęła pierś. Ranny, łyknąwszy proszek aspiryny, pił wkrótce gorącą herbatę z kwasem cytrynowym.
Stach miał gorączkę, a dreszcze wstrząsały nim. Zaniepokojona tem Marynia nalegała, aby Wasyl czemprędzej pojechał do dworu i poprosił o przysłanie lekarza. Nie minęło jeszcze dwóch godzin, gdy przybył powóz, aby odwieźć chorego do pobliskiego miasteczka, gdzie znajdowało się ambulatorjum.
Administrator pisał, że gospodarz z rodziną wyjechał do Worochty, on zaś radzi przewieźć rannego do Lubieszowa, gdzie jego przyjaciel, lekarz, zaopiekuje się nim.
— Nie możemy puszczać Staszka samego w gorączce... — mruknął Jurek.
— Myślałam już o tem! — odpowiedziała Marynia. — Odwiozę Stacha i będę go pielęgnowała. Daj mi tylko trochę pieniędzy, braciszku!
Na tem też stanęło, gdyż wszyscy rozumieli, że dziewczynka lepiej zaopiekuje się chorym, niż chłopcy.
— A powracajcie nam rychło! — wołali, biegnąc za staromodną karetą, uwożącą Marynię i Stacha, owiniętego w koc.
Powóz, wyjechawszy na piaszczysty trakt, zginął im z oczu.

Smutni i niespokojni powracali chłopcy do obozu. Chcąc rozproszyć ciężki nastrój, Jurek spytał kolegi:
— Czemuż, Olku, tak krótko popasałeś na Stochodzie?
— Ba! — zawołał zawzięty rybak. — Cóż miałem robić? Cała rzeka na dziesięć bodaj kilometrów, zatłoczona, zapchana tratwami, że ani szpilki wetknąć! Spróbowałem zarzucić wędkę przy brzegu, ale zaczęły brać same piskorze i te namolne wijuny poleskie... Uważałem to za poniżenie mojej reputacji pogromcy 105-kilogramowego suma, więc plunąłem i powróciłem...
— To już wiesz napewno, ile ważył ten sum?
— Administrator Czerwiszcza pięknie podziękował mi za niego i przysłał zaświadczenie, że Aleksander Malewicz w wodach jeziora Czerwiszcza schwytał suma, żywej wagi 105 kilogramów! — z dumą opowiadał Olek.
— To bardzo uprzejmie z jego strony! — zauważył Jurek.
— Bardzo mu jestem wdzięczny za takie świadectwo! Dla mnie, jako dla sportowca-rybaka może ono mieć duże znaczenie — odpowiedział chłopak. — Bo to, widzisz, pewnego rodzaju rekord polski, a może nawet i — europejski!
Tego dnia chłopcy nie opuszczali obozu. Słaniali się po nim, jak strute muchy i wzdychali żałośnie. Od czasu do czasu padały pytania:
— Czy dojechali już nasi do Lubieszowa?
— Co tam lekarz znalazł u Staszka?
— Jak się urządziła Marynia w miasteczku?
Wasyl milczał i pykał fajkę. Nawet Burek posmutniał i zwinięty w mały, kosmaty kłębek, leżał w cieniu szałasu i sapał.
— E-e, co tam?! Wszystko będzie dobrze! — zawołał wkońcu Olek.
Słowa te obudziły dobre nadzieje i dodały wszystkim otuchy.
Piesek, też zapewne, zrozumiał to, bo zaczął kręcić się, jak wściekły, łapać własny ogon i szczekać radośnie.

Rozdział IX.

## SZLAK BOHATERÓW.

Całe pięć dni nie mieli chłopcy żadnej wiadomości od Maryni. Niepokój coraz bardziej dręczył ich. Całą siłą woli zmuszali się do robienia wycieczek, zdjęć i połowu ryb, aby nie zmieniać obozowego trybu życia.
Dni te nie były zresztą pozbawione pewnych wrażeń.
Na trzeci bowiem dzień po odjeździe Stacha Wyzbickiego i Maryni, od wczesnego ranka chłopcy opuścili obóz i wraz z Wasylem wyruszyli do lasów Karasińskich, gdzie Jurek zamierzał porobić kilka zdjęć pobojowisk z roku 1920-go.
Szli traktem, biegnącym przez las. Nogi grzęzły im w głębokim, sypkim piachu, to znów zapadały się w czarnem błocie, gdy droga przecinała nizinne rozłogi. W miejscach bagnistych, z obydwu stron traktu ciągnęły się szerokie rowy. Czarna stojąca woda wypełniała je po brzegi; zarośle olch i osik stały skłębionym gąszczem na torfowym, rozmiękłym gruncie. Małe, niezgrabne żółwie, spłoszone odgłosem kroków ludzkich, wpadały

do czarnej toni, a na jej ściętym stromo upłazie biegały szare i żółte pliszki, zrywały się z przeraźliwym krzykiem kuliki, długo szybując potem nad lasem i jęcząc przeciągle.
Poleszuk wyprowadził chłopców na groblę, zbudowaną z okrąglaków olszowych. Cienkie bierwiona chwiały się i zapadały pod ich stopami, a ze szczelin pomiędzy dylami wypryskiwało czarne, płynne błoto.
— Wyobrażam sobie, jak musi być przyjemnie jechać tu bryczką! — zauważył ze śmiechem Olek, patrząc na dziury i wyłomy w grobli.
Wasyl machnął ręką i uśmiechnął się.
— Wiadomo — nasz „nakat“ poleski! — mruknął szyderczym głosem. — Ten to jeszcze mocny, na grubych leżakach oparty, ale są też i inne.
— Nasi chłopi związują bierwiona łykiem i wikliną i spuszczają na wodę, jak tratwę. Taka „droga“ trzyma się na wodzie, a ludzie chodzą po niej i nawet chwalą ją sobie!
„Nakat“ ciągnął się na cały kilometr, ale ledwie wyszli chłopcy na grząską drogę, zaczął się nowy — z belek oddawna przegniłych, mchem i trawą porosłych. Co krok napotykali wyrwy tak szerokie, że musieli je przeskakiwać, a na grubych dylach, które przechowały się jeszcze, stopy wpadały w rdzawą próchnicę.
— Ten „nakat“ — to Niemcy pobudowali — objaśnił Wasyl. — Kiedy wielka wojna aż tu się dotoczyła, — Niemcy nad Stochód zabrnęli i krwawe tu mieli bitwy z armją ruską...[16]. Zaczęli wtedy rąbać puszczę, wbijać grube pale w trzęsawisko i układać na nich „nakaty“ szerokie i mocne. Szły po nich tabory i ciężka artylerja... Teraz gniją i zapadają się nakaty niemieckie... Prędko trzeba będzie klecić nasze zwykłe, poleskie!
Powiedziawszy to Wasyl, splunął i westchnął, nie patrząc na chłopców. Nikt z nich na to nie odezwał się, więc dorzucił jeszcze z jakimś żalem w głosie:
— Ot tak i żyjemy, niczem jaźwce[17] w norach... Od świata topielą odgrodzeni, przez ludzi i Boga zapomniani...
Posłyszawszy te słowa, Jurek dotknął ramienia Poleszuka i powiedział:
— Nie skarżcie się, Wasyl! Przy Moskalach było wam gorzej... Nikt się o was nie troszczył... Nie chcieli was uczyć i pozostawiali w ciemnocie, abyście do niczego nie dążyli... Teraz, gdy Polesie powróciło do Polski...
— Powróciło — powiadacie, panoczku? — zdumiał się Wasyl.
— A tak! — potwierdził chłopak. — Ziemia ta przez króla Władysława Jagiełłę do Polski została przyłączona... Prawie 400 lat i wy i my broniliśmy stąd wspólnej ojczyzny, aż rozdarli ją wrogowie nasi i podzielili pomiędzy siebie. Teraz znowu żyjemy wspólnem życiem... Nie bójcie się więc!... Nie będzie już marnych nakatów, bo drogi tu powstaną wkrótce, a wtedy owe „jaźwce“ wytkną głowy na szeroki świat!
Jurek mówił z zapałem, a Poleszuk słuchał go ze zdumieniem, chociaż wzrok jego wyrażał niedowierzanie. Wreszcie potrząsnął głową i mruknął:
— E-e! Kiedyż to jeszcze będzie?!...
— Pewno, że nie dziś i nie jutro... Polska buduje się od fundamentów... a gdy przyjdzie kolej na ściany, to i ścianę poleską odbudujemy aż miło! Wszystko będziecie mieli — drogi, nowe koleje i kanały, które osuszą wasze błota i z nieużytków, moczarów i trzęsawisk wydobędą dla was łąki i ziemię orną...
— Czy ja się tego doczekam! — wzruszając ramionami, zamruczał Wasyl i

jął nabijać fajeczkę.
— Mam nadzieję, że doczekamy się tego wszyscy, — odparł Jurek, — ale gdybyśmy nawet nie ujrzeli tego, to — cóż znaczy życie jednego pokolenia, gdy się dokonywa tak wielkiej rzeczy, jak odbudowa państwa?! Nam się tylko wydaje, że od nas się zaczyna i na nas się kończy cały świat, a tymczasem...
Chłopak, klepnąwszy Poleszuka po ramieniu, zawołał:
— Niełatwe to zadanie doczekać się czegoś wielkiego na przestrzeni życia jednego pokolenia, bo życie to jest djablo krótkie, ale zato dostatecznie długie, aby przyspieszyć mogło to upragnione szczęście dla dobra następnych pokoleń! Zadanie każdego człowieka polega na tem, aby ułatwić życie tych, którzy przyjdą po nim... Dlatego to życie ludzkie ma wielką wartość i nie wolno ani samemu skrócić go, ani zabijać innego człowieka.
Szli dalej w milczeniu. Przerwał je Wasyl.
— Nikt mi o tem nigdy nie mówił... — szepnął.
— Tak! O tem nawet myśli się rzadko! — odpowiedział Jurek. — Chyba, że oto tak, jak dziś, raptem, zda się, bez powodu wyniknie o tem rozmowa...
Znowu wyszli na piaszczysty trakt. Zapewne oddawna już nikt tu nie przejeżdżał, bo piasek przysypał koleiny, a wrzosy i rumianki zawładnęły całem pasmem porzuconej drogi.
— Ach, patrzcie, patrzcie! — zawołał nagle Olek. — Barć na sośnie!
Istotnie do suchej już sosny, niby jakaś narośl cudaczna, przykleiła się przegniła już barć z wyłamanem dnem. Kłótliwe szpaki zagarnęły ją w swe posiadanie i porobiły w niej gniazda. Świadczyły o tem ruch i wrzawa wlatujących i wylatujących okropnie podnieconych i rozkrzyczanych ptaków. Chłopcy zrozumieli wkrótce niepokój szpaków.
Wasyl wskazał im na krążącego nad lasem pięknego sokoła-kobuza. Drapieżca powietrzny udawał, że nie ma żadnych złych zamiarów, lecz zdradzał się za każdym razem, gdy czarny szpak, niby kula, mknął pomiędzy wierzchołkami zagajnika sosnowego. Wtedy sokół robił gwałtowny zwrot i raptownie obniżał swój lot.
Jurek, przyglądający się uważnie starej sośnie, spytał:
— Wasyl, powiedzcie mi, poco tam pod barcią umieszczono okrągły pomost, przypominający raczej strzechę?
Poleszuk uśmiechnął się i objaśnił:
— Stare to dzieje, panoczku! Takie pomosty stawiano, aby niedźwiedź do pszczół się nie dobierał i miodu nie kradł, ale teraz tego już nie robią, bo niedźwiedzie rzadko zaglądają na Polesie... Podczas wojny żołnierze powybijali wszystkie... Czasem jeszcze jakiś zapędzi się z poza bolszewickiej granicy, ale i tego wnet wytropią myśliwi i ubiją!...
— Szkoda! — wyrwało się Jurkowi.
— Tego to już ja nie rozumiem! — zawołał Olek. — Żałujesz drapieżnika?!
— Mój drogi, — odpowiedział chłopak spokojnie, — dowiedziono, że niedźwiedzie w świecie zwierzęcym pełnią czynności policji...
Wasyl aż rękami zatrzepotał, zanosząc się od śmiechu.
— Ot też powiecie, paniczu!... Niedźwiedź to — policja! Cha, cha, cha! — wyjąkał wreszcie. — Ot też gadacie...
Przestał jednak śmiać się, gdy Jurek opowiedział, że niedźwiedzie tępią stare jelenie, łosie i sarny, i przez to dopomagają odmłodzeniu stad tych

zwierząt, a, pożerając padlinę, odkażają las i chronią jego mieszkańców od zarazy.
Gdy Wasyl i Olek zrozumieli, że Jurek miał słuszność, spojrzeli obaj na siebie, a Poleszuk klepnął się w czoło i mruknął:
— A my, ot tego nie wiedzieliśmy!
Olek milczał zmieszany nieco i zawstydzony nieostrożnem wystąpieniem przeciwko przyjacielowi.
Żeby pocieszyć obydwu i nie przytłaczać ich swoją „uczonością“, Jurek potrząsnął głową i powiedział żartobliwie:
— Nie jest to bynajmniej moje odkrycie! Nie podejrzewałem nawet o tak pożyteczną działalność misiów, ale przypadkowo wpadła mi w ręce pewna książka łowiecka, a w niej — łzawa tęsknota za burym kudłaczem...
Wyszli wkrótce z lasu. Błotnisty znowu i grząski trakt biegł przez rozległe łąki z rosnącemi na nich krzakami wierzb i wiklin, nad któremi tam i sam tkwiły cienkie, krzywe brzózki i nikłe sosenki, do połowy strzały okryte szaremi porostami.
Tuż przy drodze widniał wysoki krzyż, a pod nim trzy mniejsze. Jakieś nawpół już zatarte napisy pozostały na zmurszałem drzewie, upstrzonem plamami rdzawników.
Olek, pochyliwszy się, usiłował odczytać słowa, wycięte na krzyżach.
— Hm... hm... — mruknął, — jedno tylko można zrozumieć — pułk...
Jurek nic nie mówił, chociaż mógłby, a nawet chciał opowiedzieć Wasylowi o różnych wypadkach z wojny roku 1920-go, gdy to młoda, tworząca się dopiero armja polska, niosąc w swem sercu płomienne hasło Komendanta, dokonywała czynów bohaterskich nie dla własnej sławy i korzyści, lecz dla szczęścia przyszłych pokoleń polskich. Wstrzymał się jednak w obawie, żeby Wasyl nie pomyślał, iż chce pouczać go i słowami tylko, a nie czynem na stronę Polski przeciągać młodego Poleszuka.
— Niech się sam przekona o tem, co robią i co chcą zrobić Polacy dla tej krainy bagien i lasów, a wtedy może pokocha nas i zechce dowiedzieć się, o czem mówią te biedne, pochylone krzyże — myślał Jurek.
W pamięci odtwarzał sobie burzliwy rok wojny z sunącemi od wschodu krociami wrogów, pewnych zwycięstwa. Tu w tych bagnach i podmokłych olszyńcach 22-gi, 34-ty, 35-ty i 80-ty pułki piechoty wraz z 9-tym pułkiem artylerji polowej i marynarzami flotylli pińskiej wstrzymywały i odpierały nieprzyjaciela, któremu sprzyjała ludność, skuszona ich szumnemi obietnicami. Za każdym krzakiem, w każdej wsi czaił się wróg. Trzęsawiska, zawiłe koryta rzek i mateczniki leśne wszystko było wrogie i podstępne, ale wojsko, wykonując rozkazy Naczelnego Wodza, nacierało i cofało się, aby znowu atakować i wkońcu wyprzeć wroga na zawsze. Te pamiętne, bohaterskie szlaki zarosły już trawą i gąszczem młodych olszyn, ukryły się pod rdzawem zwierciadłem poleskiej „niecieczy“[18] i tylko krzyże na pobojowiskach znaczą je dotąd, świadcząc o ciężkim, ofiarnym trudzie żołnierskim, o bohaterstwie wojska polskiego i potężnej myśli i darze przewidywania Wodza.
Jurkowi odżyły nagle w pamięci strofy wiersza żołnierza-poety.

„A pola nasze, gościńce kręte,
Kędy wyrosły skrwawione mogiły
Sławą nam będą i źródłem wszechsiły“...

Chłopak, nie wypowiedział jednak swoich myśli, stojąc przed krzyżami nieznanych i zapomnianych już żołnierzy, lecz w ogarniającem go uniesieniu zerwał czapkę z głowy. Jak na komendę uczynili to samo Wasyl i Olek, gdyż udzieliły im się zapewne myśli i nastrój towarzysza.
W skupieniu sfotografował Jurek te opuszczone przez wszystkich mogiły, a, włożywszy aparat do futerału, powiedział cichym, wzruszonym głosem:
— Jakże trudna była wojna na Polesiu!... Myślałem o tem, gdym brnął po bagnach Radna... Na tym terenie mogli zwyciężyć tylko ci, co postanowili zwyciężyć lub lec pod temi krzyżami...
Wasyl milczał i oczu nie spuszczał ze zmienionej w tej chwili i surowej twarzy chłopca. Malewicz stał, wpatrzony w niziutkie, upadające już krzyże, aż wreszcie odezwał się smutnym głosem:
— Gdzieś w Warszawie lub Krakowie niepocieszeni rodzice opłakują tych poległych żołnierzy...
Gruszczyński gwałtownie podniósł głowę i powiedział z wybuchem:
— Ci z Warszawy i Krakowa powinni być dumni, że synowie ich budowali Polskę od początku!
Usiedli na skraju drogi i, posiliwszy się chlebem ze słoniną, ruszyli w powrotną drogę.
Wasyl zaproponował chłopcom, że poprowadzi ich przez las i błota Hrywińskie, gdzie, jak twierdził, zobaczą tyle kaczek, „ile piachu na trakcie“.
Poleszuk, jak się chłopcy przekonali, nie przesadził.
Przez błota biegła kładka z narąbanych pniaków brzozowych, niewidzialna zdaleka w wysokich zaroślach.
Nad bagnem miotały się wrzaskliwe czajki, a na rozlewiskach pluskały się kaczki. Barwne kaczory pływały osobno i co chwila, łopocąc skrzydłami, zrywały się i długo krążyły nad bagnem. Kaczki czemprędzej uprowadzały kaczęta w najgęstsze, niedostępne bajory i kwakały zachrypłemi głosami, zwołując do kupy rozpierzchłą młodzież.
Idąc wąską kładką i co chwila ślizgając się na niej, chłopcy ze zdumieniem przyglądali się szerokim kałużom, rojącym się od kaczek różnych gatunków. Poleszuk, wskazując tę lub inną ich gromadę, objaśniał:
— Ot tam, panicze, to — krzyżówki żerują, te — co bliżej nas pływają — to podgorzałki, a tamte, co się uganiają, bijąc skrzydłami po wodzie, — to czernice i cyranki. Patrzcie, patrzcie — dalej, koło sitowia, wypłynął i odrazu dał nura — gągol! Oho! Już schwytał wijuna i połknął..., a czarna łyska przygląda mu się teraz i zazdrości...
Z tataraków, gdzie z wody wystawały niewysokie kępy, zrywały się z głuchym krzykiem lub ostrym lamentem — duże, czarno-białe kuliki, rdzawe krzywodzioby, bitne bataljony, chyże w locie kszyki i zabawne, przewalające się wtył i wprzód biegusy głupie.
Chłopcy spostrzegli na tle sitowia, stojącą nieruchomo jakgdyby zadumaną czaplę rudawą i bąka, który, pionowo wyciągnąwszy szyję, tkwił niby suchy sęk, wystający z bagna.
Cała gromada bocianów, stąpając ostrożnie po torfowisku, maszerowała niby w tyraljerze i łykała żaby, ślimaki i pisklęta czajek.
Kładka skończyła się wreszcie, doprowadziwszy turystów do traktu, który biegł aż do przystani na Stochodzie.

Przed zachodem słońca podróżnicy zbliżali się już do jeziora. Uwiązany na łańcuchu Burek zdaleka witał ich wesołem szczekaniem i radosnym skowytem.
Niebawem z poza lasu błysnęło złociste zwierciadło Czerwiszcza. Jeszcze chwila — i stanęli przed kureniami, z zadowoleniem wdychając lekki zapach dymu, unoszący się nad przygasłem ogniskiem. Nazajutrz po rannem śniadaniu przyjaciele naradzali się nad planem dnia.
Jeszcze nie skończyli, gdy na zszerszeniałej szkapinie przyczłapał chłopak i doręczył Jurkowi list od Maryni i Stacha. Przeczytawszy go, chłopcy ucieszyli się bardzo, gdyż list zapowiadał powrót przyjaciół nazajutrz.
— Hurra! — wrzasnął Olek, a Burek zawtórował mu przeraźliwem szczekaniem. — Musimy wydać wspaniałe przyjęcie powitalne! Płynę na jezioro i obiecuję nałapać najlepszych ryb!
— Naprzykład — łososia lub kilka pstrągów! — zażartował Jurek.
— Tego nie bywa w jeziorach — zaśmiał się Malewicz i, nie zwlekając, pobiegł po przyrządy rybackie.
Goniec, otrzymawszy w upominku tabliczkę czekolady, wparł gołe pięty w chude boki kobyłki i, cmokając głośno, trząsł się już na jej ostrym grzbiecie.
Jurek robił przegląd obozu, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Nie chciał, aby siostra pomyślała, że chłopaki nie umieją podtrzymywać porządku i czystości. Miał zamiar nawet pójść po świeże kwiaty, lecz w porę przypomniał sobie, że zwiędłyby do jutra.
— Zdążę zrobić to rano, przed przyjazdem Maryni, bo przecież pisze, że przyjadą na Czerwiszcze przed obiadem!
Na myśl o prędkim już powrocie siostry i przyjaciela uśmiechnął się z zadowoleniem.
Obejrzał się, posłyszawszy plusk wody na jeziorze. To Olek, siedząc w kajaku, odbijał już od brzegu.
Nazajutrz trochę przed południem ujrzeli chłopcy na drodze szybko toczącą się karetę i pobiegli naprzeciw przybywających. Po serdecznem powitaniu wszyscy zasiedli do stołu, zaprosiwszy też furmana, który nie mógł wyjść z podziwu nad czystością, panującą w kureniach.
— Czary jakieś, czy co? — pytał, kręcąc głową.
Wasyl i Olek wystąpili z wspaniałym obiadem. Podano znakomity barszcz z konserw, okraszony kiełbaskami, gotowane liny z masłem i jajkami, i — pieczonego na rożnie węgorza. Była też i zielona sałata ze świeżego szczawiu i herbata z konfiturą morelową i biszkoptami.
Marynia opowiadała, że Stach Wyzbicki przez dwa dni gorączkował, bo rana, zadana pazurami rysia, choć zszyta przez lekarza, wciąż się jeszcze ropiła. Zmuszono Stacha, aby pokazał swoje blizny, czerwone jeszcze i zlekka obrzękłe.
Podczas obiadu zapadła nagle decyzja, aby pojechać całem towarzystwem do dworu, złożyć wizytę i podziękować uprzejmie administratorowi za pomoc i opiekę nad przyjacielem.
Cała czwórka wyruszyła w drogę.
Administrator, starszy już, inteligentny i dobrze wychowany pan Juljusz Kępski, szczerze ucieszył się, ujrzawszy młodych gości. Zaprosił ich do dworu i w oczekiwaniu przyrządzanego podwieczorku, opowiadał im o

kraju i ludzie poleskim, z zainteresowaniem wysłuchując uwag młodzieży. Rozmowa toczyła się dokoła dawnej świetności Polesia, jego upadku za panowania rosyjskiego i wysiłków rządu polskiego i społeczeństwa nad podniesieniem dobrobytu kraju, gdy weszła pani Kępska i, powitawszy gości, zaprosiła ich do stołu.
W obszernej sali jadalnej chłopcy stanęli w zachwycie. Wszystkie ściany ozdobione były rogami zabitych na Polesiu łosi, jeleni i kozłów. Głowy niedźwiedzi, rysiów, dzików, wilków i żbików, umieszczone na rzeźbionych tarczach dębowych, miały srebrne tabliczki z nazwiskiem myśliwego, datę i miejsce, gdzie padł zwierz. Wyżej, pod sufitem wyciągnęły się długiemi szeregami wypchane ptaki: orły, sokoły, jastrzębie, gęsi, łabędzie, dropie, głuszce, cietrzewie, o rozpuszczonych wachlarzach ogonów, rzadkie okazy kaczek i kulików i pelikan, który w jakiś sposób zabłąkał się w dorzeczu Prypeci, przyleciawszy razem z żórawiami lub bocianami.
Spostrzegłszy, że chłopcy interesują się zbiorami Czerwiszczańskiej rezydencji, pan Kępski pokazał im trzy stare, prawie brunatne czaszki, mówiąc:
— To są najcenniejsze rzeczy! Ta czaszka należała do olbrzymiego bykatura, który został wytępiony ostatecznie i bezpowrotnie w wieku XVII, ta zaś — do dzikiego konia leśnego, tamta — do żubra, który przed wojną przedarł się tu z puszczy Białowieskiej, pokaleczył bydło domowe i został wreszcie zabity...
Rozmowa potoczyła się wkrótce dokoła życia młodych turystów w obozie nad jeziorem. Państwo Kępscy z ciekawością słuchali opowiadania o trybie ich życia i wycieczkach. Administrator dziwił się wprawie, z jaką Olek zdobył olbrzymiego suma, i dziękował mu za dostarczenie go do dworu, skąd tegoż jeszcze dnia, obłożywszy go lodem, odstawiono rybę statkiem do Pińska.
— Jak długo zabawicie państwo na Czerwiszczu? — zapytała pani Kępska, zwracając się do Maryni.
— Za parę dni kajakami wyruszymy dalej — odpowiedziała dziewczynka. — Mamy zamiar spłynąć z prądem na Prypeć, a potem zwiedzić kanał Ogińskiego...
— To bardzo mądre postanowienie! — pochwalił pan Juljusz. — Młodzi powinni zobaczyć, jak należy gospodarzyć w tym kraju, aby podnieść dobrobyt tej ziemi, bo teraz wiecie, państwo, co mówią o nas? Zaśmiał się głośno i wyrecytował:

„Posag poleskich dziewuszek —
Grzybów wianuszek i wijunów garnuszek!“

— Niedużo — co? Cha-cha-cha! — zanosił się od śmiechu ruchliwy i dobroduszny administrator i przyjaźnie klepał chłopaków po ramieniu.
Po podwieczorku goście zwiedzili park i długo stali przed klatką, gdzie biegały niespokojnym truchcikiem dwa młode wilczki; strzygły uszami i mrużyły żółte ślepia.
Goście pożegnali przed wieczorem uprzejmych gospodarzy i odjechali do obozu, unosząc serdeczne wspomnienia o tych miłych ludziach dalekich kresów wschodnich.

Rozdział X.

## Z BIEGIEM RZEKI.

Pewnego wieczora po krótkiej naradzie w obozie czerwiszczańskim Jurek Gruszczyński oznajmił z odcieniem smutku w głosie:
— Trudno! Będę żałował naszego miłego Wasyla, obozu i jeziora, ale zadługo już tu siedzimy, więc jutro — w drogę!
Poleszuk, posłyszawszy to, zasmucił się i sposępniał.
Nawet Burek zrozumiał, zda się, bo podwinął ogon i zapiszczał. Chłopcy, nie zwlekając przystąpili do pakowania bagaży, Marynia zaś przyrządzała i rozdzielała zapasy żywności:
— Konserw pozostało nam zaledwie siedem puszek — zauważyła; — ale to — nic! Mam zato dwadzieścia dwie sztuki uwędzonych w naszym piecu linów i leszczy. Damy sobie z tem radę aż do Pińska, gdzie porobimy nowe zapasy!
Nazajutrz wczesnym rankiem Wasyl temi samemi wozami odwiózł nowych przyjaciół i ich kajaki na brzeg Stochodu i długo stał na brzegu, patrząc za szybko oddalającemi się barwnemi czółenkami. Gdy skryły się na zakręcie rzekł, westchnął ciężko i powrócił do koni.
Kajaki tymczasem, wyminąwszy długą kolej tratw, płynęły z prądem, coraz bardziej przyspieszając biegu. Jurek, wiosłujący w pierwszym kajaku, śpieszył się i nie pozwalał kolegom tracić czasu, pamiętając o przykrej nocy, gdy komary omal nie pożarły ich na Stochodzie. Spotykali często łodzie rybackie, a Poleszucy wypytywali ich o tratwy, aby zawczasu wyciągnąć więcierze, „mereże“ i inny sprzęt rybacki, aby nie uszkodziły ich bosaki flisackie.
Olek z ciekawością zaglądał do pływających przy brzegu skrzyń, a gdy jednemu z rybaków wspomniał o schwytanym na Czerwiszczu sumie, Poleszuk aż czapkę z głowy zerwał i zawołał po — swojemu.
— Takiego suma oddawna w naszych stronach nie widziano! Słyszałem ja o nim od kupca, co u nas ryby bierze. Drogo sprzedał on waszego suma, panoczku!
Lasy odchodziły coraz dalej i wkrótce znikły zupełnie.
Na obydwu brzegach ciągnęła się moczarowata równina — tak zwane „łuhy“. Są to bagna, porośnięte trawą i krzaki olch i łóz. Tam i sam wyłaniały się ciemno zielone kożuchy mchów; cieniutkie, karłowate sosenki lub krzywe, nikłe, omszone brzózki i osiki czepiały się ich szeroko rozrzuconemi korzeniami. Jednakże można też było spostrzec w oddali miejsca, wzniesione nieco nad jednostajną niziną. Były to „ostrowy“ — najczęściej piaszczyste pagórki, do których przylepiała się natychmiast wioska, czasem nawet z małą drewnianą cerkiewką o baniastych kopułach. Na zboczach i szczycie pagórków złociły się łany żyta i jęczmienia, a po nich niby fale biegły fioletowe i granatowe cienie. Na mokrych łąkach pasły się małe krówki różnej maści. Chociaż co chwila nogi ich grzęzły po kolana w bagnie, czuły się tu doskonale. Niektóre wchodziły do wody aż po szyję i z tępym wyrazem w oczach przeżuwały paszę. Minąwszy most koło Skupowa, ujrzeli dość niezwykłe widowisko.

Czarna krowa wraz z cielakiem najspokojniej w świecie przepływała rzekę, zwabiona tam zapewne bujniejszą trawą, rosnącą na przeciwległym brzegu.

Pastuszkowie z długiemi batami strzegli bydła. Szczekały kosmate kundle.

Marynia zwróciła uwagę, że mali Poleszucy nie próżnowali. Jedni trzymali pod pachami pęki prętów wiklinowych i pletli koszyczki, drudzy robili kobiałki i chodaki, posiłkując się innym już materjałem — łykiem.

Przed południem kajaki dopłynęły do miasteczka Lubieszów.

Turyści postanowili odwiedzić doktora, który, jak mówiła Marynia, „zacerował“ Stacha Wyzbickiego. Lekarz ucieszył się z przybycia gości i zaprosił wszystkich na obiad.

Częstując ich, opowiadał o Lubieszowie z pewnem rozrzewnieniem.

— Wojna ledwie, że nie zmiotła tego miasteczka z powierzchni ziemi. Mało już brakowało do tego! — mówił. — Gdy po skończeniu uniwersytetu przyjechałem tu, wydało mi się narazie, że nie wytrzymam w tej głuszy. Rozejrzawszy się jednak uważnie, zrozumiałem, — ile tu jest do zrobienia! Ludność biedna, coraz to nowe i niebezpieczniejsze wybuchają epidemje. Wszystko to tak mnie wzięło, że zabrałem się do pracy i nie myślę już o ucieczce stąd. Trzeba państwu wiedzieć (ale nie ceregielujcie się, moi drodzy, i weźcie jeszcze po kotlecie, bo z mizerją to dobrze smakuje!), że Lubieszów — to jedno ze starych miast polskich, których tyle tu jest po naszej stronie i za kordonem. Istniała tu szkoła O. O. Pijarów, w której przez czas dłuższy studjował nasz bohater narodowy — Tadeusz Kościuszko.

— Kościuszko?! — zawołał Olek.

— „Naczelnik w sukmanie“ urodził się na Polesiu, a jego domek w Mereczowszczyźnie przechował się do naszych czasów — objaśnił doktór.

— I Romuald Traugutt był też Poleszukiem. Kraj ten wydał wielu ludzi zasłużonych!

Na takich rozmowach czas mijał szybko, wreszcie Jurek dał znak, aby pożegnano gościnnego gospodarza. Doktór ucałował wszystkich, a, gdy już byli na ulicy, zatrzymał towarzystwo i zawołał:

— Poczekajcie tu na mnie chwilkę!

Szybkim krokiem skierował się do domu. Powrócił wkrótce, niosąc jakąś skrzynkę i grubą książkę.

— Słyszałem od panny Maryni, że zamierzacie płynąć kanałem Ogińskiego, gdzie spotkacie się z najciemniejszymi Poleszukami. Nędza tam i bieda! Przyniosłem wam małą apteczkę i poradnik lekarski. Będziecie mogli niejednemu tam pomóc... Szczególnie panna Marysieńka, bo spostrzegłem, gdy doglądała Stacha, że posiada ona zdolności lekarskie.

Młodzież gorąco dziękowała poczciwemu doktorowi, a Marynia serdecznie go wyściskała. Rozstawszy się z nim, popłynęli dalej, a Jurek pokrzykiwał głośno:

— Raz, dwa... Raz, dwa!

Wkrótce nabrali takiego rozpędu, jakgdyby zamierzali pobić światowy rekord, i w półtorej godziny potem wypłynęli już na Prypeć. Trzymając się głównego prądu, posuwali się szybko naprzód.

Rzeka rozgałęziała się, tworząc odnogi i przyjmując wpadające do jej

koryta drobne rzeczki i potoki, płynące powoli i leniwie. Brzegi błotniste i niskie przechodziły w bagnistą równinę. Wysokie trawy, sitowie, gdzie niegdzie — zarośle osik i wiklin nadawały jej najzwyklejszego dla moczarów poleskich wyglądu. Rzadkie zagrody wieśniacze tkwiły na miejscach suchych, gdzie z pod torfów i nigdy nie wsiąkającej w ziemię „niecieczy“ występowały piachy, które niegdyś złożył tu lodowiec, przez długie wieki potężną skorupą okrywający całą kotlinę, czyli tak zwaną „nieckę“ poleską.

Małe i duże kurenie stały tuż nad brzegiem. Obijanki i czubarki leżały wyciągnięte na grząskie, czarne torfy z rzuconemi na nie kładkami. Suszyły się sieci i więcierze, rozwieszone po krzakach.

Minąwszy młyn, przy którym stało kilka fur naładowanych deskami, niby złoto lśniącemi na słońcu, kajakowcy ujrzeli nieduże, zupełnie okrągłe jeziorko, połyskujące w otoku gęstych trzcin. Czeredy rybitw, rozkrzyczanych, miotających się w powietrzu, przenosiły się nad zaroślami i nad zwierciadłem jeziorka.

Prypeć robiła gwałtowne zwroty. Za jednym zakrętem przed turystami błysnęło szerokie rozlewisko.

Olek wydobył mapę Polesia i, spojrzawszy na nią, zawołał:

— Jezioro Nobel!

Kajaki wypłynęły na jezioro. Ze wszystkich stron otaczały je pagórki, od północno-zachodniego brzegu wybiegał daleko wąski półwysep, gdzie stały jakieś budynki.

Chłopcy popłynęli ku nim, gdyż słońce zapadać już zaczęło za pagórkami; powierzchnia jeziora ściemniała nagle, a zimniejszy powiew przypomniał o zbliżającej się nocy.

Ledwie kajakowcy przybili do brzegu, zatłoczonego łodziami rybackiemi, gdy otoczył ich tłum mieszkańców. Kierownik szkoły powszechnej, dowiedziawszy się, że są uczniami, zaprosił ich do siebie. Kilku chłopców wyładowało kajaki, wciągnęło je na drewniany pomost i zaczęło okrywać płótnem, gdyż nadciągała chmura, przepowiadająca deszcz.

Nauczyciel, prowadząc gości do domu, pokazał im schronisko turystyczne, a potem miejsce, gdzie stał niegdyś warowny zamek litewski.

Jurek uważnie rozglądał się po miasteczku.

Mała to była mieścina, zaludniona przeważnie przez rybaków. Mieszkańcy witali przyjaźnie nauczyciela i przyglądali się życzliwie przybyłym podróżnikom.

Gdy chłopcy i Marynia umyci i przebrani weszli do schludnego pokoju gospodarza i przywitali się z jego żoną, nauczyciel pokazał gościom zardzewiały topór bojowy, groty strzał i odłamek hełmu, wykopane podczas budowy szkoły.

— Te strzały i topór należały niegdyś do wojowników litewskich, ten „szołom“, czyli hełm, nosił jakiś poległy tu ruski drużynnik. Można tu byłoby zapewne znaleźć niejeden jeszcze przedmiot, pamiętający owe krwawe czasy zmagań Litwy z kneziami ruskimi!

Podczas kolacji kierownik opowiedział swoim młodym gościom, że Poleszucy chętnie uczęszczają do szkoły i są wdzięczni Polsce za oświatę, chociaż, niestety trudno jest tymczasem przyciągnąć dziatwę włościańską z okolicznych wiosek.

— Proszę tylko pomyśleć — mówił nauczyciel, — za pagórkami,

otaczającemi Nobel, ciągną się niedostępne niemal „nietry“, wśród których na małych „ostrowach“ leżą osiedla. Na wiosnę tylko, gdy Prypeć rozlewa szeroko i tworzy ogromne jezioro, ludzie dopływają łodziami do Lubieszowa, a nawet do Pińska, aby coś sprzedać i kupić, a potem znów na półroku do jesieni, a czasem i na cały rok, do następnej wiosny, niby borsuki w norach siedzą pośród swych bagien, świata Bożego nie widząc!
— Czemżeż się trudnią ci biedacy? — spytała Marynia.
Nauczyciel zapalił papierosa i odpowiedział:
— Zarabiają nawet wcale nieźle na obfitych połowach ryb i na spławie drzewa z lasów nadleśnictwa Białociołkowskiego i rozległego majątku Mutwicy. Rzeczki Nożyk, Woroteć, Gniła Prypeć i Styr — pozwalają Poleszukom-flisakom wyciągać drzewo ku Prypeci.
— A potem co z niem robią? — dopytywała się dziewczynka.
— Potem? Zbijają tratwy i płyną dalej. Flisacy dostarczają drzewa na tartaki i fabryki dykty i zapałek w Pińsku. Inni pędzą tratwy przez kanał Królewski na Bug i Wisłę. Te dochodzą aż do Gdańska...
— Mój Boże! — zawołała Marynia w zachwycie. — Jakie to wspaniałe! Z takich oto bagien nasze polskie drzewo może przez Gdańsk i Gdynię dostać się do Danji i Anglji i nikt tam nie będzie wiedział, jacy to ludzie i z jakim trudem dostarczali im niezbędnego budulca!
Zapadło milczenie, które przerwał Jurek.
— Jeżeli tak dobrze się zastanowić, to widać, że wszystkie ludy współpracują ze sobą, jeden drugiemu dopomagając, a tymczasem każde niemal państwo krzywem okiem spogląda na sąsiadów.
Nauczyciel ożywił się nagle i zawołał:
— Otóż to! Gdyby wszyscy dopomagali jeden drugiemu — wojny stałyby się niemożliwe i niepotrzebne. Ale, niestety, tymczasem tak nie jest!
Dalszą rozmowę przerwał ogłuszający huk grzmotu. Burza rozszalała nagle. Czerwone i białe węże błyskawic co chwila rozdzierały czarne, spiętrzone chmury i z łoskotem biły w jezioro. Z okna można było nawet widzieć słupy wody, wytryskujące po uderzeniu pioruna. Gdzieś na południu, za wałem pagórków wyrwały się szkarłatne płomienie i wzbiły się wysoko, wkrótce jednak opadły i zgasły.
— Piorun zapalił oczerety i zwaliska suchych „żabr“[19] — zawołała żona nauczyciela.
— O tej porze nie jest to niebezpieczne! — uspokoił ją mąż. — Wody wszędzie dużo, a świeże sitowie wstrzyma szerzący się ogień.
— Jakie tu się łapią ryby? — spytał Olek.
— Mamy tu doskonałe, duże leszcze, cyrty, węgorze i naturalnie — szczupaki — odpowiedział nauczyciel. — Poza tem rybacy miejscowi wysyłają do Warszawy i Lublina wyjątkowo duże raki jeziorne...
Olek nie wytrzymał i pochwalił się swoim sumem, który ważył 105 kilo.
— Piękna to zdobycz! — zawołał gospodarz. — Jeden z rybaków naszych na wiosnę zagarnął niewodem[20] jesiotra. Zapłynął tu z morza Czarnego przez Dniepr i Prypeć... Pociągnął podobno 158 kilogramów... A inny znów zwyczajną „komlą“[21] pochwycił sterleta, bardzo rzadką u nas, wędrującą z morza rybę z rodziny jesiotrów. Ważyła około dziesięciu kilogramów, ale w Warszawie zapłacono mu za nią aż dwadzieścia pięć złotych.
Znużona długiem wiosłowaniem młodzież wcześnie udała się na

spoczynek. Wszyscy spali wybornie, chociaż pioruny biły przez całą noc, a grzmoty wstrząsały domem, jakgdyby rozwalić go chciały i w gruzy obrócić, jak to uczynił czas nielitościwy z warownym zamkiem Mendoga nad Noblem.

Chłopcy, wstawszy wcześnie, ucieszyli się, widząc, że burza minęła, a na błękitnem niebie nie widać było najmniejszej nawet chmurki. Pobiegli więc na brzeg jeziora, aby obejrzeć kajaki. Płótno, chociaż zupełnie mokre, ochroniło lekkie czółenka przed ulewą. Ściągnięto z nich natychmiast opony i rozwieszono na płocie, aby wyschły na słońcu.

Po śniadaniu, pożegnawszy uprzejmych gospodarzy, załadowali bagaże i popłynęli dalej. Przecięli dość niespokojne jeszcze po burzy jezioro i na wschodniem jego pobrzeżu znaleźli łożysko Prypeci.

Dokoła rozpierały się bagna. Nad sitowiem i krzakami przelatywały kaczory, trzepotały nad niewidzialnemi w zaroślach kałużami chciwe rybitwy, pojękiwały czajki, wysoko, w lazurowej otchłani nieba zataczały szerokie koła jastrzębie i małe sokoliki, wypatrujące zdobyczy.

Turyści coraz częściej spotykali kurenie i rybaków, powracających z połowu. Wpobliżu Sieńczyc musieli dość długo czekać, aż przepłyną, sunąc obok siebie, dwie koleje tratw.

Przy najbliższym kureniu przybili do brzegu i poprosili rybaków o gościnę. Wkrótce gotowali już herbatę przy ich ognisku i skrobali ryby na polewkę.

Rybacy przyglądali im się z uwagą i wypytywali, skąd płyną i poco tu przyjechali? Gdy młodzież, gwarząc i żartując z gospodarzami, zajadała smaczną zupę, uszu Maryni dobiegł żałosny jęk.

— Zdaje mi się, że macie tu chorego? — zapytała dziewczynka.

Stary Poleszuk, aż po same oczy zarośnięty czarną, kłaczastą brodą, machnął ręką i mruknął:

— Zachorował mi syn... Z wojska niedawno powrócił... i do sieci się zabrał, jakto u rybaków w zwyczaju... Trudne jest jednak nasze życie... zaziębił się pewno i — zaniemógł... Dziś już wstać nie może, bo kolano mu spuchło, a tak go boli, że aż wyje chłopak!

Marynia, nie słuchając więcej, pobiegła do kajaka i z worka, umocowanego na rufie, wydobyła poradnik lekarski i apteczkę. Powróciwszy do kurenia, zaczęła szukać czegoś w grubym tomie. Znalazła, widać, coś ważnego, gdyż podniosła paluszek i mruknęła:

— Aha — jest!...

Wydobywszy ze skrzynki jakieś pastylki i termometr, spojrzała na rybaka i powiedziała:

— Zaprowadźcie mnie do syna! Może poradzę co na tę jego chorobę...

W półciemnym, straszliwie brudnym kureniu, na kupie trzcin leżał młody Poleszuk i jęczał, trzymając się oburącz za lewą nogę. Zdumionym wzrokiem powitał dziewczynkę, która odrazu przystąpiła do czynności lekarskich.

— Zmierzymy wpierw temperaturę! — oznajmiła i sama założyła choremu termometr pod pachę.

Młody rybak gorączkował. Ból w kolanie wykrzywiał mu twarz.

— Pokażcie, gdzie was boli?... — spytała Marynia. — Czy nie mieliście tych bólów w pułku?

Poleszuk potrząsnął głową i uśmiechnął się rzewnie:

— Gdzież tam! — zawołał. — W wojsku zdrów byłem, jak ryba! Lekarze nie mieli tam ze mną nic do roboty. O, patrzcie, panienko, jak mi to kolano spuchło!

Marynia obejrzała uważnie obolałe miejsce i znowu zaczęła szukać potrzebnych jej wskazówek w poradniku.

— Niezawodnie, że tak... — szepnęła do siebie, a głośno już oznajmiła stanowczym głosem:

— Dostaliście reumatyzmu. Musicie trzymać nogę w cieple, broń Boże, nie moknąć i nie zaziębiać się! Zostawię wam kilka proszków salicylowych, to wam pomoże, a potem musicie się strzec, bo choroba ta powraca. Owińcie teraz nogę kożuchami i leżcie spokojnie. Zaraz dam wam wody do zapicia proszka...

W kilka minut potem chory poczuł się lepiej, gdyż ból w nodze ustał, zaczął dziękować i opowiadać o służbie w Poznaniu. Zachwycał się pięknem i czystem miastem, panującym wszędzie porządkiem, dobrą uprawą roli przez włościan wielkopolskich i wogóle wszystkiem, co widział i czego doznał w zachodniej dzielnicy Rzeczypospolitej.

Marynia słuchała uważnie, a gdy chłopak nagadał się, zauważyła:

— Powiadacie, że podobał się wam porządek w Poznańskiem?... Dlaczegoż tedy nie przestrzegacie go tu? Patrzcie, jakie brudy i nieład w waszym kureniu! Moglibyście przecież sprzątnąć w nim i urządzić tu jakie-takie mieszkanie, a nie legowisko? Mała to i łatwa rzecz — zachwycać się! Trzeba się uczyć i to, czegoście się nauczyli, stosować u siebie, w codziennem życiu...

Poleszuk milczał, wpatrzony w poważne oczy dziewczynki. Po długim namyśle mruknął:

— To prawda! Trzeba będzie zacząć...

Marynia chciała jeszcze coś poradzić Poleszukowi, lecz nie zdążyła, bo Jurek, który siedział już w kajaku, zawołał:

— Maryniu, spiesz się! Musimy płynąć, bo pozostał nam spory jeszcze szmat drogi do Pińska...

Dziewczynka pożegnała Poleszuków, poczem zapakowała swoją „medycynę“ do worka i usadowiła się w kajaku.

Znowu płynęły biało-niebieskie czółenka, trzymając się brzegu. Wiosła migały nad powolną i ciemną tonią rzeki. Młodzież wiosłowała w milczeniu, zasłuchana w cichy szmer wody i rozśpiewane w krzakach ptaszęta.

Ćwierkał pokrzywniczek — mały i ruchliwy, jak szara kulka; dzwoniła olszanka leśna; wywodziła swe prościutkie tryle sikora błotna; popiskiwały biegające pod brzegiem pliszki. Na olszynie, kołysząc się na cienkiej gałęzi, błyskała barwami tęczy wspaniała kraska. Zapatrzony w wodę, nieruchomy, jak sztywny liść, tkwił na wystającym korzeniu osiki połyskliwy, złocisto-zielony zimorodek.

Wszystko żyło w jakiejś promiennej radości i szczęśliwości bezmiernej. Udzieliła się ona i młodym wioślarzom.

Szybciej i sprawniej zamigotały w powietrzu lekkie wiosła, a po chwili rozległ się głos Stacha Wyzbickiego. Śpiewał, a wkrótce przyłączyli się do niego wszyscy.

Nad rzeką popłynęła beztroska, kipiąca życiem piosenka polska i pobiegła daleko, hen — ponad „łuhami“ i oczeretami aż oparła się o czarną ścianę

dalekich zarośli olszowych.
— Hej, hej! — przerywając śpiew, zawołał Jurek. — Niema już Prypeci, moi mili, wpłynęliśmy na rzekę Strumień. Jest to dalszy ciąg Prypeci, lecz Poleszukom podobało się nazwać ją w tem miejscu i aż do Pińska — Strumieniem. Każdy ma swoje fantazje! A teraz baczność, bo widzę na zakręcie dym. Zapewne — statek płynie!...
Jednak sporo czasu minęło, zanim z poza wystającego cypla, wybiegł czarny kadłub parowca, bijąc kołami i pieniąc wodę. Za nim na długiej, grubej linie ciągnęły się krypy, ładowane towarami, mniejsze łodzie ciężarowe z piętrzącemi się na nich stosami faszyn[22], koszów i desek.
Kajaki zapląsały na falach, rozbiegających się z pod tnącego wodę dziobu statku.
Słońce dobiegało już horyzontu, gdy młodzi podróżnicy spostrzegli krzyże na wysokich wieżach kościelnych i dachy dużych, murowanych gmachów Pińska. Rozpędzili kajaki i, wypłynąwszy wkrótce na Pinę, stanęli przed przystanią sportową. Wskazano im tu schronisko turystyczne, gdzie przyjęto ich z całą uprzejmością i urządzono wygodnie.
Następnego dnia od rana turyści zwiedzali miasto. Środkowa część — od kościoła jezuickiego do Piny — podobała się im; inne zato dzielnice przedstawiały się bardzo niepociągająco, naprędce odbudowane po niszczącym miasto pożarze. Młodzież z zaciekawieniem oglądała ruiny spalonego przez Szwedów w w. XVII pałacu Wiśniowieckich, starożytny, założony w w. XIV kościół franciszkański i drugi — ogromny z dwiema wieżami — jezuicki, przytykający do trzechpiętrowego, potężnego kolegjum, gdzie nauki pobierali apostoł Polesia, błogosławiony Andrzej Bobola, i słynny poeta i historyk Naruszewicz.
Koło kolegjum na rzece odbywał się jarmark na krypach, szuhalejach i innych łodziach, przywożących z dalekich zakątków Polesia wszystko, co wyrabia ten kraj: stosy skór surowych, butów, koszyków, postołów, płótna, grzybów suszonych, pięknie haftowanych koszul, garnki, bydło, drób — wszystko można było tu nabyć.
Nazajutrz, po dobrze spędzonej nocy w czystem schronisku, około godziny ósmej ładowali już nabyte w Pińsku zapasy żywności i bagaże na kajaki i stawiali żagle, zamierzając wykorzystać pomyślny wiatr.

Rozdział XI.

## NA KANALE OGIŃSKIEGO.

Jurek, dobrze poinformowany przez kierownika schroniska i mając przed sobą mapę, prowadził wyprawę. Marynia pomagała mu uczciwie, wiosłując starannie. Płynęli pomiędzy ścianami sitowia i trzcin. Na wyższym brzegu rosły duże drzewa, a w cieniu ich stały niziutkie chatki o strzechach trzcinowych i płotach, splecionych z prętów olszowych i brzozowych. Na brzegu leżały przegniłe „duszehubki“ i „obijaniki“[23], inne kołysały się na wodzie, uwiązane do palów, wbitych w muliste dno.
Gromadki dzieci pluskały się w rzece i skrawkiem sieci łapały jazgorze i wijuny.

Baby, obojętne na wszystko, co się działo wokół, prały bieliznę, kłóciły się i plotkowały.
Mężczyźni pracowali na przeciwległym, niskim brzegu. Wycinali pręty do robót koszykarskich, zdzierali korę na postoły i „króbki“[24], kosili trawę, doglądali bydła, pasącego się na „nietrach“ po brzuch w wodzie, brnęli po rozlewiskach z „łatami“[25] i „wołokiem“[26], chwytając ryby w tatarakach i sitowiu.
Wiosłując szybko, kajakowcy dopłynęli do jeziora Horodyszcza, nad którem połyskiwały krzyże barokowego kościoła, ufundowanego przez możnego Kopcia dla o. o. Benedyktynów; obok świątyni, na tle ciemnych, starych drzew, jarzyły się okna nowego budynku szkoły — wesołej, jakgdyby rozświetlonej odwewnątrz.
Minąwszy Horodyszcze, kajaki wypłynęły na Jasiołdę. Błotniste, niezaludnione brzegi ciągnęły się jednostajnem, zielonem pasmem, ożywionem tam i sam wysepkami krzaków i nikłych drzewek. Wśród bujnej, szmaragdowej porośli przechadzały się poważne zawsze, niby zadumane bociany. Znajdowały tu, widać, obfity żer, bo co chwila łykały coś, wyciągając szyję i trzepocąc skrzydłami z zadowolenia.
Woddali zebrało się stadko szarych żórawi. Ostrożne ptaki, oglądające się podejrzliwie, natychmiast rozproszyły się po łące i odeszły dalej.
Po pewnym czasie na horyzoncie zaczerniał las, a na trakcie, biegnącym wpobliżu rzeki, podróżnicy spostrzegli wozy, ładowane sianem i trzcinami, dalej duże stogi siana; niektóre z nich stały na „podokach“, czyli na słupach, wbitych w błotnisty grunt.
Wpobliżu brzegu coraz to częściej widniały teraz wioski, leżące przy trakcie. Nad brzegiem Poleszucy klecili i wiązali tratwy, wypalali i drążyli łodzie. Koło kureniów i większych od nich „budanów“[27] suszyły się sieci różnych kształtów i rozmiarów — od najmniejszych workowatych „wołoków“ i „kryhów“ — do szerokich na sto metrów „niewodów“ o długich i wąskich matniach.
— Oj głodna jestem! — szepnęła Marynia do brata.
Ten spojrzał na zegarek i odpowiedział:
— Tak, dochodzi godzina trzecia! Będziemy dziś mieli spóźniony obiad, bo chcę wpłynąć do kanału i tam dopiero stanąć na popas.
Minęło półgodziny, gdy Jurek spostrzegł na lewym brzegu tablicę na słupie. Przeczytał: „Kanał Ogińskiego“ i jakieś niezrozumiałe dla niego liczby. Wiosłowali jeszcze przez kilkanaście minut, a gdy z obydwu stron otoczył ich gęsty las, przybili do dość wysokiego brzegu i z radosnemi okrzykami wyskoczyli na twardą ziemię.
Jurek uwiązywał kajaki i wydostawał potrzebne dla Maryni rzeczy, Staś i Olek zbierali w lesie suche gałęzie i szukali dogodnego miejsca na ognisko.
Znaleźli wreszcie niedużą polankę, otoczoną krzakami leszczyn i czeremch, rozpalili ognisko i pobiegli po wodę. Marynia zawinęła się szybko i przyrządziła smaczny obiad, a na leguminę dała herbatę z lukrowanemi sucharkami, które dostała w prezencie od doktora w Lubieszowie.
Jurek popędzał towarzystwo, gdyż chciał za dnia dopłynąć do Telechan, żeby nie nocować gdzieś w kureniu, czy wprost w kajakach. Chłopcy zwinęli więc szybko obóz, starannie zagasili ognisko, zalawszy je wodą, i

usadowili się w kajakach.
Płynęli teraz wśród pięknego lasu, przez który, niby równy jak strzała korytarz, biegło łożysko kanału. Łapy świerków zwisały nad wodą, na suchszych miejscach strzelały ku niebu sosny, do półpionu ukryte w obfitem podszyciu z leszczyn, kruszyn, krzaków maliny, trzmieliny i bzu koralowego. Zbocza niewysokich wydm piaszczystych rozkwiecały fioletowe wrzosy, co niby przezroczystym dymkiem otulały glebę. Pachniała macierzanka, a na zielonej szacie ziemi jakgdyby paciorki kropliły się granatowe borówki-czernice.
Las ten urywał się nieraz, niby zmieciony straszliwym porywem wichru. Wtedy na podmokłych nizinach do szczeciny podobne tkwiły karłowate sosenki, brzózki omszone, krzywe, rozczochrane wierzby, wyrastające z grubych warstwic mchów torfowych, niewidzialnych jednak pod kobiercem z wełnianki, turzycy, żórawiny, krzaczków czarnych jagód i modrzewnicy.
Wygląd lasu zmieniał się często. Różne gatunki drzew odmiennych potrzebują gleb. Tam więc, gdzie leżały grube pokłady wilgotnych, szarych piasków i sinego mułu, obok świerków rozrastały się wspaniałe olchy, graby, brzozy, sokory i wszędobylskie osiki, a wśród nich nieswojsko czujące się w tem towarzystwie dęby, klony, jesiony i sosny...
Odpłynąwszy około piętnastu bodaj kilometrów od początku kanału, młodzi podróżnicy spotkali tratwy.
Flisacy, odtrącając się od dna długiemi „szostami“, płynęli powoli. Tuż obok małych chatek, zbudowanych na tratwach, paliły się ogniska z zawieszonemi nad płomieniem kociołkami z gotującą się rybą i kaszą. „Starosta“, stojąc na ostatniej tratwie, pokrzykiwał na „czeladź“, a głos jego toczył się nad wodą. Pracujący na tratwach ludzie uśmiechali się do prześcigających ich chłopców i dzielnie wiosłującej dziewczynki i żartowali dobrodusznie.
Kajaki, przebywszy nagły załom koryta kanału, wpłynęły znowu pomiędzy ściany lasu i popędziły dalej po nieruchomej prawie wodzie. Koryto zwężało się miejscami, zamulone i zarośnięte sitowiem. Pod brzegiem tkwiły wbite w dno drągi, a na nich wisiały zardzewiałe druty kolczaste, świadczące o tem, że nielitościwa ręka wojny dosięgła nawet te tak odległe i trudno dostępne okolice. O niej przypominały też ukryte w haszczach leszczyn i wiklin głębokie leje od wybuchających pocisków, resztki rowów strzeleckich, a tuż obok nich — małe, zgniłe krzyżyki na mogiłach.
Turyści, wiosłując szybko, dogonili nowy szereg tratw i, prześlizgnąwszy się z trudem pomiędzy niemi a brzegiem, ujrzeli przed sobą śluzę.
Tratwy i duże łodzie, naładowane korą dębową, stojakami kopalnianemi i cienkiemi żerdziami osik, stłoczyły się przed nią.
Jurek spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina siódma.
— Źle! — mruknął. — Późno już — nie dojedziemy do Telechan...
Namyśliwszy się dobrze, przybił do brzegu i zawołał do kolegów:
— Wyciągajcie kajak na brzeg! Musimy tu zanocować...
— Gdzie? — odkrzyknął Olek.
— Idę szukać dla ciebie wytwornego hotelu! — odpowiedział Jurek ze śmiechem.
Wyszedłszy na brzeg i wciągnąwszy kajak na piasek, poszedł rozmówić

się z dozorcą.
Okazało się, że dozorca leży chory; urzędowała zato jego żona — hoża, młoda kobieta o pucołowatych policzkach i wesołych, śmiałych oczach. Dowiedziawszy się, że razem z chłopakami podróżuje dziewczynka, dozorczyni rozczuliła się nagle i obiecała przyrządzić dla gości dobry nocleg.
— Poczekajcie trochę — mówiła, ukazując białe, zdrowe zęby, — przepuszczę ostatnie tratwy i zamknę śluzę do jutra!
— Ba! — zawołał Jurek. — Wyminęliśmy jeszcze kilka ich kolejek!
— Te zanocują na kanale — uspokoiła go kobieta i, stanąwszy na mostku, krzyknęła:
— Spuszczać wodę!
Po zamknięciu śluzy wszyscy poszli do domku dozorcy. Jurek z kolegami i dwu robotników nieśli bagaże i zapasy żywności.

Biedak dozorca zapadł na reumatyzm, tę chorobę „ludzi wodnych i bagiennych“. Marynia, nie zwlekając, dała mu dwie pastylki salicylu i ucieszyła się, gdy ból w grzbiecie i ramieniu ustał wkrótce. Dopiero wtedy przystąpiła dziewczynka do przygotowania wieczerzy. Pomagała jej dozorczyni, rozgrzewając kapuśniak i

Jak strzała przecina lasy i bagniste niziny kanał Ogińskiego.

gotując ryby w ogromnym piecu, zajmującym niemal połowę izby.

Goście i gospodarze zasiedli do stołu i ochoczo zabrali się do tłustej polewki, która znikła w oka mgnieniu. Spostrzegłszy to, Marynia mrugnęła na brata i poprosiła go, aby otworzył i wstawił do pieca dużą puszkę z bigosem. Gospodarze zachwycali się smaczną potrawą, zmiatając ją z niezwykłą szybkością.
Zauważywszy żartobliwy uśmiech na twarzy Olka Malewicza, dozorczyni zarumieniła się po uszy, ale po chwili, błysnąwszy zębami, powiedziała zmieszanym nieco głosem:
— Wybaczcie, państwo, że tak „mocno“ jedliśmy!... Rzadko nam się to zdarza... Kasza jaglana i to bez okrasy nawet, czasem tylko kawał mięsa... — taka jest nasza zwykła strawa. To też rzuciliśmy się, niczem głodne wilki, na takie dobre jadło... Wybaczcie!
— Co też wy mówicie!... — zaprzeczyła Marynia. — Cieszymy się, że wam

smakowało... Teraz nasz przyjaciel Olek przyniesie nam ryby... Bierzcie więcej, bo dobre i świeże, własnego połowu!
Po skończonej wieczerzy Marynia poczęstowała wszystkich herbatą. Dozorca i jego wesoła żona raczyli się tym napojem z rozkoszą.
— My już od roku nie piliśmy herbaty — mówiła babina. — Za drogie to na naszą kieszeń! Zamiast herbaty zaparzamy liście poziomkowe lub brusznicowe[28]... Pić można od biedy... — zaśmiała się beztrosko, ukazując piękne, zdrowe zęby.
Po chwili wstała i dziękowała każdemu zosobna, podając małą lecz mocną dłoń.
— Zaraz pójdę urządzić dla was nocleg! — oznajmiła wreszcie i wyszła z izby.
Nocleg okazał się istotnie dobry. Poczciwa kobieta zaprowadziła gości na brzeg kanału, gdzie stały niespuszczone jeszcze na wodę tratwy. Chłopcy dostali „wspaniały pokój hotelowy“, jak mówił Stach Wyzbicki, w chatce, zbudowanej na tratwie. Marynię zaś dozorczyni zaprosiła do siebie i obmyśliła dla niej wygodne posłanie na szerokiej ławie pod oknem.
Nazajutrz, po przejściu pierwszej kolei tratw, chłopcy strącili na wodę załadowane już zawczasu kajaki i, pożegnawszy gospodarzy, ruszyli w dalszą drogę. Lasy, które rosły po obu stronach kanału, skończyły się, bo na tym odcinku koryto przecinało skraj bagien Chworoszczańskich.
Tylko na zachodnim brzegu rosły wysokie brzozy wzdłuż piaszczystego traktu, który skądś wybiegł nagle aż nad sam brzeg kanału i wraz z nim oparł się o Telechany.
— Mała to mieścina! — zauważyła Marynia, przyglądając się starym, ubogim domkom i prawie pustej uliczce, zbiegającej ku przystani.
— Mała, bo mała, — zgodził się brat — ale w przewodniku czytałem, że ma sporo warsztatów rzemieślniczych, a niegdyś mieścina ta słynęła z wybornej fabryki fajansów...
— Popasać tu nie warto! — wtrącił Olek. — Nie jesteśmy zmęczeni, to lepiej płynąć dalej. Do jeziora Wyganowskiego pozostaje około dwudziestu kilometrów, więc, nie śpiesząc się zbytnio, niezadługo dopłyniemy...
Północna część kanału przecinała rozległe lasy rządowe, należące do nadleśnictwa Wiadotupickiego. Tu na falistej równinie, z występującemi w różnych miejscach piaskami, rozparły się doskonałe lasy.
Znęceni pięknemi widokami, które mogli podziwiać tuż za okrągłem jeziorkiem Wolkowskiem, podróżnicy przybili do brzegu i postanowili zrobić wycieczkę do lasu.
Gruszczyński, mając przy sobie aparaty fotograficzny i kinematograficzny, zatrzymywał się co chwila, aby dokonać ciekawych zdjęć.
Olbrzymie świerki i dęby walczyły tu o miejsce i pożywienie dla swych korzeni, tam zaś, gdzie gleba składała się z suchych warstw piaszczystych, — sosny panowały nad wszystkiemi innemi gatunkami i ich wysokie, równe strzały górowały nad całą okolicą. W miejscach, gdzie turyści spostrzegali znaczniejsze bagniste niziny, las zmieniał się gwałtownie, bo tam znów dęby brały przewagę nad sosnami i świerkami, a potem same ustępowały miejsca olchom i gęstym zaroślom wierzb krzaczastych.
W dąbrowie nie uszły uwagi Stacha Wyzbickiego bezładnie poorane

szmaty ziemi.
Uśmiechnął się zagadkowo i powiedział cichym głosem:
— Moglibyśmy tu zapolować na dziki... One to ryły tu tak zawzięcie..
— Zapolujemy tedy! — ożywił się nagle Jurek.
— W państwowych lasach nie wolno polować, bracie! — upomniał go Stach.
Jurek zaśmiał się i, mrużąc oko, uspokoił przyjaciela:
— Takie polowanie nie jest zakazane! Wy będziecie naganiaczami, a ja — myśliwym, strzelającym z objektywu kinoaparatu!
— Jeżeli tak, to zaczynajmy! — zawołał Olek.
Chłopcy z Marynią poszli wgłąb lasu, Jurek tymczasem ustawił aparat i czekał.
Dziki, które, jak się okazało, żerowały wpobliżu, niespostrzeżone nawet przez „naganiaczy“, na odgłos ich kroków ruszyły z krzaków i, jak na zamówienie, przedefilowały przed aparatem.
Sfilmowawszy odyńca, dwie samury[29] i warchlaka, Gruszczyński zaczął nawoływać:
— Powracajcie, bo już po wszystkiem!
Wkrótce szli dalej, przyglądając się wiewiórkom, skaczącym wśród gałęzi dębowych, i jarząbkom, które wyfruwały z wysokich wrzosów i znikały w gąszczu świerkowego podszytu i w koronach sosen.
W gęstym ostępie, zarośniętym świerczyną, z trzaskiem gałęzi i klaskaniem skrzydeł zerwał się czarny głuszec i usiadł na suchej gałęzi, zdumiony widokiem ludzi, którzy zapewne nigdy nie zaglądali do jego rodzimego matecznika. Przekręcił głowę nabok i patrzył uważnie z pod czerwonych brwi. Jurek wziął go na cel i „pstryknął“ kodakiem. Wspaniały, potężny ptak miał na sobie niby złocisty pancerz, gdyż czarne, połyskliwe pióra jego skrzyły się na słońcu. Silny, białawy dziób i grube, kosmate nogi świadczyły, że niejednej już wiosny, zapatrzony w słońce, „grał“ ten głuszec, „kłochtał“ i „puchał“ o świcie, wyśpiewując swoją pieśń tajemniczą i dziwną.
Powracając do brzegu, Jurek mówił do przyjaciół radosnym głosem:
— Jeżeli dziś nas będą cięły komary, to nie żałujcie tego, druhowie! Doprawdy, mało się znajdzie ludzi, którzy, widzieliby głuszcza tak blisko!... Rzadkie to widowisko i piękne!
Kanał biegł nadal przez lasy Wiadotupickie. Stawały się one coraz gęstsze i czarniejsze, gdyż słońce zapadło już za skrajem puszczy i mrok wypełzał z mrocznych ostępów kniei. Rozświetliło się jednak nieco, gdy kajaki wypłynęły na rozległe bagnisko. Oczerety wierzbowe, trzciny, osiki i nędzne, krzywe sosenki wpierały korzenie w torf i mchy, ubielone porośla wełnianki.
— Zaczęły się olbrzymie błota Pogonia... — zauważył Stach, rozglądając mapę. — Patrzcie, jak ciągną stadka kaczek! Ba! same młode...
Istotnie — latająca już młódź kacza przenosiła się nad bagnem, kwakając na całe gardło i ze świstem skrzydeł miotając się w różne strony. W sitowiu huczał bąk. Gdzieś w głębi bagnistej kotliny trąbiły żórawie... i nagle zdaleka dobiegło szczekanie psa...
— O-o-o! — ucieszyła się Marynia. — Przecież nie będziemy nocowali w kajakach!
Marynia zgadła, gdyż wkrótce już ujrzeli nad samym brzegiem kanału

sylwetki strzech, odcinających się na gasnącem już niebie.
— Wieś! — zawołała dziewczynka i klasnęła w dłonie. — A nie mówiłam, że nie będą nas zjadały komary?!
Jacyś ludzie wyszli na brzeg, gdzie, ujadając cienkim głosem, kręcił się biały kundel i co chwila wskakiwał do wody.
Kajaki przybiły do brzegu.
Jeden ze stojących nad wodą ludzi, poszedł w ich stronę. Wszyscy poznali granatowy mundur posterunkowego. Jurek pokazał mu legitymacje i objaśnił, iż są turystami, zwiedzającymi historyczny kanał Ogińskiego.
— Nocleg możecie państwo mieć w chacie sołtysa — powiedział posterunkowy, grzecznie salutując towarzystwo, a, zwróciwszy się do gromady wieśniaków, zawołał:
— Panie Krejnowicz, chodź-no pan tutaj!
Zbliżył się siwy, poważny wieśniak, w brunatnej samodziałowej sukmanie, czystych onuczkach i żółtych, łykowych postołach. W jednej ręce trzymał gruby, krzywy kij, drugą gładził się po srebrzystej brodzie. Przyjrzawszy się gościom, ukłonił się spokojnie i z uśmiechem zauważył:
— Że też panienka nie boi się pływać w takiej „duszehubce“?!
Posterunkowy przerwał mu, mówiąc:
— Panie sołtysie, zaopiekujcie się państwem, bo to są turyści, którzy poznają nasz kraj..
Stary kiwnął głową i mruknął:
— Wiadomo — goście, to i zaopiekować się wypada... Proszę za mną... Czem chata bogata, tem rada!
Marynia podała sołtysowi rączkę i oświadczyła, że niczego nie potrzebują oprócz jakiegoś kąta do przespania się.
— Co też wy mówicie, panienko?! — oburzył się staruszek. — To nie jest w naszym obyczaju. Z gościem dzielimy chleb i sól...
Posłyszawszy to, Olek trącił Stacha i szepnął:
— Oni dadzą nam chleb i sól, a my — słoninę, grochówkę lub bigos, to i kolacja gotowa...
— Żarłoku!... — zaśmiał się Jurek, którego doszły słowa kolegi. — Znowu jesteś głodny?!
— Ja — nie, ale mój brzuch — i to bardzo nawet! — odpowiedział półgłosem chłopak, śmiejąc się po łobuzersku.
Sołtys wprowadził gości do dużej chaty, o niskim, łukowatym pułapie z ledwie ociosanych belek i nieheblowanych desek. Plamy wapna świadczyły, że był niegdyś pobielany, lecz z biegiem czasu wszystko się osypało, a sczerniałe drzewo wyglądało ponuro. W izbie jednak było dość czysto. Wzdłuż ściany pod oknem ciągnęła się szeroka ława. Przy ogromnym piecu wisiał żelazny kosz, ze świeżo łupanemi szczapami sosnowemi.
— Co to jest? — spytała dziewczynka, przyglądając się nieznanemu sprzętowi.
— „Łucznik“ — odpowiedział sołtys. — W zimie, kiedy ciemno przez cały dzień, — palimy w nim łuczywo...
Marynia chciała o coś jeszcze zapytać starego Poleszuka, lecz weszła mała, krępa kobieta i każdemu po kolei podała rękę.
— Żona moja... — mruknął wieśniak, zapalając małą lampkę naftową. — No, matko, zakrzątnij się koło wieczerzy, bo goście zdrożeni i radziby co

przegryźć, bo młode to...
Zaśmiał się głośno i klepnął Olka po ramieniu.
— Młode i — rośnie!... — dodał.
Marynia udała się na naradę z sołtysową, upewniając ją, że w bagażach mają zapasów poddostatkiem.
Kobiecina słuchać nawet nie chciała.
— Cóż to... nie mamy, czy co, w domu jajek i masła? Zaraz klusek hryczanych nawarzę... Herbaty to nie mamy, a dobra to rzecz! Dawno już nie widzieliśmy prawdziwej herbaty... Zbytki to!
Dziewczynka wymyła ręce i wraz z sołtysową wzięła się do roboty, czem bardzo ujęła serce kobieciny, która rozgadała się na dobre:
— Tylko patrzeć, jak synowie powrócą z „łuhów“! Bydło przyprowadzą na noc... U nas teraz inaczej nie można, bo wilków się namnożyło — strach! W zeszłym tygodniu w Nowosiołkach trzy krowy zarżnęły i dwa cielaki w haszcze uprowadziły... Takie złe, że na ludzi się rzucają nawet...
Przygotowawszy wszystko, zakasała rękawy i stanęła przy piecu.
— Dobrze, żeście przyjechali, bo ot „żar“[30] już w „łunce“[31] dogasał! — uśmiechnęła się sołtysowa, chcąc uspokoić dziewczynkę, że przyjazd niespodziewanych gości bynajmniej nie przysporzył kłopotów gospodarzom.
Kobieta szybko rozpaliła w piecu, przysunęła do ognia czarne, okopcone garnki, a, gdy zebrało się trochę węgli, zgarnęła je ku wylotowi i umieściła na nich patelnię. Marynia rozbijała jajka nad glinianą faską.
— Teraz można już i stół nakryć — powiedziała sołtysowa. — „Białka“ brecha, to już, widać, moi chłopcy chudobę pędzą do „chutoru“[32].

Rozdział XII.

## ECHA MINIONYCH WIEKÓW.

Wkrótce wszyscy już siedzieli przy stole razem z synami sołtysa — Michałem i Romanem. Młodzi, barczyści, o śmiałych szarych oczach młodzieńcy mówili po polsku znacznie lepiej od rodziców. Jak się okazało, obaj służyli już w wojsku polskiem, a starszy był nawet na przeszkoleniu sierżantów.
Goście rozglądali się z ciekawością po izbie.
Czwartą jej część zajmował piec, w którym można byłoby zmieścić młodego byka. Pomiędzy nim a ścianą ciągnęła się murowana prycza, gdzie rybacy suszą zwykle ubranie i obuwie, a czasem sypiają nawet. Przy drzwiach, prowadzących do sieni, wisiały na ścianie półki, na których stały talerze, malowane w kwiaty, drzewka i ptaszki, misy i cały szereg dzbanków. W prawym rogu izby, zajętym przez stół, wisiały obrazy święte, ozdobione haftowanemi ręcznikami, pękami kaliny i jarzębiny.
Tę część izby sołtys nazywał „pokuciem“ i tam właśnie usadowił gości, jako na miejscu honorowem.
Rozmowa toczyła się około napadów wilków, nowych łuhów kośbnych, wyciągania drzewa z puszczy i podróży gości.
Michał, opowiadając o pewnym sąsiedzie, zaśmiał się głośno i zawołał:

— Taki to sobie Poleszuk i raptem zachciało mu się do Gdyni jechać! Zapewne myśli, że to tak, jakby do Łunińca czy Dawidgródka po buty juchtowe się wybrać! Cha-cha-cha!
Posłyszawszy to, Jurek ze zdziwieniem spojrzał na mówiącego i spytał go:
— Powiadacie — Poleszuk, a czy wy sami nie jesteście Poleszukiem?
Sołtys podniósł oczy na chłopaka i, uśmiechając się pod wąsem, odpowiedział za syna:
— No, pewno, że i my — Poleszuki, ino my.. dawna szlachta, herbowa...
Gruszczyński przypomniał sobie w tej chwili, że coś podobnego słyszał już na Czerwiszczu od Wasyla Sokolnickiego, więc postanowił tę niezrozumiałą dla siebie sprawę wyjaśnić.
— Szlachta? — zadał pytanie i mimowoli skierował wzrok na prawosławne obrazy o ciemnych obliczach Chrystusa i Bogarodzicy.
Sołtys przyłapał to spojrzenie, więc, kiwając głową, zaczął mówić z widocznem ożywieniem, dowodzącem, że coś go nurtuje oddawna.
— Prawda, że zruszczyli nas Moskale i swoją wiarę przemocą narzucili... bo nikogo tu nie było, ktoby mógł nas obronić! Dawniej tu inaczej było... oj, zupełnie inaczej! Krajnowicze my jesteśmy... Z poza Białowieży, z Podlasia pochodzimy, z drobnej zaściankowej, coprawda, ale herbowej szlachty. Klejnot swój znamy — „Alant“ się nazywał.
— Skąd o tem wiecie, panie sołtysie? — wtrącił pytanie Stach.
— O czem? — zaśmiał się stary.
— O herbie swoim...
— Poco mamy wiedzieć? — wzruszył ramionami sołtys. — Przechowaliśmy stare „bumahy“[33] z podpisami i pieczęciami króla Stefana Batorego, Zygmunta III-go i Wielkiego Jana! Ot co! A co do rodu naszego, to dziad wnukowi przekazywał i tak doszło to zawsze żywe, aż po dziśdzień...
— Mój Boże! — zawołała wzruszona Marynia. — Jakież to niespodziewane i ciekawe! Panie sołtysie, proszę nam opowiedzieć tę historję.
Staruszek, odsunął talerz z kluskami i, dłonią obcierając wąsy, usiadł wygodnie. Chciał już rozpocząć opowiadanie, gdy dziewczynka zerwała się nagle z ławy i podbiegła do pieca. Szybko napełniwszy kubki gorącą herbatą, postawiła przed każdym, otwarła blaszankę z cukrem i położyła na stole tabliczkę czekolady.
— Popijajcie, panie sołtysie, herbatę, i opowiadajcie! — szepnęła do niego przymilnie.
— Dziękuję! — łagodnym wzrokiem spoglądając na Marynię, mruknął stary. — Było to tak! Bogactw i rozległych włości Krajnowicze długo nie mieli, ale na śmiałości im nie zbywało. Za nią to i herb od Zygmunta Starego otrzymali — złoto — niebieski z trzema rybami... Za Stefana Batorego na „oszajców“[34] się podali Krajnowicze i na tej oto „hraznoj“[35] ziemi osiedli, puszcze trzebili i pola zakładali. Żyli ot tak sobie — ni biednie ni bogato, jakto zwykle po zaściankach... Przy pługu chadzali na bosaka, w samodziałowej świtce konopnej, ale z szablą przy boku... Wiadomo — szlachecki nawyk! Później, gdy król Zygmunt, ten co to ze Szwecji przyjechał, z Moskwą o tron się prawował, a sławny pułkownik Aleksander Lisowski ochotników zbierał na wojnę, poszli wtedy z nim wszyscy bezmała Krajnowicze i tłukli się potem po całej Moskiewszczyźnie... Dwóch tylko z nich powróciło, reszta poległa lub do

niewoli się dostała... i przepadła. Zato ci dwaj obłowili się strasznie!... Pod Pińskiem trzy wsie kupili i gospodarzyli, jak się patrzy... W dostatku żyli wonczas Krajnowicze, aż nasz Kościuszko z Mereczowszczyzny na Moskali poszedł. Wtedy to od gniazda naszego tylko nazwa wioski pozostała, a dwory popalono, trzech Krajnowiczów, do niewoli wziętych, posłano na Sybir... Tam schłopieli, zruszczyli się i wiarę zmienili... Jeden z ich synów — dziad mój, powrócił nad Pinę, flisaczył i lasował, a ja już tu przekoczowałem, kiedy jeszcze za ruska — inżynierowie kanał nasz pogłębiali, i ugrzęzłem tu, niczem stara kłada w „zybunie“[36]... Lasujemy[37], smołę pędzimy, trochę koło roli chodzimy, w jeziorze Wyganowskiem i Bobrowickiem ryby łowimy, i ot tak jakoś żyjemy...

Przerwawszy opowiadanie, podszedł do dużej skrzyni, ozdobionej mosiężnemi klamrami, i wydobył całą plikę pożółkłych pergaminów, poplamionych strugami rdzawych zacieków. Na starych dokumentach widniały wyblakłe podpisy królów polskich i ślady pieczęci. Sołtys potrząsnął głową i powiedział:

— Ot i doczekały się one wolnej Polski!

Młodzież oglądała pergaminy i milczała, nie mogąc wyjść z podziwu i pohamować dziwnego wzruszenia.

Stary namarszczył nagle brwi i zamruczał:

— Polacy chcieli z tego bagna naszego uczynić ziemię, zdatną dla pracy rolnika, a potem 150 lat nikt się o nią nie troszczył. Ludzie tutejsi zdziczeli, jak wilki, i wszystkiego się bać zaczęli, nikomu nie ufając... Wielka praca czeka teraz Polskę — zrobić z Polesia — bogaty kraj, a z Poleszuków — obywateli polskich! Niełatwa to rzecz, trzeba będzie napocić się, namozolić, ale postawić na swojem!...

— A tymczasem można przespać się trochę! — zauważał ze śmiechem Michał. — Jutro o świcie z chłopcami z Wólki i Somina ruszamy na Hało wilki przetrzebić.

Stach wskoczył na równe nogi i zawołał:

— Weźcież mnie ze sobą! Mam karabinek, a strzelać umiem...

Rzucił się do Jurka i, obejmując go, prosił:

— Zostańmy tu na jeden dzień, mój drogi Jureczku! Pomyśl tylko — polowanie na wilki!

Gruszczyński skinął głową na znak zgody, sam bowiem chciał pozostać i porozmawiać ze starym Krajnowiczem. W tej samej chwili weszła sołtysowa, niosąc nowy siennik dla Maryni. Olek oglądał ściany, kombinując, gdzie przeciągnąć sznur dla zawieszenia kotary, oddzielającej posłanie dziewczynki od reszty pomieszczenia.

Gdy w obydwu izbach chaty, którą Krajnowicze po polesku nazywali „haspodą“, uciszyło się wszystko, Jurek, leżąc na twardej ławie, patrzał przez szyby na gwiaździste niebo, przeżywając po raz drugi wzruszenie, doznane podczas rozmowy ze starym sołtysem.

Już drugi raz piały wiejskie koguty, gdy sen zmorzył wreszcie chłopca.

Usnął i śniły mu się duże statki, płynące od Czarnego morza do Bałtyku przez Dniepr, Prypeć, Jasiołdę, kanał Ogińskiego, Szczarę i Niemen — do polskiego Bałtyku; inne spływały na Wisłę przez Pinę, kanał Królewski, Muchawiec i Bug; pociągi, w różnych kierunkach przecinające osuszone Polesie; dostatnie wsie, otoczone rozległemi łanami żyta; duże, bogate miasta, z unoszącemi się nad niemi dymami fabryk, młynów parowych,

tartaków i kopalni... Był to piękny, szczęśliwy sen!
Obudziwszy się rano, Jurek zerwał się czemprędzej, czując wielką radość w sercu i zapał w duszy.
Stach, ubrany już, oglądał karabinek i wkładał naboje do ładownicy.
Gruszczyński odprowadził przyjaciela i młodych Krajnowiczów nad kanał, a, gdy ci przeprawili się na przeciwny brzeg i wyszli na drogę wiejską, patrzał w ślad za nimi do czasu, aż znikli w krzakach.

Rozdział XIII.

## WŚRÓD WILCZYCH LĘGÓW.

Krajnowicze, uzbrojeni w stare flinty kurkowe, szli szybko, opowiadając Stachowi o zuchwałych napadach wilków. Wyboista droga, przeciąwszy błoto „Sosny“, biegła skrajem lasów Wiadotupickich. Przeszedłszy kilka kilometrów, chłopak spostrzegł plant kolejki wąskotorowej. Przecinała ona lasy i służyła do wywozu drzewa na jakąś stację linji Brześć—Baranowicze.
Przed gajówką zebrała się spora gromada ludzi. Gdy zbliżyli się Krajnowicze, podszedł do nich wysoki, poważny leśniczy w myśliwskim stroju i spytał:
— Kogoż to przyprowadziliście ze sobą?
Roman opowiedział o przybyciu do wsi młodych kajakowców.
Myśliwy przyjrzał się Stachowi i, dotykając kapelusza, rzekł z uśmiechem:
— Jestem leśniczy Warski. To ja właśnie urządzam dzisiejsze polowanie i zwołałem amatorów z okolicznych wiosek... Czy pan też zamierza wziąć w niem udział?
To mówiąc, leśniczy nieco zdziwionym wzrokiem przyglądał się karabinkowi chłopca.
— Jeżeli pan pozwoli... — odpowiedział Stach, wymieniając swoje nazwisko, a w duchu śmiejąc się z wątpliwości, jakie ogarnęły pana Warskiego.
— Przepraszam... — zaczął znów leśniczy, — z taką bronią? Na wilki?
Wyzbicki zdjął z ramienia strzelbę i objaśnił:
— Małokalibrowy coprawda, ale bardzo silny i precyzyjny karabinek...
Leśniczy z niedowierzaniem wziął do rąk strzelbę chłopaka i zaczął ją oglądać uważnie.
Nic już nie mówiąc do Stacha, dał wskazówki trzem gajowym, a ci zaczęli wołać:
— Huczki[38]! Do kupy, do kupy!
Kilkudziesięciu wieśniaków, uzbrojonych w grube kije i nieodstępne siekiery, pod wodzą gajowych ruszyło ku widniejącym na horyzoncie oczeretom i olszyńcom.
Czwarty gajowy prowadził myśliwych. Oprócz leśniczego i Stacha stawiło się około dwudziestu Poleszuków z flintami.
Strzelców rozstawiono w krzakach, rosnących na brzegu rowu. Stali ukryci w gąszczu, mając przed sobą błotniste „hało“[39], na którem ciągnęły się pasma zarośli wierzbowych, widniały kępy sitowia i kilka

małych jeziorek. Woddali czerniły się gaiki olszynowe, małe brzózki i cienkie sosenki.
Zaczajeni myśliwi stali nieruchomo, wsłuchani w ciszę, panującą na bagnie i wpatrzeni przed siebie.
Zdawało się, że na olbrzymiem bagnie zamarło wszelkie życie. Ani ptak, ani zwierzę nie ożywiało monotonnej zielonej równiny. Żaden głos nie płoszył ciszy. Trwało to długo, aż wreszcie zdaleka dobiegły rozedrgane tony trąbki i urwały się wkrótce. Z poza widniejących na horyzoncie lasów podniosła się chmara wron i, gwałtownie machając skrzydłami, przeleciała w milczeniu. Przepłynęła w powietrzu kania i zapadła do haszczy. Cisza znowu zapanowała nad bagnistą równiną. Od czasu do czasu lekki wietrzyk donosił dalekie pokrzykiwania huczków, przedzierających się przez hało.
Staszek aż drgnął, gdy na lewo od jego stanowiska jeden po drugim padły dwa strzały i krótki okrzyk:
— Trzymaj!
Rozglądając się na wszystkie strony, w pewnym momencie wyczuł raczej niż spostrzegł, że gałęzie krzaka, stojącego wśród trzcin, poruszyły się zlekka. Wbijając wzrok w to miejsce i zaciskając w ręku karabinek, czekał. Pod krzakiem, przy samej ziemi wysunęła się nagle głowa wilka.
Conajmniej osiemdziesiąt kroków oddzielało ten żywy cel od Stacha. Podniósł ostrożnie kolbę do ramienia i, mrużące lewe oko, pociągnął za cyngiel. Jednocześnie z hukiem wystrzału, wilk dał susa naprzód i runął na ziemię.
— Zrulował w ogniu! — w myśliwskiej mowie określił młody strzelec swój triumf.
— Brawo! Brawo! Piękny strzał! — posłyszał Stach cichy głos leśniczego, stojącego na sąsiedniem stanowisku.
Widocznie jednak był to młody i płochliwy, wilk, który, posłyszawszy zbliżającą się ławę naganiaczy, czemprędzej ruszył z legowiska i dostał się pod strzał. Stare basiury nie wychodziły tymczasem z największych i niedostępnych mateczników. Inne — młodsze próbowały przebić się przez linję „huczków“. Myśliwi słyszeli wtedy wszczynający się tam hałas i wściekłe krzyki:
— Nie daj! Nie daj! A — tu! A — tu!
Po nieudanej próbie wyjścia z miotu drapieżniki ruszyły w kierunku myśliwych. Strzały padały gęsto, gdyż wilki migały w krzakach, nie wychodząc na halizny, więc loftki chybiały, strącając liście i pędy wierzb. Stach długo nie widział przed sobą zwierzyny, chociaż, słysząc strzały wiedział, że wilki już kluczą po zaroślach. Wreszcie zdaleka zamajaczyła przed nim szara sylwetka, a tuż zaraz — druga. Krzaki skryły je przed oczami chłopca, który jednak przycisnął już karabin do ramienia i zamarł w oczekiwaniu zwierza. Nadzieje jego spełniły się, gdyż pomiędzy dwiema wysokiemi kępami wynurzył się wilk i, podniósłszy łeb, węszył. Stach strzelił. Wilk potknął się nagle i głową zaryl w błocie. Drugi, przerażony strzałem, nieprzytomny ze strachu, wypadł z zarośli i parł wprost na chłopaka. Z odległości kilkunastu kroków, spostrzegł go jednak i chciał zrobić szybki zwrot, nieopatrznie wystawiając na strzał lewy bok. Młody myśliwy celną kulą zatrzymał go na zawsze.
Kilka starych basiurów, napędziwszy strachu naganiaczom, przerwało się

przez nagankę, inne, czając się, kluczyły po moczarze, nie zbliżając się do stanowisk myśliwych. Naganiacze jednak wyszli na hało i parli naprzód z krzykiem i łomotem kijów. Teraz więc coraz częściej zaczęły padać strzały. Stach wypuścił dwie kule, lecz chybił, w pośpiechu strzelając przez krzaki.

Już naganiacze byli zupełnie blisko, gdy chłopak zwalił czwartego wilka.

Polowanie było skończone, Poleszucy ułożyli zabite wilki na brzegu rowu. Naliczono dwanaście sztuk na pokocie[40]. Najwięcej zdobył tego dnia Stach Wyzbicki — najmłodszy myśliwy z małym karabinkiem.

Huczki i gajowi z podziwem patrzyli na niego i kiwali głowami, mrucząc:

— Ten to strzela! Od takiego nic nie ujdzie! A flinta — niczem cacko!

Stach uśmiechał się skromnie, lecz w głębi duszy dumny był z siebie i zadowolony.

Pan Warski polecił gajowym zedrzeć skóry z wilków. Usiadłszy nad rowem, wypytywał Stacha o podróż i przygody, opowiadając mu nawzajem o życiu swojem na odludziu, w puszczy i zapraszając go wraz z kolegami do swej siedziby leśnej.

Prom na kanale królewskim.

W godzinę po skończonem polowaniu Wyzbicki wraz z Krajnowiczami, obładowani skórami wilków, ruszyli w powrotną drogę.

Przy wejściu do wsi Stach uczynił pewne spostrzeżenie. Wiejskie psy podwórzowe mają zwyczaj wypadać na ulicę i obszczekiwać przechodniów. Wypadły też i tego dnia, lecz zwęszywszy skóry wilcze, ze skowytem pouciekały i ukryły się pod stodołami.

Przyjaciele oczekiwali z niecierpliwością powrotu Stacha. Spotkali go okrzykami zachwytu, ujrzawszy piękną zdobycz młodego strzelca. Stary Sołtys, usłyszawszy od synów o celności chłopaka, poklepał go po ramieniu i powiedział serdecznym głosem:

— Dobry będzie z was, paniczu, żołnierz! Więcej nam takich potrzeba, aby nikt na polską ziemię pokusić się nie śmiał!

Sołtysowa postawiła tymczasem na stół kaszę gryczaną ze skwarkami i pieczone liny, wołając z wyrzutem w głosie:

— Gadacie tylko i gadacie, a chłopcy, jak te wilczury, głodni są i zdrożeni! Siadajcie już, siadajcie!

Stach, posiliwszy się naprędce, bo mu pilno było podzielić się swemi wrażeniami, zaczął opowiadać o polowaniu na wilki, o leśniczym, gajowych i huczkach, ale ani słowem nie wspomniał o swoich celnych strzałach.
— Cóż ty nie chwalisz się, Stachu, temi wilkami, coś upolował? — spytała go Marynia.
Wyzbicki machnął ręką i odpowiedział z udaną obojętnością:
— Niema czem się chwalić! Mogłem był przynieść sześć skór, ale sknociłem haniebnie, pudłując do dwu wilków...
Nie chciał opowiadać o sobie, ale zato młodzi Krajnowicze wychwalali go pod niebiosa. Sołtys z podziwem przyglądał się chłopakowi, wreszcie poprosił go, aby mu pokazał swój karabinek.

Rozdział XIV.

## W WIOSCE POLESKIEJ.

Po wyruszeniu Stacha na polowanie, Olek wsiadł do kajaka i, zabrawszy wędki, popłynął do jeziora Wyganowskiego.
Przed powrotem jego Jurek z Marynią zwiedzali wioskę. Mieszkańcy zapraszali ich do swych „haspod“, wypytywali o Warszawę i jej życie, śmiesząc nieraz gości, pytaniem:
— Czy Warszawa większa jest od Łohiczyna albo Brześcia?
Marynia spostrzegła, że te zabawne pytania zadawali wyłącznie ludzie starzy, gdy tymczasem młodzież i dziatwa, choć nic nie mówiła, uśmiechała się jednak pobłażliwie i chytrze.
Szkoła polska zrobiła już swoje i zmieniła szybko duchowe oblicze ludności:
— Za lat dwadzieścia nie będzie tu nikogo, ktoby nie umiał czytać — pomyślała dziewczynka.
Z rozmów z Poleszukami Jurek wywnioskował, że główną troskę ich stanowi bydło. Dla niego szukają oni nowych łąk; zdobywając siano, wdzierają się na swoje grząskie „nietry,[41] hała i biele“[41], koszą siano, składają je w stogi, które po zimowych drogach, gdy zamarzną topieliska, jeziora i potoki, zostaną zwiezione do wsi i złożone na suchych pagórkach lub na „podokach“[42]. Wiele też trudów wymaga obrona stad przed wilkami i szukanie krów, rozpierzchłych po bagnach. Pola orne — drobne i biedne nie dają dostatecznej ilości zboża, dlatego też Poleszucy wolą kupować mąkę lub ziarno, zarabiając pieniądze pracą w lasach rządowych i prywatnych, robotami na szosach i przy naprawie kanałów, rybołówstwem, bartnictwem i flisactwem.
Kobiety dużo czasu i wysiłku poświęcają zagonom, zasianym lnem, a potem — trzepaniu kądzieli, przędzeniu i tkactwu. Pod wpływem Polaków zaczynają już też zajmować się ogrodownictwem i hodowlą drzew owocowych, co niedawno jeszcze zupełnie tu nie było znane.
Za wioską, na nagim pagórku stała stara, krzywa sosna dziuplasta z kilkoma na niej barciami. Dokoła drzewa widniały pochylone w różne strony cienkie, czarne krzyżyki. Tak wygląda cmentarz poleski, gdzie

tylko krzyż mówi o tem, że ktoś, kto już zakończył swój ciężki żywot na tej ziemi bagiennej, śpi w niej, uspokojony na wieki. Na niektórych mogiłach leżały obciosane nakształt chatek kłody sosnowe z krzyżykiem na nich i okienkiem.

Sołtys, uśmiechając się pobłażliwie, objaśnił Jurka, że są to „naruby“, w których, jak twierdzą najciemniejsi Poleszucy, przebywają dusze nieboszczyków.

Marynia i Jurek na każdym kroku podziwiali przemyślność Poleszuków. Umieli bowiem leśno-bagienni ludzie zużytkować wszystko, co dawała ich ziemia. Baby zbierały „mannę“ — ziarna rośliny łąkowej, z której gotowano kaszę; szukały młodych pędów tataraków, słodkich korzeni różnych roślin — ulubiony przysmak dzieci i młodzieży; sączyły słodki sok — „oskołę“ z brzóz; kwasiły borówki, czernice, łochynię, żórawiny i dzikie jabłka; robiły zapasy orzechów i grzybów; suszyły i soliły ryby... — setki nieznanych sposobów i tylko tu używanych prowjantów dopomagały gospodyniom poleskim w walce z głodem.

Umiały też one walczyć z chorobami, o czem świadczyły rozwieszone w „kleci“[43] pęki ziół leczniczych i „czarownych“; sadło borsucze — podobno najskuteczniejszy lek na łamanie w kościach, oraz święta, „cudowna woda“, przywieziona z dalekich nieraz miejscowości, przechowywane były w szafkach na pokuciu, za obrazami.

Mężczyźni wykorzystali wszelkie zniekształcenia drzew, aby użyć je na zrobienie zydelka, nóg do stołu, obramowania wrót, stojaków przy budowie nowej chaty, ramy pługa, obrzeża i zębów brony. Z drzewa robili niemal wszystko, co potrzebne jest w gospodarstwie, — naczynie, łyżki, kadzie, koryta, łodzie, wozy, koła, sochy, obuwie i powrozy.

Jurek przekonał się, że Poleszucy, odcięci od świata ogromem swych bagien, lasów i sieci rzecznej, przystosowali się oddawna do warunków swego kraju i potrafili przetrwać w nim całe wieki, niezmiernie ciężkie nieraz i burzliwe.

Idąc przez wioskę, Marynia spotkała posterunkowego. Miał smutny wyraz twarzy. Szedł z karabinem przez ramię i prowadził obok siebie rower. Ukłonił się dziewczynce i przeszedł, westchnąwszy ciężko. Coś tknęło Marynię. Zatrzymała się i spytała go:

— Jedzie pan? Czy daleko?

— Niebardzo! — odpowiedział cichym głosem. — Do wsi Kraje. Chłopi pochwycili tam cygana-koniokrada. Dziś nie na rękę mi ten wyjazd!...

Znowu westchnął i zacisnął wargi.

— Coś panu dolega, widzę! — zauważyła Marynia.

— Jestem zdrów, ale żona mi zachorowała i muszę pozostawić ją samą bez opieki...

Dziewczynka namyślała się przez chwilkę.

— Niech pan jedzie spokojnie, — powiedziała. — Ja się zaopiekuję panią.

— Dziękuję! — zawołał ucieszony posterunkowy i zanim Marynia się spostrzegła, pocałował ją w rękę.

Pożegnawszy policjanta, poszła natychmiast odwiedzić chorą. Młoda, blada kobieta leżała na tapczanie. Choć szczelnie przykryta ciepłym kożuchem baranim, dygotała jednak z zimna.

— Co pani jest? — spytała dziewczyna. — Przyszłam, aby pomóc i zaopiekować się panią, zanim nie powróci mąż pani...

Odpowiedziała z trudem, bo dreszcze zmuszały ją dzwonić zębami:
— Lekarz w Łohiszynie powiedział mi, że mam febrę... Miałam kilka proszków chininy, ale już się skończyły, i znowu jest mi gorzej. Gorączka, dreszcze...
— Niech pani poczeka chwilkę, wnet powrócę z lekarstwem i jakoś będziemy sobie radzić na te dreszcze — powiedziała Marynia i wybiegła z izby.
Przyniosła wkrótce apteczkę i poradnik. Długo czytała rozdział o febrze i kombinowała coś. Potem zagotowała wodę w imbryku i, napełniwszy wrzątkiem butelkę, położyła w nogach chorej kobiety.
— Teraz przyrządzę dla pani napój z kwiatu lipowego i suszonych malin, a po potach, zmieni pani bieliznę i łyknie sobie porządną dawkę chininy. Musi pani wyzdrowieć i być wesołą na powrót męża! — mówiła dziewczynka, uśmiechając się do młodej kobiety i grożąc jej paluszkiem.
Zaśmiała się po chwili i dodała proszącym głosem:
— Niech pani nie zrobi mi zawodu! Za dwie godziny powinno się pani polepszyć, bo inaczej w łeb weźmie cała moja powaga lekarska!...
Napoiwszy chorą i otuliwszy ją szczelnie kożuchem, Marynia poradziła jej usnąć, a sama wyślizgnęła się cichutko z izby i poszła do domu, aby pomóc sołtysowej w gospodarstwie. Gdy potem powróciła do swej pacjentki, ta spała mocnym snem. Obudziwszy ją, podała jej suchą bieliznę, okryła lżejszym kocem i dała dwa proszki chininy.
Policjant, powróciwszy popołudniu, nie poznał swojej żony. Dreszcze ustały, znikła szara bladość na twarzy, oczy straciły niezdrowy blask. Młoda kobieta czuła się znacznie silniejszą i powitała męża wesołym okrzykiem.
Posterunkowy przyszedł do chaty Krajnowiczów i gorąco dziękował dziewczynce za pomoc. Marynia zaopatrzyła go w kilka proszków chininy i poradziła mu, aby czemprędzej wystarał się o większą ilość tego jedynie bodaj prawdziwie skutecznego środka na febrę.
Wizyta policjanta miała niespodziewane zupełnie następstwa.
Sołtysowa bowiem pobiegła do sąsiadki opowiedzieć o „cudownem“ uzdrowieniu chorej żony posterunkowego, ta zaś z kolei odwiedziła kilka innych kumoszek, które natychmiast rozniosły po całej wiosce ciekawą i ważną nowinę.
W półgodziny potem przed domem sołtysa stała długa kolejka kobiet i mężczyzn. Przyszli ze swemi bólami i chorobami, prosząc o poradę i lekarstwa.
Z wielkim trudem udało się Maryni wytłómaczyć, że nie jest lekarką, ale to nie bardzo pomogło, bo musiała dać każdemu — jakiś proszek, lub krople.
Przywlókł się do niej nawet pastuch z olbrzymim kołtunem.
O takiej chorobie dziewczynka nigdy nie słyszała, więc na widok straszliwego dziada o siwej, powichrzonej czuprynie, zbitej w obrzydliwe kłaki, przeraziła się i nie wiedziała co ma począć.
Na szczęście wyręczył ją stary Krajnowicz, który zatupał nogami i krzyknął groźnie na pastucha:
— Wynoś się stąd, Sidorze! Co ci może pomóc panienka, kiedy jesteś głupi i ciemny? Tyle razy mówiono ci — zgól sobie te kłaki ze łba, wymyj się porządnie mydłem i wtedy odrazu będziesz zdrów!

— Aha, aha! — zamruczał pastuch. — Jak się ogolę, to mnie tegoż dnia na „pohost“[44] zaniosą!
Jeden z synów sołtysa, posłyszawszy to, parsknął śmiechem i zawołał:
— Dobrze ojciec powiedział, że jesteście głupi i ciemny! Jeżeli nie chcecie łba ogolić, to łaźcie sobie z waszym kołtunem, ale panience i nam głowy nie zawracajcie tym „pohostem“, bo i tak nie uwierzymy!
Stary pastuch odszedł, mrucząc gniewnie.
— Jureczku — szepnęła dziewczyna, dotykając dłoni brata. — Jedźmy jutro dalej, bo inaczej — apteczka moja opustoszeje; tymczasem, kto wie, co nas jeszcze czeka...
— Jutro popłyniemy dalej — na jezioro Wyganowskie i na rzekę Szczarę — odpowiedział cicho. Jednocześnie pomyślał ze smutkiem, że tę piękną drogę wodną z Czarnego Morza do Bałtyku skazali na zamarcie Litwini, zamykając swoją granicę.

Rozdział XV.

## NA SZCZARZE.

Gdy nazajutrz turyści ładowali kajaki, na brzeg wylegli wszyscy niemal mieszkańcy wioski. Jurek zwrócił na to uwagę Maryni, szepnąwszy do niej:
— Widzisz, siostrzyczko, jak to dobry uczynek budzi wdzięczność i uznanie? Myślę, że ludzie zbyt mało posługują się tą tak potężną siłą. Przeważnie starają się pokazać swoją wyższość i władzę, co zamiast przyjaznych uczuć, powoduje strach, a nawet odrazę... Twoja wczorajsza praktyka lekarska zjednała nam całą wioskę i, gdy będziemy przez nią powracać, znajdziemy tu szczerych przyjaciół!
Dziewczynka słuchała brata uważnie, ale w pewnej chwili dobiegły ją pełne zachwytu słowa młodzieży wiejskiej, otaczającej Wyzbickiego i przyglądającej się jego karabinkowi.
Roześmiała się filuternie i cichym głosem powiedziała:
— Niektórzy z Poleszuków wdzięczni są nam za lekarstwa, ale są i tacy też, którzy z podziwem i szacunkiem spoglądają na Stacha za jego celne oko...
Jurek uważnie przyjrzał się siostrze, jakgdyby w obawie, że dostrzeże na jej opalonej twarzyczce przykry grymas zawiści. Dziewczynka jednak miała oczy pogodne, roziskrzone wesołością i zadowoleniem.
Pożegnawszy Krajnowiczów, posterunkowego z żoną i cały tłum gospodarzy wiejskich, turyści popłynęli na północ, przecinając bezleśną równinę błot Sosny i Hała.
Nad głowami ich przelatywały ze świstem kaczki, z brzegu zrywały się kuliki i czajki, wysoko nad gąszczem traw, krzaków i trzcin krążyły drapieżne ptaki, co chwila wpadając w haszcze, aby porwać zdobycz. Nad kałużami trzepotały się rybitwy, pokrzykując cienko i chciwie. Wypłynęli wreszcie na przestwór jeziorny i skierowali kajaki ku wschodniemu, lesistemu brzegowi.
Jurek zrobił kilka zdjęć malowniczych zakątków i rybaków, wyciągających

długi niewód.
Na północnym brzegu jeziora Wyganowskiego, dostarczającego wody do kanału, chłopcy wyciągnęli kajaki na nieduży skrawek piasku, postanowiwszy spędzić tu kilka godzin, zanim wpłyną do tej części kanału, która łączyła jezioro z dużą rzeką Szczarą.
Olek rozpalił ognisko tuż nad wodą, lecz ledwie buchnęły pierwsze wężyki płomieni i słup dymu podniósł się nad drzewami, przybiegł zdyszany gajowy, krzycząc zdaleka:
— Co za ludzie? Nie wolno tu palić ogniska!
Jurek opowiedział mu, że są turystami, że wiedzą, jak należy obchodzić się z ogniem, więc żadnej szkody nie zrobią.
Gajowy uspokojony nieco objaśnił chłopców, że znaleźli się w lasach, należących do prywatnej posiadłości Rzepichów.
W pobliżu jeziora pracowali drwale. Wszędzie widniały sągi drzewa opałowego, stosy wykarczowanych pni i ułożone w klatkę, suszące się belki i podkłady kolejowe.
— Jak skończymy poręb, zaczniemy sadzić ziarna sosnowe, aby bór tu wyrósł — mówił gajowy, z rozczuleniem patrząc na duży imbryk, do którego Marynia wrzucała właśnie sporą szczyptę herbaty.
Dziewczynka zauważyła łakome spojrzenie gajowego i zaprosiła go na skromny posiłek.
Podziękował radośnie, zdjął czapkę i strzelbę powiesił na sęku.
Chrupiąc suchą kiełbasę i głośno pociągając herbatę, rozgadał się obszernie o tem, co się robi w lasach.
Opowiadał i pił herbatę kubek po kubku, dmuchając na gorący płyn i rękawem wycierając mokre wąsy i pot z czoła.
Po śniadaniu Jurek nakręcił kilkanaście metrów filmu, zrobiwszy zdjęcia pracujących drwali i „spuszczanych“ drzew, podpiłowanych lub podciętych siekierami.
Młody drwal, wyrąbujący wpobliżu korzenie olszyny, zaczął śpiewać na wesołą nutę:

„Maksim stary, borodaty
Ispużawsia, uciok z chaty.
Szczoż to, dzietki, za prokuda?
Ohoń horyt — wielika czuda![45]

Koło godziny drugiej młodzi podróżnicy ruszyli dalej i wpłynęli wkrótce do kanału, prostą linją biegnącemu ku Szczarze. Widniały tu wszędzie ślady wojny, która tak bardzo zniszczyła wielkie dzieło Ogińskiego.
Ten odcinek przebiegał las, zdobiący brzegi kanału aż do połączenia jego ze spławną rzeką Szczarą — dopływem Niemna. Rzeka żłobiła sobie koryto w bagnistej, bezleśnej nizinie, śród iłów czarnych i torfowisk.
Krajobraz ten, dobrze już znany turystom, nie pociągał ich ku sobie.
— Szkoda, że właściwie niema poco płynąć aż do Niemna — krzyknął wreszcie Jurek, obejrzawszy się na przyjaciół. — Dawniej to moglibyśmy dotrzeć do łach bałtyckich, poszukać na nich bursztynów, ale teraz Litwini nas nie przepuszczą. Sadzę, że lepiej zaniechać dalszej jazdy.
— Zapewne! Miejscowość nudna i jednostajna — podtrzymali go koledzy.
— Powracajmy! Będziemy dobrze machać i przed wieczorem możemy

zdążyć do naszego sołtysa!
— Jeżeli tak postanawiamy, to należy wprzód wypocząć trochę i ze świeżemi siłami ruszyć całą parą — powiedział Jurek.
Znalazłszy przy brzegu trochę piasku, wyłaniającego się z wody, zatrzymali się tu i wyszli z czółen. Na piasku słońce przypiekało, więc, przebrawszy się w krzakach w kąpielowe ubrania, wskoczyli do wody, a potem suszyli się i wygrzewali na małej łasze.
Upał zmożył ich. Jeden po drugim zaczęli drzemać. Usnęła też Marynia. Nad rzeką, płynącą powolnie i bez plusku, panowała cisza. Para żółtych pliszek sfrunęła na piasek lecz, spostrzegłszy ludzi, odleciała.
Pierwszy obudził się Stach.
Z uczuciem niewytłómaczonej trwogi podniósł głowę i jął nadsłuchiwać. Spostrzegł, że słońce stało już nisko, a więc należało spieszyć się z odpłynięciem.
Jakieś nieznane odgłosy dobiegły nagle uszu chłopca i zaniepokoiły go.
Daleki trzask, przerywany co chwila głuchem wyciem, przeraźliwe krakanie wron i jęki czajek — rozlegały się na prawym brzegu rzeki.
Stach zerwał się z piasku i rozejrzał się.
O jakie dwa kilometry od brzegu, z poza wysokich zarośli i gęstego olszyńca podnosił się słup czarnych i żółtych dymów. Czerwone połyski przerywały się przez ich ciemną zasłonę. Zgiełkliwa chmara wron miotała się nad krzakami; dwa bociany, zapewne odurzone dymem, to wzbijały się wysoko, to opadały nagle ku ziemi...
— Wstawajcie! Wstawajcie! — krzyknął Stach. — Gdzieś się widocznie pali!
Wszyscy powskakiwali natychmiast i wpatrywali się w pląsające woddali szkarłatne języki ognia, snopy iskier i czarną płachtę dymu, ponuro sunącą nad bagnem.
Stali długo bez ruchu, przejęci groźnym widokiem pożaru.
— Już późno! — zauważył Olek. — Musimy się śpieszyć, jeżeli nie chcemy, żeby pocięły nas dziś komary, bo już zaczynają.
Nie czekając odpowiedzi, ruszył ku kajakowi. Nikt jednak nie poszedł za nim. Stali zgnębieni i pogrążeni w myślach, żądających szybkiego postanowienia.
— Co tam! — zawołał raptownie Stach Wyzbicki. — Musimy biec z pomocą, bo tam zapewne pali się jakaś zagroda chłopska!... Wydaje mi się, że słyszę nawet szczekanie psa i ryk bydła...
— Biegnijmy na pomoc! — niezwykle donośnym i brzmiącym jak dzwon głosem krzyknął Jurek i, porwawszy siekierę i bosak z hakiem, wpadł w zarośle olszowe.
Stach i Marynia pędzili za nim, przedzierając się przez krzaki. Na szczęście gruba warstwa mchu i zbity gąszcz wełnianek pokrywał bagno, więc posuwali się szybko, nie zapadając w grzązawisko.
Malewicz, posłyszawszy okrzyk kolegi, obejrzał się. Cała gromadka znikała już za ścianą krzaków.
Nagły wstyd i rozgoryczenie owładnęły chłopcem. Z wściekłością uderzył się dłonią w czoło i coś burknął sobie pod nosem, oglądając się w zakłopotaniu i jeszcze się wahając.
Trwało to jednak krótką chwilę, bo Olek pochylił się nad kajakiem, wyciągnął bosak, sznur i siekierę i już wskoczył na brzeg, lecz powrócił i

zaczął wyrzucać na piasek bagaże Gruszczyńskich.
Znalazł wreszcie, czego szukał. Zacisnąwszy pod pachą skrzynkę z apteczką, popędził za przyjaciółmi. Dogonił ich prędko i biegł obok, nie patrząc na nich i nic nie mówiąc.
Wreszcie posłyszał zdyszany głos dziewczynki:
— Ach, jak to dobrze, żeś zebrał apteczkę! Biegłam i myślałam o niej... Przyda się tam zapewne...
Z wdzięcznością spojrzał Olek na Marynię i uspokoił się znacznie.
— Może nie spostrzegli, że nie chciałem śpieszyć z pomocą? — pytał siebie w duchu, bojaźliwie spoglądając na surowe, przejęte twarze kolegów.
— Oddaj mi, Olku, skrzynkę, bo masz inne rzeczy do dźwigania! — zawołała dziewczynka i wyciągnęła do niego rączkę.
Malewicz potrząsnął głową i mruknął:
— Doniosę sam — nie jest to ciężkie...
Niedaleko od gęstych oczeretów, gdzie Myszanka wpada do Szczary, paliła się duża, kryta trzciną stodoła. Płonące żagwie, rozrzucając czerwone węgle, przenosiły się nad słomianemi strzechami chaty, kleci i innych zabudowań samotnej zagrody wieśniaczej.
Palił się już stojący wpobliży płotu wysoki, stary krzyż; małe drzewka owocowe, zwarzone buchającym żarem, opuściły żałośnie gałęzie i roniły sczerniałe liście. Strzecha kleci dymiła się już, grożąc nieuniknionem zapaleniem się, jak również obora, od krokwi do ziemi otulona snopami suchych trzcin.
Jakaś starucha o rozwichrzonych włosach i nieprzytomnych oczach, wykrzykiwała cienkim głosem niezrozumiałe słowa zaklęć i rzucała w stronę ognia jakieś pióra i zioła.
Wysoki, przygarbiony Poleszuk stał przed domem i w osłupieniu przyglądał się pożarowi, który miał pochłonąć całe jego mienie. Żona jego, siedząc na ziemi, wyła rozpaczliwie i zawodziła, powtarzając w kółko:
— Młoda... łaciasta krowa — karmicielka!...
Czworo drobnych dzieciaków płakało, stojąc na uboczu i przyciskając się do siebie, jak stadko przerażonego ptactwa.
W tej samej chwili nadbiegł Jurek Gruszczyński z kolegami i siostrą.
Poleszucy byli tak zgnębieni i zrozpaczeni, iż, zdawało się, nie spostrzegli nawet przybycia obcych ludzi. Oprzytomnieli dopiero, gdy Stach podbiegł do chłopa i wstrząsnął go za ramię.
Ten spojrzał na niego mętnym wzrokiem i wydał nagle rozpaczliwy krzyk:
— Gore!... Gore!
Odpowiedziały mu głośniejsze zawodzenia kobiety.
Stach wraz z Olkiem odprowadzili Poleszuka na stronę i krzyknęli mu do ucha:
— Dawajcie wiadra, drabinę i każcie żonie, dzieciom i tej staruszce, aby nosiły wodę, a prędzej, prędzej!
Chłop oprzytomniał wreszcie i biegł do chaty, wołając na żonę i dzieci.
Wkrótce całą gromadką pędzili już do rowu po wodę. Tylko starucha nie ruszyła się z miejsca. Wymachując rękami i potrząsając siwemi kudłami, wydawała dziwne okrzyki i dalej rozsiewała zioła.
Jurek obiegł dokoła całą zagrodę i przekonał się, że stodoły uratować nie

udałoby się nawet straży ogniowej i że słomiana obórka musi zapalić się lada chwila.
Kazał więc polewać dymiącą się ścianę, a sam z Olkiem hakami bosaków zdzierał z niej pęki trzcin i słomy.
— Maryniu, kieruj noszeniem wody, żeby nie było żadnej przerwy! — krzyknął Jurek do siostry — a ty, Stachu, pomagaj nosić wiadra i popędzaj!...
Na strzechę obory spadł nagle duży, palący się snop trzciny. Cały budynek odrazu stanął w ogniu.
— Krowa moja, krowa! — zawyła Poleszuczka. — Cielić się miała, w obórce leży...
Olek spojrzał na ogarnięty płomieniem budyneczek i, zasłaniając twarz rękami, rzucił się do drzwi. Szarpnął i wbiegł do środka, widząc wdzierające już do wnętrza ogniste żądła. Łaciasta krowa stała, drżąc i chrapiąc, a obok niej leżał dopiero co urodzony cielak, taki sam łaciasty, jak matka. Olek popychał krowę ku wyjściu, lecz trzęsła łbem i upierała się z całej siły.
Już dym wypełnił oborę; od gorąca chłopakowi skręcały się włosy i dymiła bluza, gdy Olek wpadł na pomysł. Schylił się i, uniósłszy na rękach cielaka, wypadł na dwór. Krowa z żałosnem myczeniem biegła za nim.
Chłopcy poczęli rozwalać palącą się oborę, a szczątki jej polewać wodą i zasypywać piaskiem. Cały swój wysiłek skierowali teraz na kleć, obficie zlewając ją wodą i zdzierając słomę ze strzechy.
Mały synek Poleszuka przybiegł właśnie, dźwigając ciężkie wiadro. Czekał, aż Jurek, stojący na dachu, weźmie je, rzuciwszy mu sznur.
Nagle głośny wybuch rozległ się w stodole i zagłuszył wycie ognia i trzask palącego się drzewa. Płonąca belka i kilka snopów trzcin wyleciało w powietrze i, spadając przygniotło małego Poleszuka. Chłopak, krzycząc rozpaczliwie i płacząc, próżno usiłował wygramolić się z pod płonących kawałków drzewa.
Spostrzegł to Olek, pracujący na szczycie kleci. Nie myśląc o sobie, jednym susem zeskoczył na ziemię, gołemi rękami odrzucił belkę i, szarpnąwszy ku sobie chłopca, wyciągnął go z ognia. Paliły się już na nim włosy i dziurawa świtka matczyna.
Olek, nic nie mówiąc, rękami zagasił na malcu ubranie i, zaciskając zęby, jął wdrapywać się na strzechę, gdzie pracował Jurek, pokrzykując rozkazującym głosem:
— Wody! Wody!
Wreszcie stodoła runęła. Ujrzawszy to, Gruszczyński zawołał do Poleszuka:
— Dawajcie łopaty, rydle i wszystko, co macie do kopania! Usypmy dokoła zgliszcz wał z piasku i ziemi!
Długo jeszcze pracowali ludzie, walcząc z ogniem, ale już o zmroku pożar został ugaszony, tlejące belki i trzcinę zasypano ziemią i piaskiem. Stanęli wreszcie okopceni, poparzeni i zziajani. Poleszucy cisnęli się do niespodziewanych zbawców.
— Gdyby nie wy, panoczki, cały chutor poszedłby z dymem! — wołał chłop, głośno chlipiąc.
— Wyście to wyprowadzili moją krówkę! — Przepadlibyśmy bez was... — wtórowała mężowi baba, zanosząc się od płaczu.

Jurek nie wiedział, jak uspokoić wzruszonych wieśniaków, i spojrzał na przyjaciół.
Uderzył go niezwykły wyraz na wesołej zwykle twarzy Malewicza. Chłopak miał poparzone czoło i policzek, spalone włosy, w oczach zaś i w wykrzywionych wargach — cierpienie.
— Co ci jest? — spytał Olka, z niepokojem przyglądając się przyjacielowi.
— Coś mi się z nogą zrobiło, gdym zeskakiwał z dachu, — no, i bolą mnie popalone ręce — odpowiedział cicho.
— Marynia opatrzy cię natychmiast — zawołał Jurek i podszedł do siostry, która uspokajała płaczącego malca z opalonem uchem i podbródkiem. Nakładała mu właśnie plaster z żółtej maści lnianej i zwijała bandaż.
— Maryniu śpiesz się, bo z Olkiem źle jest — szepnął do dziewczynki. — Zdaje mi się, że zwichnął sobie nogę i strasznie się poparzył!
— Zaraz skończę opatrunek i przyjdę! — odpowiedziała zaniepokojona.
— Śpiesz się! — powtórzył Jurek. — Obawiam się, że Olek poważnie się skaleczył, a twarz i ręce ma w bąblach i ranach...
Marynia starannie obandażowała małemu Poleszukowi głowę i, widząc, że przestał płakać, czemprędzej pobiegła na podwórze, gdzie na przyzbie siedział Olek.
Dziewczynka obejrzała rany przyjaciela. Była przekonana, że są to zwykłe i wcale niegroźne oparzenia. Już wiedziała, jak w podobnych wypadkach postępują lekarze, więc omyła rany oliwą i, osuszywszy je watą, nałożyła grubą warstwę żółtej maści, kojącej ból i przyspieszającej gojenie się poparzonej skóry. Po nałożeniu bandaży przystąpiła do zbadania stopy Olka. Chłopcy ściągnęli mu but. Malewicz miał nogę opuchniętą w kostce. Przy nacisku i najlżejszym choćby ruchu czuł tak ostry ból, że aż syczał i zgrzytał zębami.
— Przecież po skoku z dachu mogłeś jeszcze chodzić? — spytała mała lekarka, zajrzawszy przedtem do poradnika.
— Bolała mię bardzo, ale mogłem jeszcze stąpać na niej — odpowiedział Olek przez zaciśnięte zęby.
Dziewczynka ucieszyła się i zawołała:
— Lekarz, który ułożył podręcznik, pisze, że skoro staw jest czynny, — znaczy, że niema zwichnięcia. Zapewne wyciągnąłeś i nadwyrężyłeś ścięgno, bo tak właśnie stoi w książce. Zobaczymy teraz, co trzeba robić, aby ulżyć choremu! Aha!... Tak! Tak! Już wiem... Stachu, przynieś mi kubeł zimnej wody!
Marynia zajodynowała opuchniętą kostkę, przez pewien czas robiła zimne okłady, poczem nałożyła okład ogrzewający pod ceratką i grubym bandażem.
— To już i wszystko, co mogę zrobić, nie szkodząc choremu... — westchnęła dziewczynka. — Żałuję, że nic a nic nie znam się na lecznictwie! Ileż to można dobrego zrobić ludziom, będąc lekarzem! Jednak, chociaż nic nie wiem i robię to tylko, co stoi wydrukowane w poradniku, oświadczam, że Olek musi poleżeć conajmniej dwa dni.
Poleszucy ledwie posłyszeli te słowa, rzucili się do Maryni, prosząc ją, aby chory i wszyscy ich dobrodzieje pozostali w chutorze.
— Niedużo nam zapasów pozostało po spaleniu się stodoły...
— Ale, ale! — coś sobie przypomniawszy, zawołał Jurek. — Co to trzymacie w stodole, że tak buchnęło?

— Ach! — machnął ręką Poleszuk. — Płynął tu jakiś inżynier motorówką i pozostawił blaszankę z benzyną na powrotną drogę... Ona to tak strzeliła głośno... Ale zostańcie u nas, panienko, i wy, panicze! Pójdziemy sobie na Szczarę z niewodem, to i będzie co jeść... a i w kleci jeszcze pełny worek mąki pozostał...

Cała kompanja wkrótce już rozmieszczała się w chacie, wygodnie ułożywszy Olka na szerokiej ławie, Marynia, wydobywszy wszystkie zapasy, zaniosła je kobietom, krzątającym się już koło pieca. Poleszuk, gwizdnąwszy na psa, poszedł na hało szukać rozpierzchłego bydła.

Jurek wyszedł na dwór. Czarne chmury wisiały nisko nad ziemią. Cisza, jaka zwykle poprzedza burzę, przytłoczyła wszystko dokoła. Potrzaskiwały przysypane piaskiem węgle na pogorzelisku, cykały nietoperze, pokrzykiwały kaczki w szuwarach. Wkrótce już dobiegły dalekie odgłosy grzmotu, błysnęło kilka razy gdzieś za czarną zasłoną chmur i nagle spadł ulewny deszcz, jakgdyby sama natura usiłowała zagasić resztki tlejących trzcin i zmyć ślady ognia.

Potoki wody wylewały się na ziemię i w jednej chwili zamieniły podwórze w jezioro z pływającemi na jego powierzchni zwęglonemi deskami i snopami zrzuconej z dachów słomy.

Jurek powrócił do chaty.

Stach spał na „leżance“ przy piecu. Spała też na ławie za „kotarą“ z prześcieradła zmęczona Marynia i tylko Olek leżał z otwartemi oczyma.

Słaby płomyk małej świeczki ledwie oświetlał izbę.

Gruszczyński pochylił się nad przyjacielem i pytającym wzrokiem przyglądał mu się.

— Boli mię noga... — syknął Malewicz. — Ale to nic, jestem sprawiedliwie ukarany...

— Ukarany? — powtórzył zdziwiony Jurek. — Zaco?

Olek westchnął i, spuściwszy oczy, szepnął:

— Nie chciałem iść ratować tych biedaków...

— Co ty wygadujesz, Olku?! — zaprzeczył kolega. — Widziałem przecież na własne oczy, jak wyprowadziłeś z palącej się obory krowę z cielakiem, a potem ratowałeś tego malca, który zginąłby, gdyby nie twoja pomoc...

Malewicz, nie podnosząc oczu, szepnął znowu:

— Byłem obojętny na nieszczęście ludzkie i nie chciało mi się śpieszyć z pomocą tym Poleszukom, dopiero, gdy wy...

Umilkł i syknął z bólu, a może ze wstydu.

Jurek jeszcze niżej pochylił się nad nim i powiedział cichym, lecz dobitnym głosem:

— Jesteś uczciwy, bo potrafisz przyznać się do winy i naprawić ją... Polubiłem ciebie zato jeszcze serdeczniej...

Nie mógł mu uścisnąć obandażowanej ręki, więc tylko głęboko zajrzał mu w oczy.

Spostrzegłszy, że Olek ma suche usta i wypieki na policzkach, dolał mu do kubka zimnej herbaty i zaczął układać się na sianie, leżącem na podłodze i okrytem grubą, lnianą płachtą.

Pięć dni upłynęło, zanim Marynia, opiekując się Olkiem i małym Poleszukiem, oznajmiła, że chory przyjaciel może już ruszyć w dalszą drogę. Odjazd wyznaczono nazajutrz.

Przez cały czas przymusowego popasu Jurek ze Stachem nie pozostawali w bezczynności.
Widząc, że Poleszuk przystępuje do odbudowy spalonej stodoły, dopomogli mu posprzątać zgliszcza, przygotować deski i wkopać stojaki. Potem wraz z gospodynią pracowali na mokrych łąkach, gromadząc trzciny na strzechę, rozkładali je na suchej grzędzie piaszczystej, aby wyschły dobrze i zbielały.
Budowa posuwała się szybko i nowa stodoła stanęła niebawem. Dzieciaki przepadały za młodymi gośćmi i na krok nie odstępowały od nich, chciwemi oczkami śledząc, czy nie sięga któryś z nich do kieszeni po karmelek lub kawałek czekolady.
Ostatni wieczór przed odjazdem, kajakowcy spędzili z gospodarzami. Poleszuczka co chwila pociągała nosem i ocierała łzy. Iwan milczał uporczywie, nawet dzieciaki siedziały cicho, wpatrując się w oczy nowych przyjaciół.
Poleszuk mruknął wreszcie:
— Łamię sobie głowę i nic wymyślić nie mogę!... Powiedzcie mi, panicze, jak to się stało, że przybiegliście nam z pomocą? Mówiliśmy już z żoną, że, gdyby nie wy, spaliłby się cały nasz chutor, z dymem poszedł... A potem leczyliście Michałka...
Posłyszawszy to pytanie, Olek zarumienił się i spuścił oczy. Gruszczyński spostrzegł to, lecz udał, że nic nie widzi, i spokojnym głosem odpowiedział:
— Powiedzcie mi, gospodarzu, czy nie chcielibyście ratować nas, gdybyśmy tonęli na Szczarze?
Chłop wzruszył ramionami i odparł natychmiast:
— Ratowałbym, gdybym widział...
— Więc i my zrobiliśmy to samo — uśmiechnęła się Marynia. — Każdy człowiek powinien pomagać innemu...
Nazajutrz kajakowcy odpłynęli.
Rodzina Poleszuków długo stała na brzegu i smutnym wzrokiem odprowadzała przyjaciół, znikających już za załomem brzegu.
— Hej, na dobrych wyrosną oni ludzi... — westchnął chłop.
— Dobre mają serca, uczciwe! — wtórowała mu żona, wycierając oczy fartuchem.
Gromadka przytulonych do niej dzieci rozpłakała się, jak na komendę.
Młodzi podróżnicy nie wiedzieli i nie przeczuwali nawet tego, co o nich mówili ci prości i wdzięczni im ludzie.
Wiosłowali, zgodnym ruchem przerzucając wiosła i zbliżając się coraz bardziej ku kanałowi.
— Cieszę się, że zobaczymy znów poczciwych Krajnowiczów i tę miłą żonę posterunkowego! — spojrzawszy na brata, uśmiechnęła się Marynia, a po chwili dodała:
— Dziwne jest serce ludzkie i bardzo biedne! Cieszę się ze spotkania z sołtysem i jego rodziną, tymczasem trochę mi tęskno za tym mrukliwym Iwanem, jego zakłopotaną żoną i dziatwą... I nikt na to nie poradzi!
— A nikt! — zgodził się brat. — Wobec tego wiosłuj, Marysieńko, zostawiwszy rozmówki i smutki na później!...
Zaśmiali się oboje i zaczęli rozpędzać kajak.
Wypoczęli krótką chwilę w lesie nad jeziorem Wyganowskiem i w

półgodziny potem przecinali je na żaglach, ponieważ zerwał się dość silny wiatr.
Koło godziny trzeciej, szybko przepłynąwszy jezioro i kanał na odcinku błot Hała i Sosny, turyści przybili do wysokiego brzegu wioski. Przybycia ich nikt nie spostrzegł.
Wyciągnąwszy kajak z wody, chłopcy zaczęli wyładowywać bagaże, gdy tymczasem Marynia udała się do wioski. Z chat wybiegać poczęły kobiety i dzieci, otoczyły małą lekarkę, opowiadały coś i tuż na poczekaniu skarżyły się na różne dolegliwości. Całą gromadą odprowadzili Marynię do chaty sołtysa.
Starego nie było w domu, gdyż popłynął do Telechan, zato sołtysowa rzuciła się do dziewczynki, wyściskała ją i wycałowała, wypytując o chłopców i podróż. Marynia w kilku zdaniach opisała przygodę na Szczarze i uspokoiła przerażoną babinę, mówiąc, że Olek i cała ich kompanja cieszą się jak najlepszem zdrowiem.
Niebawem nadeszli chłopcy i powitali rozgadane mieszkanki wioski.
— Dziś same baby w „siole“[46] gospodarzą! — z głośnym śmiechem zawołała sołtysowa. — Chłopy poszły na łąki trawy kosić, moi synowie to już od wczoraj na „łuhach“ robią!
Po krótkim wypoczynku podróżnicy, wypytawszy o drogę, poszli odwiedzić młodych Krajnowiczów. Idąc przez „hała“, napotykali grząskie drogi i kładki.
Wszędzie po łąkach pracowali Poleszucy, a na tak ważną w ich życiu robotę wyległy też młodsze kobiety i starsza dziatwa.
Błyskała stal, migotały mocne ramiona kosiarzy, rozlegało się dzwonienie odbijanych kos i zgrzyt ostrz o toczydła. Dobiegały słowa pieśni lub zrywające się nagle krzyki, gdy na błotnistej ziemi znajdowano gniazdo ze spóźnionemi kaczętami, lub gdy spostrzegano żmiję czy też wyskakującego z pod nóg szaraka.
Nad skoszonemi łąkami miotały się z jękiem czajki, niespokojne o swój drobiazg, nie latający jeszcze, lecz umiejący już kryć się przed wzrokiem ludzkim. Z całej, zda się, okolicy zleciały się tu bociany i nieomal deptały ludziom po piętach, szukając żeru w skoszonej trawie. Co chwila zadzierały głowy i łykały żaby, węże, myszy, ślimaki i jaszczurki. Nad łąkami na szeroko rozrzuconych skrzydłach krążyło drapieżne ptactwo i co się dało urywało bocianom, nie zwracając uwagi na ich syczenie, klekot i zabawne podskoki.
Poleszuczki urządziły już czasowe mieszkania dla swych rodzin.
Nazywały je „szatrami“.
Te sklecone z cienkich żerdzi i okryte płótnem szałasy stanowiły schronisko Poleszuków na cały czas kośby, składania i wywożenia siana.
Koło „szatrów“ widniały małe namiociki, w których stały drewniane kołyski z niemowlętami.
Dzieci i psy tkwiły tu na straży; małe dziewczynki — przyszłe matki — fartuszkami lub gałązkami odpędzały komary i bąki od śpiącego rodzeństwa.
Jurek na skraju obszernej łąki, tuż przy małym gaiku olszowym dostrzegł obu Krajnowiczów. Cała gromadka podróżników szybkim krokiem skierowała się ku nim, idąc po kładce z okrąglaków.
Młodzi Poleszucy ucieszyli się na widok znajomych i wybiegli

naprzeciwko nim, wymachując słomkowemi kapeluszami. Cały dzień spędzili podróżnicy z kosiarzami. Roman Krajnowicz umiał opowiadać barwnie i zajmująco. Chłopcy słuchali z zaciekawieniem, gdy przypominał dawno już nieżyjących sąsiadów, którzy, poszukując łuhów kośbnych, zginęli w topieliskach. Roman, uśmiechając się chytrze, a zarazem pobłażliwie, mówił o tem, że zabobonni Poleszucy przysięgali, iż widzieli potem zaginionych ludzi pod postacią „wodzianików“ — bladych zjaw, wyzierających z toni lub „wilkołaków“ — napastujących po nocach samotnych przechodniów. Krajnowicze pracowali sprawnie, pięknie władając kosami, na których znali się wyśmienicie i niezmiernie wysoko cenili dobrą stal ostrz. Marynia, nie bardzo się interesując podobnemi rzeczami, odwiedzała szałasy Poleszuków, bawiła się z dziećmi i śmiała się z bocianów, maszerujących jak na ćwiczeniach wojskowych. Krajnowicze tymczasem dochodzili już do końca łąki, gdzie wśród sitowia kryło się maleńkie jeziorko, całe zarośnięte blademi listkami rzęsy i liljami wodnemi. Pod kosami Poleszuków pokotem kładły się trzciny. Gdy skończyli pracę, zaprosili młodych przyjaciół na skromny posiłek wieczorny i wyprowadzili ich przez bagno na drogę.
— Musimy się z wami pożegnać — oznajmiła Marynia. — Jutro opuścimy waszą wioskę...
— Znów popłyniecie kanałem? — spytali.
— Nie! — odpowiedział Jurek. — Kajaki wyślemy do Pińska wąskotorówką, sami zaś odbędziemy pieszą wycieczkę przez waszą puszczę i lasy pińskie do jeziora Pohost, a stamtąd — do kolei i pociągiem — do Pińska.
— Długo tam zabawicie?
— Jeden tylko dzień, poczem popłyniemy kanałem Królewskim. Bądźcie zdrowi! Życzymy wam powodzenia!
Uścisnęli dłonie Poleszuków i szybkim krokiem powrócili do wsi, gdzie czekał już na nich sołtys.

Rozdział XVI.

## NA ŚCIEŻKACH LEŚNYCH.

Leśniczy, z którym polował na wilki Stach Wyzbicki, nie zapomniał o młodych wycieczkowiczach. Pan Warski nietylko przysłał szczegółową mapę nadleśnictwa, przez które turyści zamierzali odbyć pieszą wycieczkę, ale również listy, polecające młodą kompanję opiece leśniczych i gajowych.
Plecaki były już naładowane wszystkiem, co tylko mogło się przydać w drodze; mocne lekkie kije suszyły się na słońcu, obuwie, dobrze przepojone tłuszczem, stało w pogotowiu. Niepotrzebne w drodze i zbyteczne rzeczy sołtys podjął się dostarczyć wraz z kajakami do Telechan i kolejką wyprawić do Pińska na przystań szkolną. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na dzieło hetmana Ogińskiego i pożegnawszy Krajnowiczów, turyści ruszyli „w świat nieznany“.

Od wioski Wyganoszczy droga biegła przez lasy Wiadotupickie przez wsie Kraje i Hutka do traktu.
Mieli przed sobą około 25 kilometrów ciężkiej drogi. Od rana kropił deszcz; w powietrzu wisiała mgła.
W dość markotnym nastroju szli ścieżką leśną, odnajdując znaki, wskazane na mapie, dostarczonej im przez pana Warskiego. W kilka minut popołudnia odszukali polanę, gdzie stała leśniczówka. Zmoknięci i znużeni z radością weszli pod dach.
Leśniczy, przeczytawszy list zwierzchnika, uprzejmie przyjął gości.
Młody pan Garzycki przed dziesięciu dopiero laty ukończył szkołę i mieszkał na odludziu z matką — osobą inteligentną, niezmiernie żywą i czynną.
Pani Wanda Garzycka zagospodarowała się w puszczy znakomicie. Miała krowy, świnie i drób, żywione żołędziami; założyła ogród warzywny, a nawet inspekty; przed domem, osłonięte od zimnych wiatrów wysokiemi dębami, stały drzewa owocowe, o gałęziach, zwisających ku ziemi pod ciężarem jabłek i gruszek. Za zagrodą, na bagnistej łące zapobiegliwa i dobra gospodyni urządza staw rybny i, pokazując go, chwaliła się, że ma w nim „zatrzęsienie“ karasi i karpi.
Ponieważ Marynia lubiła gawędzić o sprawach gospodarskich, pani Wanda wzięła dziewczynkę pod swoją opiekę i usta im się nie zamykały.
— Muszą państwo zostać u nas na dłużej! — przekonywała gości pani Garzycka. — Marysieńka ma wygląd zmęczony. U nas wypocznie znakomicie, a z waszej znów strony będzie to miłosierny uczynek, gdyż jesteśmy tak osamotnieni, że pobyt w naszym domku takich miłych, młodych gości będzie prawdziwem dla nas świętem!
Posłyszawszy to, do rozmowy wmieszał się młody leśniczy i jął tak serdecznie zapraszać, że chłopcy musieli się wkońcu zgodzić.
Zresztą skłoniły ich do tego dwie okoliczności. Garzycki wspomniał o bobrach, które niedawno osiedliły się na błotach Wyżarskich, i o bartnikach, siedzących w ostępach leśnych.
Poza tem był jeszcze jeden powód, który wzbudził głęboką sympatję Jurka dla leśniczego.
Garzycki, mówiąc o zwierzętach i ptakach, posługiwał się dawno już porzuconą piękną, staropolską gwarą łowiecką, co dla Gruszczyńskiego, prowadzącego szczegółowy dziennik podróży, w którym zapisywał też nieznane mu słowa i nazwy, miało wielki powab i urok. Zaczęło się to w chwili, gdy wyszedłszy na ganek, aby przekonać się, czy nie rozświetla się szare, zachmurzone niebo, posłyszał od gospodarza:
— O! Na „chrapach“[47] somińskich, gdzie były niegdyś wilczyńce[48], cieciorki kokają... Dziś dżdżyć będzie do nocy, bo żórawie ciągotliwie „kierają“[49] w „czerotach“[50].
Leśniczy przepowiedział dobrze. Deszcz rozpadał się na cały dzień. Dopiero wieczorem wiatr zmiótł chmury. Tam i sam błysnęły gwiazdy.
Cała gromadka młodych turystów usiadła na ganeczku leśniczówki i cicho gwarzyła. Wkrótce przyłączyli się do niej gospodarze.
— Ach, zapomniałam pochwalić się Maryni! — zawołała pani Garzycka. — Nasz przyjaciel z ordynacji Radziwiłłowskiej przysłał mi krzak azalji — rzadkiej w Polsce i Europie rośliny. Robimy próbę, czy może być tu rozpowszechniona. Azalja pontyjska ma swoją ojczyznę w górach Kaukazu

i w Azji Mniejszej, a u nas jest albo niedobitkiem flory przedlodowcowej albo została przeniesiona przez Tatarów...
— W kwiaciarniach w Warszawie widziałam azalje białe i czerwone, lecz kwiaty ich nie mają żadnej woni — zauważyła dziewczynka.
— Nasza azalja, czyli inaczej — różanecznik żółty, który kwitnie w maju i czerwcu, ma słodko-gorzkawy, odurzający zapach, co spowodowało, że Poleszucy nazywają ją „durnem[51] bagnem“. W niektórych lasach południowo-wschodniego Polesia i na Wołyniu azalja tworzy gęsty, nie do przebycia podszyt o twardych, gęstych pędach...
Leśniczy zaśmiał się i wtrącił:
— Poleszuki z tego powodu nadali jej przezwisko — „draposztany“, bo czepia się spodni!
— Bardzo niepoetycka nazwa! — pogroziwszy synowi palcem, mruknęła pani Wanda. — Ale cieszy mnie to, że przysłany mi krzak przyjął się tu i rozwija jak najpomyślniej! Gdy kwitnie pszczoły zlatują się tu wtedy z całego lasu!
Opowiadanie pani Garzyckiej przerwał jazgotliwy charkot, dobiegający z lasu. Wszyscy podnieśli głowy, nadsłuchując i patrząc na gospodarza.
Leśniczy rozłożył ręce i szepnął:
— Twarde prawo natury, dramat leśny! To zając „kniazi“, bo go porwał lis lub wpadła na niego kuna... Ale już przestał... Zapewne już nie żyje...
Spostrzegłszy, że Marynia westchnęła, dodał:
— ...a może udało mu się wywinąć i umknąć szczęśliwie, rozpuściwszy skoki.
— Niech pan opowie nam coś o życiu zwierząt — poprosił go Stach Wyzbicki, a Marynia spojrzała na leśniczego roziskrzonemi nagle oczyma.
Garzycki uśmiechnął się łagodnie i, ćmiąc papierosa, zaczął mówić cichym głosem:
— Lasy poleskie — to resztki wielkich puszcz królewskich, gdzie łowami zabawiali się Jagiełło, Witold, Olgierd i potomkowie króla Władysława, panujący na tronie polskim... Najbardziej pożądana zwierzyna łowna przebijała sobie grządy[52] i przesmyki w ostępach kniei. Tury pasły się tu po suchych ostrowach, a ich czaszki i kości nieraz wykopywano z torfu... Walczyły z niemi o pastwiska mocarne żubry o kosmatej „kądzieli“[53] i łosie o „rozłogach“[54] łopaciastych... Poza łowcem, uzbrojonym w kuszę[55] i oszczep, miały te olbrzymy rogate jednego jeszcze wroga, — burego kosmacza, niedźwiedzia o siwych kłakach na karku. Po skraju lasów i po polanach pasły się małe, chyże koniki dzikie. W splocie ramion dębowych rosomaki i rysie czatowały na jelenie i sarny; na zalewiskach leśnych budowały swe żeremia bobry, pluskając „kielniami“[56] i „spuszczając“[57] osiki i brzozy ostremi siekaczami... Minęły te czasy i już bezpowrotnie! Teraz z wielkim wysiłkiem osiedlono żubry w Białowieży; łosie przebywają w rezerwatach[58]; niedźwiedź zrzadka zagląda do naszych okolic... W lesie i po kujawach dynduje lis, tropiąc zające, cietrzewie, jarząbki i głuszce, a, gdy mu się łowy nie powiodą, porwie mysz, kreta lub sikorę i powróci do nory, wlokąc po ziemi rudą kitę z białą „kiścią“[59] na końcu. Po oczeretach dybią wilki na sarny a w zimie ponuro wyją po igrzyskach... W dnie wiosenne po wrzosowiskach grają głuszce czarnopióre, na „nietrach“ puszą się i biją cietrzewie i kokają, grzebiąc się we mchu, cieciory; w krzakach łoziny śmiga „osmyk“[60] zajęczy; nad moczarem „krzęczą“

ciągnące słonki; w zaroślach grdają derkacze; po miedzach — ciągocą kuropatwy, a w ciemnych „olosach“[61] klekoczą czarne bociany. Milknie jednak całe to bractwo leśne i łąkowe, gdy z gniewnem „dmuchaniem“ przechodzi szablisty odyniec, o nastraszonych „piórach“[62] i zapadłych bokach, poplamionych grubym „usmołem“. Nawet najstarszy i najzuchwalszy „łupara“[63] zejdzie mu z oczu i sczeźnie.
Leśniczy wypuścił strugę dymu i popatrzył na niebo.
— W takie noce na wiosnę i w jesieni gwarno tam w wyżynie — ciągnął w jakiemś rozmarzeniu. — Gęgają klucze gęsi przelotnych, klangorzą łabędzie, kierają żórawie, kwakają i gwiżdżą stada kaczek... a z ziemi odpowiada im złe huczenie puhacza...
Garzycki umilkł i głowę opuścił na oparte na kolanach ręce.
— Jak pan pięknie umie opowiadać! — szepnęła Marynia. — Żeby to robiło takie wrażenie, trzeba rozumieć i kochać las, zwierzęta, ptaki i wszystko, co żyje na ziemi...
— Antoś kocha to wszystko! — odpowiedziała pani Wanda.
Leśniczy nie odzywał się wcale. Siedział z opuszczoną głową i, zdawało się, nie słyszał, co mówią o nim. Wreszcie wstał, rzucił papieros na wilgotny piasek i przydeptał starannie.
— Jutro muszę obejrzeć, jak gajowi wykopali ugaj[64] i wyrąbali śniegołomy i posusz — powiedział w zamyśleniu.
— Pójdę z panem leśniczym, jeżeli nie będę zawadzał — powiedział Jurek, ale i wszyscy chłopcy jęli prosić o to Garzyckiego.
— Ogromnie się cieszę! — zawołał pan Antoni. — Pójdziemy całą kupą. Może ujrzymy co ciekawego w lesie... Pan Jerzy w każdym razie „chwyci“ co na wstęgę...
Wkrótce całe towarzystwo siedziało już przy stole. Natychmiast potoczyła się wesoła rozmowa, przerywana wybuchami śmiechu i żartami.
Koło godziny dziesiątej, gdy goście, udając się na spoczynek, żegnali gospodarzy, zaszczekał pies, spuszczony z łańcucha, i rozległ się basowy głos:
— Cicho, Filucie, nie poznałeś mnie czy co, sobako?
Pies przestał szczekać i wydał łagodny skowyt.
— Gajowy Budniak przyszedł z raportem — objaśnił leśniczy, idąc do kancelarji, gdzie służąca zapala już lampę naftową.
Do uszu Jurka dobiegła cała rozmowa. Huczący głos gajowego dobiegał wyraźnie:
— Patrzę, panie leśniczy, aż tu zacios świeży, nad Hniłuchą — drugi i na borowinie świeży ślad łapci i kolby... Pobiegłem ku Łuniowu, ale tam ani zaciosów, ani śladów...
— Oddawna mówię wam, Budniak, że pęta się u nas kłusownik... — przerwał mu leśniczy. — Wiem, co mówię, bo mam dowody. Podejrzewam nawet, kto to jest...
— Któż to taki? — spytał gajowy.
— Kiedy go złapiemy, powiem wam, czy zgadłem! — zaśmiał się Garzycki. — Jutro będę u was na robotach w rewirze, wtedy pogadamy. Zanocujcie u mnie, to razem pójdziemy... Powiedźcie kucharce, aby nakarmiła was... Dobrej nocy, Budniak!
Jurek, rozbierając się, opowiedział kolegom o słyszanej rozmowie.
Stach, zacierając ręce, szepnął do niego:

— Oj, widzi mi się, że będziemy łapali tego kłusownika!
— Mnie się też tak zdaje! — potwierdził Gruszczyński, wyciągając się na skrzypiącym tapczanie.
Umilkli wkrótce. Poszczekiwał pies, biegając dokoła domu, i darł się za piecem świerszcz.

Rozdział XVII.

## WALKA O LAS.

Gdy chłopcy doszli do gajówki Budniaka, ujrzeli w lesie tłum pracujących Poleszuków. Jedna partja zbierała posusz i leżaninę, składając ją w duże stosy na świeżo zoranem karczowisku; druga zgrzebywała opadłe gałązki, szyszki, igliwie i liście i paliła całe kupy gnijących resztek, w których gnieżdżą się zwykle niebezpieczne dla lasu owady — szkodniki.
Inna partja robotników kopała rowy, odprowadzając czarną, stojącą wodę do małej rzeczki, wpływającej do Szczary. Na karczowiskach kobiety wrzucały ziarna sosen do zagłębień w ziemi. Z czasem miał tu wyrosnąć zagajnik o równych szeregach sosenek.
Sągi polan olchowych, grabowych i brzozowych widniały wszędzie, przygotowane do wywozu z lasu na sprzedaż. Ułożone w przewiewne klatki podkłady dębowe i belki sosnowe suszyły się na miejscu porębu zanim zostaną wysłane na kolej. Obok nich suszyły się również stojaki dębowe — słupki, używane do wzmocnienia galeryj w kopalniach.
Robotnicy przeorywali ziemię w wykarczowanej części lasu; na przeciętą już rowem moczarowatą kotlinę zwożono piasek, wapno i popiół, aby zmienić skład gleby i uczynić ją zdatną do żywienia sosen.
Chłopcy, słuchając wyjaśnień leśniczego, zaczynali rozumieć całą potęgę wiedzy. Pomagała ona do szybkiej zmiany gatunku lasu, a nawet do powstania zupełnie nowego krajobrazu.
— Tak... tak, — mówił pan Garzycki. — Znikną tu grube poduszki mchów torfowych, te oczerety wierzbowe, te plamy bladych porostów, a na ich miejscu zapanują wrzosy, macierzanki i borówki... Czy robimy dobrze — to pokaże czas! W każdym jednak razie wykonanie naszego planu zmieni też zwierzostan... Porzucą tę miejscowość sarny, jelenie i dziki, a za niemi wyniesie się stąd ryś, bo czyż zdołałby się ukryć plamisty zbój w kulturalnym zagajniku, rosnącym równemi rzędami, niby żołnierze w szyku?!
Jurek, słuchając pana Antoniego, myślał nad tem, poco Poleszucy palą leżaninę, która przydałaby się po chutorach, jako zwykłe i tanie paliwo, aż wreszcie zapytał o to leśniczego.
Pan Garzycki wydobył z gnijących i zbutwiałych odłamków drzewnych jajka, gąsienice, poczwarki, a nawet dojrzałe już owady — szkodniki, gnieżdżące się w nich i żerujące, złapał potem szarą błonkówkę, która usiadła na jego rękawie. Był to „trzpiennik stalowy“. Gąsienice jego żyją w świerczynie i posiadają zdolność do zgryzania twardych przedmiotów, a nietylko drewna.
— Ileż podobnych szkodników natworzyła przyroda! — mówił leśniczy. —

Słyszeliście zapewne o groźnym korniku, sówce-chojnówce i pędraku? Ćma, którą nazywamy sówką, napada sosnę, gąsienice jej pożerają igły. Uszkodzone przez nie drzewo usycha.
Chłopcy dowiedzieli się niebawem, że dla ochrony od gąsienic, wpełzających zwykle po pionach, gajowi zakładają pierścienie lepowe, na których gąsienice giną.
W walce z tym wrogiem lasów dopomagają ludziom nietoperze i jeże, z ptaków — kukułka, szpak, lelek, dudek, kruk i wrona.
Niektórzy uczeni znaleźli innych też sojuszników w obronie lasu przeciwko sówce. Wykryli oni, że istnieją pewne — szczypawki i pluskwy drzewne, które żywią się temi gąsienicami.
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej handlują nawet „najemnem wojskiem owadziem“, wysyłając zastępy różnych błonkówek potrzebnych do walki ze szkodnikami, zabijającemi sosny.
Inni znów badacze wykryli pasorzytnicze grzybki, napadające gąsienice. W zimie, gdy larwy leżą uśpione, grzybki te uśmiercają je, żywiąc się ich wnętrznościami.
Sówka jednak staje się nieraz prawdziwą plagą lasów polskich. Wtedy, jak objaśnił Garzycki, pozostaje jedyny już środek zwalczania jej — spalenie zarażonego lasu.
Walka z sówką odbywa się teraz sposobami nowoczesnemi, jak naprzykład, — opyleniem lasu różnemi środkami płynnemi lub sproszkowanemi. Istnieją specjalne kadry opylaczy, którzy wykonują swe czynności, posługując się pompą motorową, lub też wysypując zabijający gąsienice proszek z samolotu. Przypomina to wojnę gazową.
Największym zapewne szkodnikiem jest chrabąszcz majowy, taki niewinny pozornie, głupi żuk, z hukiem latający naoślep. Wpada on nieraz z całym rozpędem na człowieka lub na ścianę domu i zabija się.
Leśnicy jednak ścigają go z całą zawziętością, gdyż niszczy on drzewa iglaste, dęby, brzozy i klony.
Ze złożonych w glebie jajek chrabąszcza wylęgają się biało-żółte „pędraki“ o potężnych szczękach. Żyją one w ziemi, karmiąc się narazie próchnicą, ale wkrótce zabierają się do najdrobniejszych korzonków sosny, świerka i innych drzew. Po roku larwa zakopuje się głębiej i obcina korzonki młodych sadzonek, co trwa przez trzy lub cztery lata, aż z pod ziemi wygrzebie się chrabąszcz i wzbije się w powietrze. Jako dojrzałe owady, obgryzają one korę.
Z temi szkodnikami straż leśna walczy, strząsając je z drzew na rozwieszone płachty, paląc potem zebrane owady lub parząc je gorącą wodą. Pędraki można tępić, przeorując glebę lub zwabiając je do wykopanych dołków, gdzie na przynętę umieszcza się dla nich wilgotny mech i zielona sałata.
— Mój Boże, ileż to kłopotów ma pan z lasem! — zawołał Olek, wysłuchawszy skargi leśniczego na szkodliwe owady.
Pan Garzycki zaśmiał się głośno i uspokoił chłopca.
— Nie takie to straszne! Niezawsze przecież napady naszych wrogów przybierają rozmiary klęski! Bacznie śledzimy rozwój naszych wrogów i przeszkadzamy im rozmnażać się zbytnio. Proszę spojrzeć tam, gdzie leżą ścięte drzewa! Okorowaliśmy je niedawno, to znaczy zdjęliśmy korę i spaliliśmy ją.

Jurek podszedł i zobaczył zawiłe rowki, wydrążone w drewnie, tuż pod zdjętą korą.
— Ach, to zapewne kornik! — zawołał.
— Tak, kornik krzywozębny! — potwierdził leśniczy. — Rozmnożył się on na kilku drzewach, a my je ścięliśmy, korę spaliliśmy i wiemy już, że nasz wróg zginął... Las — to bogactwo Polski i wymaga on starannej a ciągłej opieki. Dybią na niego nietylko owady, ale też różne rośliny, zwierzęta małe — jak myszy, i duże — jak jelenie i daniele, klęskę też szerzą burze, mrozy, woda, śnieg, ogień a wreszcie — człowiek — ciemny lub chciwy...
Leśniczy, zakończywszy swoje opowiadanie, obszedł cały teren, gdzie odbywały się roboty, i słuchał objaśnień gajowego.
Chłopcy tymczasem poszli do lasu.
Wydał im się teraz zupełnie inny.
Wyczuwali wrącą tu walkę, nigdy nie ustającą, a zaciekłą. Wszystko walczyło tu o miejsce pod słońcem: drzewo z drzewem, owady — z młodą poroślą i z olbrzymami leśnymi; drapieżne chrząszcze i pluskwiaki pożerały gąsienice i — tak bez końca aż do nieuchwytnych dla oka drobnoustrojów, przerabiających próchnicę, uśmiercających owady i szerzących zniszczenie na drzewach dziuplastych.
Rozumieli teraz chłopcy zdumiewający swym ogromem i zawiłością system przyrody, kolejność okresu życia i znaczenie śmierci dla rozwoju młodych pokoleń. Byli pod silnem wrażeniem opowiadania leśniczego i wszystko nabrało dla nich głębszej treści, zdumiewało ich i pociągało.
Doszli do brzegu rzekł i tu się zatrzymali, ujrzawszy na drzewach kilka dużych barci.
Nad ich głowami z basowem huczeniem przelatywały pszczoły, znosząc miód i wosk.
Pod barciami znajdował się okrągły pomost, umocowany na pionie sosny, oparty o niego stał cienki świerk zrąbany, o najeżonych sękach.
Gdy chłopcy przyglądali się barciom, zbliżył się do nich stary Poleszuk w siatce na głowie i z drewnianą miską w ręku. Powitawszy nieznajomych, po sękach świerka jął wdrapywać się na pomost. Stanąwszy na nim, wydobył nóż z poza onuczek i wyciął plaster miodu. Gdy zlazł, zaczął częstować chłopaków, mówiąc:
— Taki to już nasz obyczaj. Nie wolno odmawiać się od poczęstunku!
Usiedli więc wszyscy pod drzewem, racząc się wybornym miodem.
Stary pasiecznik rozgadał się wkrótce:
— Dziwowaliście się na barcie? Mało ich teraz po borach pozostało, bo ule wyparły je dawno, ale ja wam powiadam, panicze, że pszczele roje wolą barcie i miód w nich składają lepszy!...
Jurek pomyślał, że zapewne tak samo chwalili ludzie dawne omnibusy, do których oddawna przywykli, i nie chcieli jeździć pociągami... Nic jednak nie powiedział na uwagę starego pszczelarza i przyglądał się barci...
Poleszuk, oblizując zlepione miodem palce, mruczał smutnym głosem:
— Znikają barcie coraz więcej i tylko patrzeć — nie będzie już ich w lasach. Tymczasem dziadowie i pradziadowie nasi dziali[65] je bez liku i dobrze, dostatnio żyli. Na barciach „klejny“ — znaki swoje „kłodzili“, chwytali iski[66] pszczele, a gdy rój stawał w barci — miód podbierali i wosk „topili“. Na łodziach i tratwach towar ten szedł potem w świat szeroki.

Stary długo jeszcze rozwodził się nad budową barci, czyli „dzianiem“ jej, sypał jak z rękawa takiemi nazwami, jak głowa, nogi, plecy, dłużnia i ocznik, które odpowiadały różnym częściom barci, rozwodził się nad „pszczoło-łupcami“, czyli złodziejami, wykradającymi miód, i wspomniał wreszcie, że w dawno minionej przeszłości bartnicy tworzyli osobną rzeczpospolitą i mieli własne „prawo bartne“, które surowo karało kradzież miodu.

Pan Garzycki znalazł swoich gości, zajętych rozmową z starym Poleszukiem.

Chłopcy rozstali się z bartnikiem i wraz z leśniczym zwiedzili majdan smolarzy, którzy pędzili smołę z pniaków, inni zaś — dziegieć z brzosty, którą zdzierano z brzóz, rosnących na bagnach. Oglądali też nieduży rewir, gdzie Poleszucy „spałowali“ świerki, nacinając je dla wyciekania żywicy. Fabryki chemiczne i zwyczajne terpentyniarnie, rozrzucone po lasach, potrzebują tego materjału dla różnych przetworów.

Jurek zrobił kilka zdjęć pracujących w lesie ludzi, a nie zapomniał nawet o pędraku. Dostarczył mu tę białą, grubą larwę gajowy i śmiał się, widząc, że młody fotograf zamierza sportretować szkodnika.

Pan Garzycki zarządził śniadanie w lesie, na terenie robót. Chłopcy posilili się doskonale pieczonemi w popiele ziemniakami i chlebem żytnim z plastrem słoniny, popijając gorącą herbatą.

Po śniadaniu leśniczy naradzał się z Budniakiem, co do dalszych robót, chłopcy zaś ruszyli do lasu.

Obecność ludzi, stuk siekier i trzask padających drzew wypłoszyły mieszkańców lasu. Próżno szukali chłopcy jakichkolwiek zwierząt lub ptaków. Zdawało się, że wszystko, co żyło, pierzchło w głąb puszczy, aby być dalej od ludzi.

W krzakach i młodniaku sosnowym popiskiwały zrzadka świergotki, strzyżyki, mysikróliki i zięby, lecz i ten drobiazg skrzydlaty, zaniepokojony hałasem i spostrzegłszy zbliżających się ludzi, odlatywał natychmiast w popłochu.

Gdy poprzez łapy świerków przebiła się czerwona tarcza słońca, chłopcy powrócili na poręb.

Pan Antoni radził im iść z drwalami do leśniczówki i prosił, aby powiedzieli matce, żeby się nie niepokoiła, ponieważ dopiero nad ranem powróci do domu.

— Mam ja tu do załatwienia pewną... drażliwą sprawę — zakończył z tajemniczym uśmiechem.

Jurek przystąpił do niego i prosił, aby pan Garzycki pozwolił mu pozostać przy sobie.

— Przypadkowo słyszałem wczoraj wieczorem rozmowę pana z Budniakiem — szepnął chłopak. — Przydałbym się może panu... Dobrzeby również było zabrać ze sobą mego kolegę Wyzbickiego.

Leśniczy ucieszył się i podziękował Jurkowi.

— Ale i pan Malewicz zechce z pewnością też pójść z nami? — zauważył po chwili.

— Wytłumaczę mu, że niema jeszcze wygojonej nogi i może ją sobie sforsować w nocy — odpowiedział Jurek.

Istotnie Olek nie nalegał, bo od chodzenia po lesie czuł ból w stopie. Wkrótce po zachodzie słońca wraz z drwalami chłopak wyruszył do

leśniczówki.
Na porębie pozostało czterech ludzi. Pan Garzycki kazał gajowemu przyrządzić herbatę i, w oczekiwaniu jej, mówił do chłopców:
— Kłusownicy zawsze wiedzą, co my robimy i, gdy zajęci jesteśmy na robotach leśnych, korzystają z tego i wychodzą na łowy... Błąka się tu jeden taki... zdaleka on przychodzi, bo, wiadomo, że kłusownik, jak wilk, ze swej wsi nie ciągnie. Przekrada się on tu z poza błot wyżarskich...
Chłopcy położyli się na ściętych gałęziach świerkowych i drzemali, narzuciwszy na twarz chustki do nosa i ręce wcisnąwszy do kieszeni, aby uchronić je przed komarami.
Nic nie mąciło ciszy w lesie.

Rozdział XVIII.

## TROPIENIE KŁUSOWNIKA.

Chłopcy już zasnęli, gdy leśniczy skinął na Budniaka.
— Pójdziecie na wielkie oparzelisko za Hniłuchą i — posłuchacie! — szepnął do niego.
Gajowy już przerzucił karabin przez ramię, ale pan Garzycki dodał:
— Jeżeli nic nie zobaczycie — powracajcie, w przeciwnym razie — pozostańcie i śledźcie, nie ruszając się z miejsca. Będę już wiedział, gdzie mam was szukać... Idźcie, panie Budniak, a słuchajcie dobrze! Musimy dziś skończyć z tym drabem...
Gajowy zniknął w ciemności.
Pan Antoni wyciągnął się na ziemi. Leżał z otwartemi oczyma, patrząc w gwiaździste niebo. Różne myśli snuły mu się po głowie, a odpowiadał im wyraz jego twarzy — smutny i rzewny, to znów — zawzięty i uparty.
Leżał bez ruchu. Spostrzegł wreszcie białe smugi lekkiej mgły na niebie i, zapaliwszy latarkę elektryczną, spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina druga.
— Budniak przebrnął już Hniłuchę i zaczaił się na oparzelisku — pomyślał leśniczy i zwrócił twarz ku chłopcom.
Spali twardym, młodym snem.
Garzycki uśmiechnął się łagodnie i cichym głosem powiedział:
— Komu w drogę — temu czas!
Gdy słowa jego pozostały bez odpowiedzi, wstał, pociągnął się i wyprężył cały.
Obudziwszy chłopaków, powiedział:
— Chodźmy... Przykry to obowiązek, ale muszę go wykonać! Nie każdy człowiek chce żyć i działać zgodnie z prawem... Prawo istnieje poto, aby życie społeczeństwa przepływało bez wstrząsów, aby każdy człowiek miał spokojny i zabezpieczony byt... Tych, którzy sprzeciwiają się temu, należy karać jako szkodników!
— W różnych pismach ciągle się pisze, że to lub inne prawo nie jest dobre... — mrukliwym, sennym głosem zauważył Wyzbicki.
— Zapewne! — przytaknął pan Garzycki. — Prawa ustalają ludzie, a więc mogą i muszą być błędy. Niema jednak ani jednego prawodawcy, który

nie pragnąłby dobra dla swego narodu. Gdy życie wskaże błędy i szkodliwość pewnego prawa, zostaje ono zmienione lub ulepszone... Należy jednak myśleć o całym narodzie, nie o jednostkach, bo dla nich istotnie nie każde prawo bywa dogodne. Naprzykład — ten kłusownik, którego dziś będziemy ścigali, sprzeciwia się przepisom ochrony zwierząt leśnych, bo prawo przeszkadza mu w jego zawodzie tępiciela... Prawo jednak wymaga, aby każdy obywatel uznawał je i spełniał.
Leśniczy szedł przez las z taką pewnością, jakgdyby czuł pod stopami twardą i równą nawierzchnię szosy. Znał tu każdy szmat, najmniejszą kotlinkę i rów; wiedział, gdzie składano posusz i gdzie w krzakach czaiły się grząskie łazy, porośnięte chwastami. Szli więc szybko naprzód.
Gdy mrok nocny szarzeć zaczął, dotarli do bagnistej łąki, przeciętej pętlą koryta rzeczki Hniłuchy. Wisiały nad nią białe, skłębione opary.
Garzycki wszedł na moczar.
Stopy grzęzły po kostkę w torfowisku, lecz trwało to zaledwie kilka minut, gdyż trafiono wkrótce na piaszczystą grzędę, biegnącą aż do brzegu.
Stanęli niebawem nad rzeką.
Leśniczy szepnął do chłopców:
— Musimy przejść wbród Hniłuchę... Niegłęboko tu — po kolana zaledwie...
To mówiąc, wszedł do wody.
Jurek i Stach poszli natychmiast za jego przykładem.
Dno było twarde i piaszczyste. Grzybienie i tataraki siecią śliskich pędów przegradzały wąskie, prawie pozbawione prądu koryto rzeki.
Stojąc już na przeciwległym brzegu, chłopcy słuchali rad leśniczego.
— Bądźcie ostrożni, drodzy moi! — mówił pan Antoni. — Jeżeli zgaduję, z kim będziemy mieli dziś do czynienia, to muszę was uprzedzić, że jest to człowiek zuchwały i niebezpieczny... Z jego to ręki zginęło już dwu gajowych i posterunkowy policji... Nikomu nie udało się dotychczas schwytać go, bo tropiony umyka za kordon...
Leśniczy urwał i po chwili dodał wahającym się, niespokojnym głosem:
— Mam pewne wyrzuty sumienia, że zgodziłem się, abyście poszli ze mną... Pozwólcie mi, że wyprowadzę was na ścieżkę, która biegnie do gajówki. Tam drwale pokażą wam powrotną drogę do mego domku...
Chłopcy milczeli, a z wyrazu ich oczu leśniczy wyczytał odmowę.
— Chcemy być przy panu, tembardziej jeżeli wyprawa może się stać niebezpieczną... — oznajmił Jurek stanowczym głosem.
— Zresztą musimy dopomóc panu i temu poczciwemu Budniakowi, aby zmusić kłusownika do poszanowania prawa. Jest to obowiązek obywatelski — dorzucił Stach, podnosząc na pana Antoniego śmiałe oczy.
Leśniczy wzruszył ramionami i rozłożył ręce, mówiąc:
— Jeszcze raz dziękuję serdecznie! Ale bądźcie ostrożni i nie wystawiajcie się na strzał, bo Kopciew nie zawaha się wypuścić kuli...
— To pan zna nawet nazwisko kłusownika? — zdziwili się chłopcy.
— Dużo słyszałem o nim i mam podejrzenie, że z nim to dziś będziemy mieli decydujące spotkanie — odpowiedział pan Garzycki.
— Teraz chodźmy dalej, bo gajowy czeka na nas, a niebawem i świtać już zacznie.
Szli przez błotniste chrapy[67], ukryte w twardych pędach traw.

Niewysokie, cienkie i wykrzywione świerki, o gałęziach grzebieniastych od porostów, niby szczecina rozwichrzona, jeżyły się na moczarze. Leśniczy prowadził chłopaków z całą ostrożnością, w niepewnym półmroku wypatrując skrawki twardszej gleby.
Leśniczy zatrzymał się na otoku oparzeliska i wydał krótkie, basowe huknięcie, naśladując głos bąka. Po chwili z majaczącego woddali olszyńca takim również sygnałem odpowiedział mu Budniak.
Nie ruszając się z miejsca, czekali na jego przyjście. Zjawił się wkrótce, prawie bez szmeru, wynurzywszy się z gąszczu. Pod lekkiemi skórzniami jego nie szeleściła trawa i nie cmokała grząska ziemia. Porozumiewawczo patrząc na leśniczego siwemi oczami, uśmiechnął się i szepnął:
— Ku żeremiom się skrada ów człowiek, bo od Hniłuchy, jak sierpem rzucić, walił przez błoto Wyżarskie... Zmęczył się, widać, bo w gaiku Rudawskim ognisko palił... Jeszcze teraz się dymi... zapewne usnął.
Leśniczy zatarł ręce.
— Jeżeli tak, to nie wywinie się tym razem! — mruknął. — Obejdziemy go od ostrowców Rozdziałowiczowskich i spotkamy się z nim oko w oko nad Bobrykiem. Zdążymy, co?
Budniak spojrzał na niebo i kiwnął głową.
Gromadka przedzierała się wkrótce przez moczarowaty las, chwilami brnąc po kolana w rdzawej „niecieczy“, z trudem wyciągając nogi z bagna i plącząc się w sieci korzeni i ostrych traw. Gajowy prowadził, nie myląc drogi i wybierając łatwiejsze do przebycia miejsca. Wreszcie ujrzeli znowu przed sobą haliznę otwartego wiszaru[68].
— Błoto Wyżarskie... — szepnął pan Antoni do Jurka. — Teraz podzielimy się na dwie partje, ale przedtem muszę umówić się z Budniakiem...
Narada trwała długo, gdyż widocznie obaj przywiązywali dużą wagę do swej wyprawy i starali się przewidzieć wszelkie możliwości i niespodzianki.
Wreszcie Garzycki skinął na chłopców i szeptem objaśnił, jak mają postępować.
— Pan Gruszczyński, który, jak słyszałem od niego samego, próbował już trzęsawiska, pójdzie ze mną aż do zimowej drogi przez błota, gdzie o tej porze grząsko, jak wszędzie na Wyżarach. Tam zaczai się pan w oczeretach, skąd widać całe bagno aż do lasów nad Bobrykiem. Pan Wyzbicki będzie towarzyszył gajowemu i razem z nim dojdzie do rzeki, gdzie pozostanie w miejscu, wskazanem mu przez Budniaka... No, oto i wszystko! Ruszajmy!
Gajowy ze Stachem odeszli, po błotnistym skraju lasu okrążając bagnisko i kierując się ku Bobrykowi.
Gdy się rozświetliło nieco, chłopak spostrzegł jakieś duże plamy na osikach.
Obejrzawszy je dobrze, zdumiał się.
Pnie drzew stały podcięte z jednej strony. Wydać się mogło, że niezdarnie władający siekierą człowiek opieszale podrąbał osiki. Bezładnie posiekane i poszarpane drewno sączyło sok, spływający po pniu i wsiąkający w mech.
— Kto to popsuł te drzewa? — szepnął Stach, dogoniwszy Budniaka.
— To bobry tak spuszczają drzewa, aby poobgryzać młode pędy — odpowiedział gajowy i oczami wskazał przed siebie. — Dwa żeremia

bobrowe blisko stąd już na Bobryku stoją... Dwie rodziny ich przywędrowały do nas. Kto wie — skąd? Ochraniamy bobry, bo to rzadki już teraz zwierz, a piękny i bardzo mądry. Sam sobie domy buduje!... Razu jednego, to cały dzień przesiedziałem w krzakach, patrząc, jak taka bestja rozumnie pracuje! No, jakżeż można takie zwierzę zabić! Podobno mało już bobrów na świecie pozostało. Dobrze więc jest, że je w Polsce mamy. Nie możemy pozwolić, żeby je wytępiono, jak żubry w Białowieży, bo to byłby dla nas wstyd!
— Zapewne! — potwierdził Stach i, uśmiechnąwszy się do gajowego, dodał: — Dobrze byłoby, gdyby, choć jeden, wyszedł na mego kolegę. Tenby go ustrzelił!
— Przecież nie wolno strzelać bobrów! — oburzył się Budniak.
— On go ustrzeli aparatem fotograficznym... — zaśmiał się chłopak i ruchem rąk i oczu pokazał, jak się to robi.
Gajowy, przysłoniwszy usta dłonią, parsknął śmiechem i mruknął:
— Tak to można!
Wkrótce wyszli na brzeg rzeki i jakiś czas przedzierali się przez krzaki. Wreszcie, gdy wschodzące słońce zaróżowiło szare obłoki, Budniak wskazał chłopcu miejsce, gdzie miał się ukryć i śledzić, co się będzie działo na rzece i na bagnistej haliźnie, ciągnącej się tuż za nią.
— Myślę, że ten kłusownik ma tu przygotowaną czubarkę[69]. Jeżeli zwęszy nas, spróbuje rzeką uciekać; wtedy zagrozicie mu, że będziecie strzelać i zawołacie na mnie, to przybiegnę, bo blisko tu będę, naprzeciwko żeremi, ino Bobryk przebrnę...
Stach pozostał sam i rozejrzał się po okolicy.
Nad rzeką kłębiła się jeszcze mgła i rozpraszała się powoli, unosząc się wyżej i wsiąkając w krzaki. Białawe, drgające smugi jej ciągnęły się aż do lasu i wciskały się do jego mrocznej głębi. Na otwartej płaszczyźnie, zarośnięte trzcinami, czerniały tam i sam małe gaiki olszynowe. Nędzne brzózki i koszlawe sosenki tkwiły po kępinach i małych ostrowach.
W krzakach świergotały już budzące się ptaszki. Zabawny, czupurny strzyżyk przyfrunął i usiadł tuż przed chłopakiem, lecz po chwili ześlizgnął się po gałęziach i przepadł w ich gąszczu. Trochę dalej, wzbijając się nad krzakami, łapał muchy długoogoniasty raniuszek, z wyglądu podobny do małej papużki. Kumkała żaba w sitowiu. Gdzieś zupełnie nisko, z niewidzialnej z poza trzcin kałuży, dobiegło soczyste, radosne kwakanie kaczora, trzepotanie skrzydeł i plusk wody. Z donośnym piskiem przeszyło powietrze kilka jaskółek — dymówek, ścigających jętki, złotooki i chróściki. Koło urwistego w tem miejscu brzegu plusnęło coś — zapewne żaba, skacząc do wody, lub ryba, porywając świteziankę, nieopatrznie trzepocącą się tuż nad leniwym prądem rzeki.
Stachowi oczy się kleiły, a ciężkie powieki same opadały mu co chwila. Chłopak nie wyspał się, leżąc na twardych gałęziach, a wilgotna i dość zimna noc zmożyła go.
Nagle drgnął i wytknął głowę z krzaków.
Nad zieloną płaszczyzną bagna potoczył się ciężką falą huk wystrzału. Echo pochwyciło go i jęło przerzucać od lasu do gaju, od olszyńca do ściany wysokich trzcin nad Bobrykiem.
Powtórzony kilka razy odgłos strzału dobiegł też do moczarów, przez

które brnęli Garzycki z Jurkiem.
Mieli trudną drogę.
Torfowisko coraz częściej nie wytrzymywało ciężaru idących ludzi i przerywało się pod ich stopami. Zapadali się po pas do czarnego i rudego trzęsawiska, czepiając się krzaków i z trudem gramoląc się na wystające kępy.
Leśniczy poradził Jurkowi wyciąć dwa dość grube drągi. W miejscach bardziej grząskich chłopak stawał na jednym z nich, podpierając się mocniej tyką i wolną stopą szukając twardego gruntu.
Doszli wreszcie do drogi zimowej. Poznać ją mógłby tylko mieszkaniec tych okolic. To samo bagno i te same krzaki gęste i zbite rozpierały się wszędzie, ale tu i ówdzie stały wiechy — wysokie pręty z resztkami pożółkłych liści.
Odnalazłszy w gąszczu przesmyk, biegnący przez moczar, leśniczy zatrzymał tu Jurka i wskazał ręką na ziemię. Widniały tam wyraźne ślady stóp ludzkich i zagłębienia od kija, którym się podpierał przechodzący tą drogą człowiek.
— Jeżeli kłusownik będzie się wycofywał z bagna, to prawdopodobnie obierze tę drogę, jako najdogodniejszą. Co do mnie postaram się ująć go w pół drogi, koło tamtego bajorzyska, gdzie stoją pochylone wierzby i stóg siana...
Garzycki zdjął strzelbę z ramienia i, sprawdziwszy czy ma w lufach naboje, zniknął w krzakach.
Jurek usiadł na opalonej kępie i myślał, że zapewne w zimie Poleszucy podpalali tu suchą trawę i trzciny na bagnie, niszcząc lęgi wilcze i na cztery wiatry rozpędzając drapieżne zgraje.
Myśli chłopaka obracać się poczęły dokoła zagadkowej postaci człowieka, zaczajonego gdzieś wśród bajorów bagiennych.
W pewnej chwili wydało mu się, że pochwycił szmer w krzakach i czyjeś lekkie człapanie po grząskiej ziemi. Próżno jednak wytężał słuch. Żaden podejrzany dźwięk nie dobiegał go więcej.
Z poświstem skrzydeł i krótkiem dudnieniem przeleciała turkawka; w olszyńcu skrzeknęła kilka razy kraska, a jej odpowiedziało wesołe, jak gdyby drwiące granie dzwońca...
— Przesłyszało mi się... — mignęła chłopakowi myśl.
Tymczasem człowiek, osaczony na topielisku, nie dawał znaku życia.
Jurek myślał o tem właśnie, gdy padł strzał.
Chłopak powstał z kępy i zaczął uważniej, z bijącem sercem wpatrywać się przed siebie.
W tej samej chwili to samo uczynił leśniczy. Odszedł już daleko od Jurka i dochodził do małego gaiku, gdzie płaszczyzna bagna zbiegała do rzeki.
Strzał rozległ się blisko, więc Garzycki padł na ziemię i zaczaił się w trzcinach, nie czując nawet, że woda zalewa mu pierś i sączy się do rękawów. Leżał przez kilka minut bez ruchu, nie podnosząc głowy. Gdy uniósł ją, zobaczył gajowego.
Budniak, trzymając karabin nad głową, brnął przez bagno, krzycząc:
— Stój! Ręce do góry! Stój, bo strzelę...
Leśniczy, rozejrzawszy się po bagnie, spostrzegł kłusownika.
Z zadziwiającą szybkością migał w krzakach, jakgdyby biegł po twardej ziemi. Kierował się na przesmyk, ukosem przecinając haszcze.

Garzycki chyłkiem sunął mu już naprzełaj, skacząc z kępiny na kępinę i czepiając się cienkich brzózek.
Wreszcie stanął na wąskim grządzie zdyszany. W tej samej chwili wysoki, chudy człowiek wypadł na niego i, nie namyślając się, wypalił z karabina.
Strzelił tak zbliska, że leśniczy poczuł na twarzy żar gorącego dymu. Prąd powietrza smagnął go jak biczem i ogłuszył. Kula gwizdnęła mu nad głową i oszołomiła go.

Rozdział XIX.

## POŚCIG.

Stach Wyzbicki ze swego stanowiska, jak na dłoni, widział wszystko, co się działo na Wyżarach.
Najpierw zobaczył gajowego, który, przedostawszy się na drugi brzeg rzeki, szedł pomiędzy rzadką poroślą świerczyny i brzóz. Co chwila zapadał się w bagnie i z trudem wydostawał się z torfowiska.
Nie zdążył jednak dojść do gaiku, z kilku zaledwie olch złożonego, gdy z krzaków wybiegł kłusownik z karabinem i popędził ku większemu olszyńcowi, gdzie natychmiast zniknął w gąszczu.
Gajowy, krzycząc coś i wymachując wolną ręką, ścigał go. Szedł jednak bardzo wolno, trafiwszy na prawdziwe topielisko. Co kilka kroków kładł się na ziemi, posuwał się nieco naprzód, czołgając się po rzucanych przez siebie drągach, i po chwili gramolił się z mozołem i uporem.
Stach stał w krzakach, śledząc przebieg pościgu i nic nie widział, co się dzieje wpobliżu.
W pewnej chwili wzrok jego bezwiednie padł na rzekę. Po jej powierzchni biegły fale i z cichym pluskiem poruszały trzciny, rosnące pod brzegiem.
Chłopak zrozumiał, że z prądem płynęło coś, czego nie mógł dojrzeć z poza ściany krzaków.
— Coby to mogło być? — pomyślał. — Stado kaczek, czy co? A może... bobry...?
Bez szelestu rozgarnąwszy gałęzie, zajrzał na dół i skamieniał.
Chudy, brodaty Poleszuk w rozdartej na ramieniu świtce, długim drągiem pchał lekką i wąską dłubankę[70], bojaźliwie oglądając się na wszystkie strony. Na dziobie łódki leżała kupa świeżo ściętego sitowia; na dnie połyskiwało ostrze kosy bez rękojeści.
Coś tknęło chłopaka, więc, trzymając karabinek w pogotowiu, wyskoczył na brzeg i krzyknął jak mógł najgroźniej:
— Stój, bo strzelę!
Chłop zadrżał i wypuścił drąg, który popłynął z prądem.
— Wyłaźcie na brzeg! — krzyknął znowu Stach. — Będziecie siedzieć tu aż przyjdą leśniczy z gajowym, to już oni z wami pogadają!
Poleszuk, trzymając się gałęzi, zdjął czapkę i płaczącym głosem skomlał:
— Tak za cóż, panoczku? Ja po sitowie płynął... a wy zaraz do leśniczego...
Uskarżając się i usprawiedliwiając, bezbarwnemi oczami zerkał na wszystkie strony i trząsł brodą.

— Wychodźcie na brzeg! — powtórzył chłopak i podniósł karabin. Chłop wyskoczył na pasemko piasku i, nogą przytrzymując dłubankę, milczał.
— Jak widzę, cięliście sitowie kosą bez drzewca, to i nakosiliście tyle, co kot napłakał. Kosiliście po nocy? Cóż to was tak wcześnie pognało? Z jakiejże to wioski jesteście?
Poleszuk spuścił oczy i po chwili burknął:
— Nowosioły[71] — my, z pod Porotyna... Pękła mi rękojeść kosy... Nakosiłem mało...
— Chętnie wam wierzę, ale czy uwierzy wam leśniczy, to zobaczymy... — powiedział Wyzbicki. — Przywiążcie-no łódkę, bo widzę, że macie sznur na sobie... Sami chodźcie tu...
Chłop zdjął sznur, którym miał przepasaną świtkę, i przywiązał łódź do krzaków.
Wgramoliwszy się na brzeg, zaczął się przyglądać Stachowi uważnie; wreszcie spytał:
— A wy tu skąd się wzięliście? Nie widziałem w naszych stronach takiego...
— Z Warszawy... — zaczął chłopak, lecz w tej samej chwili uskoczył nabok i zmierzył się do Poleszuka.
Chłop bowiem uczynił nagły ruch, chcąc rzucić się na chłopaka. Zatrzymał się jednak, zajrzawszy w oczy Stacha. Zrozumiał odrazu, że młodzik przyjmie walkę i nie zawaha się wypuścić kuli w napastnika.
Stach przyłapał myśl Poleszuka i, uśmiechnąwszy się, wycedził przez zęby:
— Tak to będzie lepiej! A teraz siadaj i nie ruszaj się, jeżeli ci życie miłe!
I nagle stała się rzecz nieoczekiwana.
Chłop padł na kolana i, jęcząc i bijąc się w piersi, jął błagać i kusić Stacha:
— Ja, panoczku, nie winien!... To on namówił mnie... W domu nędza i choroba, a on obiecał mi oddać skórę bobrową, jeżeli ja go rzeką skrycie przewiozę... do traktu... Ja, panoczku, uczciwy, ino biedny chłop! Weźcie sobie, panoczku, bobra, ale tylko puśćcie mnie!... Jeżeli mnie do aresztu wezmą, cała rodzina na żebry pójdzie... na głód... na śmierć... Panoczku! Panoczku!
W głosie Poleszuka łkała prawdziwa rozpacz, z pod powiek błysnęły mu łzy.
Stachowi ścisnęło się serce. Pomyślawszy chwilkę, powiedział:
— Przynieście tu bobra...
Chłop ucieszony, że zdoła się wykupić, ześlizgnął się z wysokiego brzegu i, odrzuciwszy sitowie, wydobył ciemno-bure puszyste zwierzątko z szerokim i płaskim ogonem.
— Panoczku, — szepnął, kładąc bobra przed chłopcem, — to ja już popłynę...
— Nie! — odpowiedział Stach. — Zaczekacie tu na leśniczego. On sprawdzi, coście mi tu mówili, a ja przyrzekam wam, że się wstawię za wami... Zresztą, jeżeli nie skłamaliście, to pan Garzycki będzie miał litość dla was i jakoś tę sprawę sam załatwi...
Poleszuk usiadł zgnębiony i zaniepokojony. Po chwili krzyknął i zerwał się na równe nogi, gdy od strony olszyńców dobiegł odgłos drugiego strzału.

— Oj, źle! — zamruczał po chwili. — To pewno leśniczy strzelił i skończył z tym...
Urwał i z przerażeniem w oczach spojrzał na Stacha.
Chłopak potrząsnął głową i powiedział:
— Gdyby tak było, wasza sprawa stałaby znacznie gorzej...
Umilkli obaj, wsłuchując się w odgłosy, dobiegające z bagna. Zupełnie już zachrypniętym i nieprzytomnym głosem krzyczał gajowy, przedzierając się przez sapisko. Innych głosów nie mógł pochwycić ani Stach, ani nawykły do podsłuchów człowiek leśny.
Umilkł wreszcie i Budniak, przebrnąwszy topiel i zapuściwszy się w gąszcz olszyńca.
Nadleciały dwie sroki i, skacząc po gałęziach, brzechały zaciekawionemi głosami, niby pytając:
— Co się tu stało? Co się tu stało?
Nad lasem krążył jastrząb. Kwilił drapieżnie i przeciągle, jakgdyby wołając kogoś. Istotnie przyłączyły się do niego wkrótce małe jarząbki i na słabych jeszcze skrzydłach próbowały naśladować śmiały lot ojca czy matki...
Niebawem i te głosy umilkły i nad bagnem Wyżarskiem zapanowała głucha i groźna cisza.
Na drugim jego końcu toczyły się tymczasem wypadki ważne i błyskawiczne.
Budniak, przebiwszy się przez haszcze, wybiegł na przesmyk i zobaczył leśniczego.
Garzycki stał, ściskając głowę, która bolała go, uderzona silnym prądem powietrza od wystrzału i przelatującej blisko kuli.
— Czy pan leśniczy nie jest ranny, broń Boże? — zawołał gajowy, podbiegając i zaglądając mu w twarz.
Leśniczy oprzytomniał i niepewnym, drżącym głosem, śpiesząc się i jąkając, krzyknął:
— Uciekł... uciekł... tym przesmykiem... Prędzej! prędzej! Pozostawiłem tam chłopaka... Nie daj Boże, co złego zrobi mu ten kłusownik!... Prędzej!
Pobiegli, prześcigając się i potykając na wystających z torfu korzeniach.
Nie widzieli już umykającego kłusownika, nie słyszeli nawet odgłosów jego biegu.
Człowiek, który, zda się, wymknął się z pułapki, był w tej chwili daleko.
Wierzył już w swe ocalenie.
Przesmykiem wydostanie się na drogę zimową, przez las dotrze do rzeki, gdzie Poleszuk podciągnął już zapewne ze swoją łodzią.
Tymczasem krzaki rzednąć zaczęły i nad niemi pod lasem zamajaczyły rozczochrane, zeszłoroczne wiechy.
Jeszcze kilka kroków pomiędzy kępinami i — wybiegnie na drogę, gdzie znał dobrze każdy twardszy skrawek gruntu.
Skoczył z wysokiej, torfowej kępy na suche żabry, leżące pod krzakami, gdy nagle wyrosła przed nim jakaś postać ludzka.
— Stój! — rozległ się okrzyk i nieznany mu człowiek już biegł ku niemu.
Kłusownik podniósł karabin, chcąc strzelić w napastnika, lecz lufa zaplątała się w gałęziach wierzby. Podczas gdy szamotał się, wyciągając karabin, — człowiek, biegnący ku niemu, skoczył i ogarnął go ramionami.
Próżno szarpał się kłusownik, starając się zwolnić z żelaznych objęć,

ściskających go coraz mocniej, aż wreszcie rozpaczliwym szeptem rzucił:
— Puść... puść!
— Dlaczego mam puścić, gdy trzymam? — zapytał Jurek Gruszczyński, przeciskając go, do siebie mocniej. — A nie szarp się, brachu, bo...
Chłopak nie dokończył zdania, gdyż właśnie nadbiegł gajowy, a za nim — Garzycki, blady i zdyszany.
Budniak rozbroił kłusownika, zabrawszy mu karabin, naboje i siekierę.
— Zwiążemy go, panie leśniczy, czy co? — spytał, patrząc na swego przełożonego.
Pan Antoni potrząsnął głową i odpowiedział:
— Nie potrzeba, bo i poco? Przecież teraz chyba nie ucieknie...
Powiedziawszy to, przyjrzał się kłusownikowi uważnie.
Zdumienie, zawód, a nawet przerażenie odbiły się na wyrazistej twarzy Garzyckiego.
— Seweruk? — szepnął leśniczy. — To wy? Na takie to już puszczacie się drogi?! Tegom się po was nie spodziewał! Byłem przekonany, że schwytam tu Kopciewa... tego z poza kordonu...
Zapanowało ciężkie milczenie.
Jurek z ciekawością przysłuchiwał się i przyglądał ludziom, z którymi przypadkowo złączył go los.
Budniak wpatrywał się w ponurą, zbiedzoną twarz kłusownika i wytrzeszczył oczy, widocznie nie mogąc nic zrozumieć.
— Seweruk? — szepnął do Gruszczyńskiego. — Nigdy o takim nie słyszałem!
Zdjął czapkę i podrapał się w głowę.
— Strzelił do leśniczego!... Mało brakowało, a zabiłby go... — zamruczał po chwili, a w głosie jego zabrzmiała groźna nuta.
Garzycki usiadł na kępie i, ściskając sobie pękającą z bólu głowę, rzucił ciche pytanie:
— Jakże teraz będzie, Seweruk? Zmuszony będę oddać was w ręce policji... A potem sąd... więzienie... Ech, źle się to wszystko ułożyło!
Smutkiem powiało od tych cichych słów.
Odpowiedziało im milczenie.
Leśniczy, namyśliwszy się dobrze, ciągnął jeszcze bardziej smutnym i wzruszonym głosem:
— Wasz stary do samej śmierci był dobrym i wiernym gajowym... Gdyście chorowali po wypadku, kiedy to drzewo was przygniotło, matka moja pielęgnowała was i leczyła... Pamiętacie, Seweruk?
Kłusownik niżej spuścił głowę i nie podnosił oczu na mówiącego. Tylko zęby mu dzwoniły i poruszały się mięśnie koło uszu.
— Nie zechcieliście zostać u mnie na robotach i poszliście sobie w świat?... Widzę, że źle pokierowaliście swojem życiem, no, i — źle je skończycie... W głowie mi się nie mieści, Seweruk, żebyście wy chcieli mnie zabić?! Nie! Tego być nie może!
Kłusownik zadygotał cały i z jakąś straszną wprost rozpaczą krzyknął cienkim, zrywającym się głosem:
— Nie wiedziałem, że Wyżary teraz w waszym rewirze, panie! Myślałem, że tropi mnie gajowy Łaszczyk z bratem, co u niego mieszka! Czyż na was... mógłbym kiedykolwiek podnieść rękę?!
Leśniczy kiwał głową i z błyskiem radości w oczach słuchał Seweruka.

— Tak też myślałem! Jakżeżby mogło być inaczej?! — szepnął uspokojony.
Długo milczał Garzycki, a wszyscy stali, oczekując, co powie jeszcze. Tymczasem leśniczy, wydobył z kieszeni kurtki chusteczkę do nosa, rozdarł ją i, związawszy obie połowy, tym bandażem mocno ścisnął sobie głowę.
— Teraz mi trochę lepiej... — mruknął, spojrzawszy na Jurka. — Minie to niebawem, ale narazie boli...
Wbijając ostry wzrok w Seweruka, zmarszczył brwi i rzucił rozkazującym głosem:
— Opowiedzcie wszystko, a nic nie ukrywajcie... Muszę wiedzieć całą prawdę!
Kłusownik długo jeszcze milczał, zbierając myśli. Wreszcie rozpoczął swoją spowiedź:
— Nie chciałem pracować w lesie, bo myślałem, że młody jestem i muszę mieć swoje życie... a tu — ino las i praca ciężka! Wczorajszy dzień, jak dzisiejszy, jutro zawsze takie same, jak dziś... Nie mogłem już wytrzymać dłużej...
Pan Antoni obrzucił go niespokojnem spojrzeniem i westchnął ciężko. Zapewne zrozumiał tęsknotę Seweruka za innem, bujniejszem życiem.
— Poszedłem do Pińska na robotę, — ciągnął dalej Poleszuk, — zaznałem trochę życia... Pracowałem ciężko w fabryce dychtów, a potem w fabryce zapałek... Jako-tako powodziło mi się, bo byłem samotny, to sam sobie — i pan i sługa! Dziś dobrze — to się cieszę; jutro źle — to nie żalę się... Ale ożeniłem się... Dobrą, cichą, pracowitą wziąłem dziewczynę... Nie naszą, nie tutejszą... Z Pomorza. Z pod Torunia przyjechała pracy szukać... Przy dzieciach była u inżyniera z naszej fabryki... A potem przyszły ciężkie czasy... zwolniono mnie, bo zmniejszono ilość robotników... Nigdzie nie mogłem znaleźć pracy... Wtedy wziąłem żonę i na piechotę poszliśmy do stryja mego... W Garnasiówce on mieszka... chutor ma... trochę krów... lasuje też... Stary przyjął nas... nawet się ucieszył, bo robotnika potrzebował, jako że leciwy już... Miał on syna, ale utonął mu na Wiśle, gdy spływał z tratwami do Gdańska... Stary pozostał samotny, dlatego i przyjął nas chętnie... Tak oto, panie, i żyliśmy... cicho, po Bożemu... Syn nam się urodzi... chłopak złotowłosy, a cichy, jak matka, i słodki! Potem znowu nastały złe lata... Roboty leśne przerwano, bo drzewa nikt nie kupował... Czego ja wtedy nie robiłem! Na ziemne roboty chodziłem, „rybaczyłem“, w lecie na parowcu za majtka pływałem; w Pińsku i Łunińcu cegłym nosił, glinę kopał... aby coś zarobić i do domu staremu, żonie i dziecku posłać... O sobie nie pamiętałem, z głodu przymierałem, aby im jakoś tam żyło się znośniej!
Seweruk umilkł, zaciskając krótkie, szerokie dłonie i oddychając chrapliwie.
Nad stojącymi w krzakach ludźmi zawisła ciężka, przyczajona cisza.
— Mówcie, mówcie, Seweruk! — z jakimś wybuchem szepnął leśniczy.
— A potem, panie, stało się nieszczęście! Takie nieszczęście, że opowiedzieć trudno! Żona zaczęła mi chorować... Co się z nią dzieje, nikt nie wie... Doktor może poznałby się na tem, ale u nas nikt nie rozumie... Chudnie z dniem każdym, blednie i na nogach się słania... Dreszcze zmogły ją i kaszel dręczy po nocach...
Kłusownik westchnął z głuchym jękiem i pięściami jął bić się w głowę.

— Cicho, Seweruk, cicho... — uspokajał go Garzycki. — Opowiedzcie do końca... Już miarkuję, że niewiele wam pozostało do powiedzenia...
Chłop po raz pierwszy podniósł wzrok na leśniczego i, śpiesząc się, wyksztusił:
— Znachor z Dobrosławki oglądał moją żonę i powiedział tak: „wyzdrowieje, jeżeli będzie piła „bobrowy strój“[72], inaczej nic nie pomoże i — zamrze!“... Panie leśniczy...
Głos mu się zerwał nagle i zgrzytnął rozpaczą i strachem.
Jurek wpił się spojrzeniem w smutne, rozszerzone nagle źrenice Garzyckiego.
Leśniczy uniósł głowę i przemówił twardym, niedopuszczającym sprzeciwu głosem:
— Dalej to już ja za was dopowiem! Wybraliście się na Wyżarskie błoto, aby zdobyć bobra na lekarstwo dla żony, i natrafiliście na nas... Czyż nie tak było?
— Tak, panie! — szepnął Seweruk. — Skradłem się do żeremi i mógłbym zabić wszystkie bobry, ale zabiłem jednego tylko, najstarszego, który powinien mieć najwięcej „stroju“... Oddałem go sąsiadowi, aby zawiózł żonie mojej, bo w domu znachor czeka na lek...
— Pocóżeście strzelali do pana leśniczego? — spytał Budniak.
— Wyskoczyłem na grząd, aż tu ktoś krzyknął... Strzeliłem, nie patrząc, i zacząłem uciekać... Zabiłbym dziś każdego, bo ja muszę zobaczyć żonę i ratować ją od śmierci... Potem gotów jestem choć na szubienicę!... Ale inaczej wszystko się stało... Przepadliśmy teraz wszyscy — i ja, i żona, i synek...
Seweruk jęknął i zgrzytnął zębami, hamując wzbierające mu w piersi łkania.
Znowu zapanowało milczenie. Wszystkie oczy zwrócone były na leśniczego. Garzycki siedział z opuszczoną głową, jakgdyby zatopiony w myślach.
Zaczął wreszcie rozważać na głos, niby naradzając się z samym sobą i przekonywując siebie:
— Dwóch jest we mnie ludzi — mówił cicho, wyraźnie wymawiając każde słowo. — Jeden — to ja sam — Antoni Garzycki, do którego Seweruk strzelił. Ten człowiek może oskarżyć go o to, albo przebaczyć... Przebaczam Sewerukowi, bo rozpacz i troska zżarły go...
Pod Poleszukiem ugięły się nogi. Usiadł na ziemi tuż przy Garzyckim i patrzał na niego, tamując oddech. Pan Antoni nie zauważył nic i ciągnął dalej:
— Drugi — to leśniczy, który powinien postąpić według prawa i ukarać kłusownika za upolowanego bobra... Prawo jest prawem, ale prawem w wielu wypadkach rządzi serce... Takie było zawsze i takiem pozostanie prawo polskie! Dlatego — to w Polsce wszystkim żyło się dobrze, a wrogowie jej stawali się przyjaciółmi... Postanawiam tedy, że Budniak odwiezie Seweruka do jego chutoru, sprawdzi wszystko, o czem mówił tu kłusownik. Za miesiąc Seweruk sam stawi się w mojem biurze i za karę, bez wynagrodzenia od rządu przepracuje miesiąc przy karczowaniu pni w rewirze Budniaka i przy naprawie drogi koło leśniczówki. Gdyby jednak...
Leśniczy nie skończył, bo Seweruk, objąwszy go za kolana, przycisnął do nich głowę i szlochał, jak małe dziecko.

— Panie... panie... niech Bóg... niech Bóg... — bełkotał, nie mogąc nic więcej powiedzieć.
— Dość już! — przerwał mu Garzycki surowym głosem. — Teraz prowadźcie nas do swego towarzysza...
Podniósł się z opalonej kępy i, nie patrząc na nikogo, ociężałym krokiem poszedł w stronę lasu.

Rozdział XX.

## ŻEREMIA BOBROWE.

Leśniczy, podziękowawszy Stachowi za zatrzymanie kłusownika i odebranie mu bobra, spojrzał groźnie na drżącego Poleszuka i powiedział:
— Sporządzę na was protokół i prześlę papier do policji. Ona się z wami załatwi...
Stach, posłyszawszy to, szepnął do Garzyckiego:
— Panie leśniczy, proszę o chwilkę rozmowy!
Opowiedziawszy mu o zajściu z więźniem, prosił pana Antoniego o wyrozumiałość dla ciemnego wieśniaka. Garzycki nic mu nie odpowiedział, ale, zwróciwszy się do chłopa, spytał go:
— Macie konie i wóz?
— Mam dwie szkapy i „telegę“[73], panie leśniczy... — zawołał skwapliwie.
— Tedy sam wyznaczam wam karę! — oznajmił leśniczy. — Razem z Sewerukiem stawicie się u mnie na karną robotę z końmi i wozem. Będziecie przez dwa tygodnie wywozili sągi do Telechan, ale ani dnia zwłoki, bo inaczej...
Pan Garzycki zacisnął zęby i tupnął nogą. Chłop przeżegnał się trzykrotnie i, bijąc się w piersi, przysięgał, że przyjedzie nawet o dzień wcześniej i Seweruka przywiezie.
Gdy gajowy odpłynął z kłusownikami, Jurek zbliżył się do Garzyckiego i, patrząc mu w oczy poważnym wzrokiem, powiedział:
— Panie leśniczy! Jestem tak wzruszony, że nie znajduję słów, aby wyrazić panu to, co czuję! Jestem przekonany, że dziś otwarły mi się oczy na takie zjawiska, o których nigdy dotychczas nie myślałem, chociaż są tak bardzo ważne, szlachetne i piękne!
Pan Antoni nic nie odpowiedział, tylko ujął go za rękę i mocno ją potrząsnął.
Po chwili podniósł ramiona, jakgdyby zrzucając wielki ciężar, i nagle zaśmiał się wesoło:
— Teraz będziemy musieli dźwigać skonfiskowany karabin, ładownicę i siekierę! No, trudno! Siekierę zwrócę Sewerukowi, ale karabin i naboje...
Gwizdnął przeciągle i strzepnął palcami, nie kończąc zdania.
— Ależ dobrych będzie pan miał pracowników! — zauważył wesołym głosem Gruszczyński.
— Ba! niechby spróbowali mi się sianem wykręcić! — odpowiedział, potrząsając głową.
Szli brzegiem Bobryku aż do małej odnogi, płynącej wśród zarośli wikliny.
— Chcę pokazać panom gniazda bobrów, owe sławetne „żeremia“ —

odezwał się leśniczy. — Musimy prześlizgnąć się cichutko przez krzaki i z poza nich można będzie przyjrzeć się tym rzadkim i bardzo ciekawym gryzoniom. Panu, panie Jerzy, mam nadzieję, uda się sfilmować zwierzątka, chociaż po odwiedzinach kłusowników, będą zapewne bardziej czujne i płochliwe.
Ostrożnie, krok za krokiem, bez szmeru rozchylając pędy wierzb i osik, prowadził leśniczy chłopaków.
Jurek szedł, trzymając w pogotowiu aparat filmowy.
Całą godzinę zabrał im ten przemarsz przez haszcze.
Garzycki zatrzymał się wreszcie i wzrokiem wskazał na gruby pień, zaostrzony na wystającym z darniny końcu.
— Robota bobrów, które niedawno „spuściły“ tę osikę! — szepnął leśniczy. — Działają siekaczami, jak okrągłem dłótem! Fachowa robota — prawda?
Chłopcy uśmiechem odpowiedzieli na tę uwagę pana Antoniego.
— Teraz baczność! — szepnął znowu. — Podchodzimy do brzegu. Uważajcie, aby nie kołysały się gałęzie, bo bobry mają dobry wzrok i, jak twierdzą niektórzy badacze, wystawiają czaty. Zwykle żerują one i pracują koło żeremi po nocach. Dziś po strzale Seweruka i wtargnięciu ludzi do ich posiadłości, pochowały się zapewne po norach...
Z największą ostrożnością sunęli przez krzaki, aż ujrzeli przed sobą wąskie koryto rzeczki, wijącej się śród haszczy.
Z odległości dwudziestu pięciu kroków chłopcy ujrzeli dziwną budowlę. Gdyby nie byli słyszeli już przedtem opowiadania leśniczego o żeremiach, przyjęliby ją za nagromadzoną przez prąd kupę gałęzi, pniaków, pędów trzcin i warstw mułu.
Tymczasem było to gniazdo bobrów.
Trochę dalej widniało drugie — większe, obok niego zaś ciągnąca się przez całe łożysko rzeczki tama. Wznosiły się ponad wodą starannie oczyszczone z kory dość grube pale, oplecione gałęziami, przywalone ciężkiemi klocami i kupami mułu, piasku i kamieni.
Samo żeremie zbudowane było na pozór bez planu. Kawałki drzewa zwalone były bezładnie, — jedne leżały pionowo, drugie — poziomo, inne znów — ukosem. Przyjrzawszy się jednak uważniej, chłopcy spostrzegli, że te odłamki konarów i krótkie pniaki były połączone mocnemi wiązadłami z giętkich gałęzi i prętów, powleczone grubą warstwą iłu, zmieszanego z piaskiem, i dopiero zgóry przywalone dla trwałości całego budynku grubemi drągami, których końce opierały się o dno.
— Właściwe nory bobrów są na brzegu, pod ziemią. Mają one dwa wyjścia — jedno pod wodą, jak u wydry, drugie o kilkanaście kroków — w lesie, gdzie gryzonie ścinają drzewa, korują je i, strąciwszy do wody, spławiają ku żeremiom, — szeptem opowiadał Garzycki.
— Pocóż im tedy te gniazda? — spytał Stach Wyzbicki.
— Na wypadek, jeżeli woda w rzece podniesie się zbytnio i zaleje norę — objaśniał pan Antoni i nagle przyłożył palec do ust, oczami wskazując przed siebie.
Z otworu pomiędzy gałęziami w żeremiu wyjrzał okrągły, brunatny pyszczek bobra.
Zwierzątko powęszyło i rozejrzało się dokoła.
Wkrótce rozległ się głośny plusk, a po chwili głos bobra, przypominający

głuche stęknięcie.
Okrągła główka z przyciśniętemi do niej małemi uszkami wynurzyła się na powierzchni rzeczki. Gryzoń pływał dokoła żeremia, i starannie oglądał je, sprawdzając jego trwałość, majstrując coś krótkiemi przedniemi łapami.
Wkrótce wygramolił się na brzeg, gdzie leżało świeżo ścięte drzewo. Zwierzątko zdzierało z niego korę i zjadało ją, od czasu do czasu zagryzając cienkiemi gałązkami.
Chłopcy widzieli teraz wyraźnie gęste, puszyste futerko bobra, jego tylne łapy z błonami pomiędzy palcami i „kielnię“ — długi, szeroki ogon — ster, okryty nagą skórą, w środku przechodzącą jakgdyby w łuskę.
Wkrótce zjawił się drugi bóbr i zaczął posuwać olszowy kloc ku wodzie.
Żerujący gryzoń również wziął się do roboty. Przedniemi łapami zaczął zgrzebywać piasek i ziemię i, utworzywszy z tego sporą kupę, — piersią i łapami popychał ją ku rzece.
W tej chwili cicho zgrzytnął i warknął zwijacz aparatu, ciągnący taśmę filmową.
Bobry skoczyły do wody i znikły.
— Ze dwie minuty zaczają się na głębinie, a potem wystawią koniuszczek nosa, wciągną powietrze i znowu dadzą nura! — zaśmiał się leśniczy. — No, ale bądź co bądź ma pan jakie dwa metry ciekawego zdjęcia! Nigdy nie widziałem na filmie bobrów na wolności. Gratka to nielada, moi panowie! Ale chodźmy już stąd, bo po tych awanturach i niepokojach, moje bobry gotowe są przekoczować w inne strony, za co mię moja władza przełożona nie pochwali... tembardziej, że będę i tak świecił oczami za tego, którego ustrzelił kłusownik!
Wyszli wkrótce na Bobryk, odnaleźli bród i przez las skierowali się na poręby.
Zdążyli dojść dopiero na drugą po południu.
Ludzie, pod kierownictwem brakarza[74] pracowali już po poobiednim wypoczynku.
Gdy wieczorem, siedząc na ganeczku w leśniczówce, przypominali sobie przeżycie tego dnia, Jurek mocno uścisnął rękę Garzyckiemu i szepnął do niego:
— Jakżebym pragnął spotkać pana raz jeszcze w życiu, gdy będę dorosły i samodzielny!
Leśniczy odpowiedział mu uściskiem i łagodnem spojrzeniem zajrzał chłopakowi w oczy.

Nieciecz okrywa biele i samotne stogi na nich...

Rozdział XXI.

## JAGODY! GRZYBY POLESKIE!

Nazajutrz przypadała niedziela.
Dnia tego wypoczywano dłużej.
Dopiero koło dziesiątej towarzystwo wyległo przed leśniczówkę.
W nocy padał deszcz, więc drzewa podniosły wymyte, zielone liście i igliwie.
Słońce świeciło radośnie, wołając do życia i czynu.
Stach i Olek dokazywali i śmiali się głośno. Tylko Jurek milczał i spoglądał na wszystkich jakimś dziwnym wzrokiem.
Spostrzegła to Marysia i, ująwszy brata pod ramię, spytała go troskliwie:
— Co ci jest, Jureczku? Możeś chory?
Chłopak uspokoił ją ruchem głowy i poszedł z nią ścieżką leśną.
Gdy leśniczówka znikła im z oczu, zatrzymał się i zaczął opowiadać siostrze wypadki dnia ubiegłego, bardzo pobieżnie dotykając całego zajścia z kłusownikiem. Zato, doszedłszy do chwili sądu młodego leśniczego nad Sewerukiem, ze wszyskiemi szczegółami opowiedział siostrze to, co go najwięcej zastanowiło i uderzyło w słowach i postępkach Garzyckiego.
Marynia słuchała uważnie, starając się wytłumaczyć sobie niezwykłe wzruszenie brata.
Jurek zakończył swoje opowiadanie cichym, dziwnie miękkim głosem:
— Tam, na błotach Wyżarskich zrozumiałem, jak należy żyć, aby być dobrym człowiekiem, prawdziwym chrześcijaninem i uczciwym obywatelem.
Umilkł na chwilę, uśmiechnął się łagodnie i dodał:
— I takie to proste, zdumiewająco proste! W najzawilszych stosunkach z ludźmi, należy zrozumieć ich, zrozumieć dobrze, aż do dna!
W pobliżu rozległy się kroki dwóch ludzi.
Boczną ścieżką szedł Garzycki z Budniakiem.
Uszu Jurka dobiegł głos gajowego:

— Prawdę mówił Seweruk, panie leśniczy! Żona mu choruje... blada, chuda, ledwie na nogach się trzyma... Gdy weszliśmy do chaty, znachor jakieś zioła warzył...
Leśniczy odezwał się natychmiast:
— Dziękuję wam, panie Budniak! Ucieszyliście i uspokoiliście mnie... Ależ zmordowaliście się pewno?
— Nie pierwszyzna mi to, panie leśniczy! Spieszno mi było, bo to dziś niedziela, kobieta w domu czeka... Szedłem całą noc, bo traktem radził mi iść Seweruk...
Przeszli i dalszej rozmowy Jurek nie mógł już słyszeć.
Marynia wypytywała brata o różne szczegóły wczorajszej przygody i wkońcu zaczęła opowiadać o pani Wandzie, z którą spędziła cały dzień, nie nudząc się wcale.
— Bardzo dzielna kobieta! — zachwycała się nią dziewczynka. — Wielu rzeczy nauczyłam się od niej! A żebyś wiedział, jak się ona zna na lecznictwie! Ma całą spiżarkę pełną ziół i różnych leków. Mówiła mi, że przyjeżdżają do niej chorzy z dalszych nawet okolic. Pan Antoni z własnej pensji kupuje potrzebne lekarstwa, watę, bandaże... To są bardzo poczciwi, dobrzy ludzie!
Jurek poprzez pnie drzew spostrzegł powracającego Garzyckiego.
Leśniczy szedł, wygwizdując jakąś skoczną piosenkę.
Jurek z Marynią pobiegli ku niemu przez las.
Zatrzymał się i z uśmiechem patrzał na nich.
Marynia dobiegła pierwsza i, stanąwszy przed nim, powiedziała:
— To pan — taki? Myślałam, że z pana uczony mruk, tymczasem... Jurek wszystko mi opowiedział!
— I napewno przesadził, bo jest filmiarzem, a ci zawsze wszystko upiększą i przeinaczą! — zawołał z wesołym śmiechem.
— Niech się pan nie wymiguje! — zauważyła poważnym głosem dziewczynka. — Z tego, co mi mówił brat, i z jego zachwytu i szacunku dla pana, wnioskuję że postąpił pan wspaniałomyślnie i pięknie!
Leśniczy skrzywił się nagle i mruknął:
— Wspaniałomyślnie?... Szumne, pyszne... zbyt wielkopańskie słowo...
Marynia, nie zmieszana tem bynajmniej, odpowiedziała natychmiast:
— Nie podoba się panu to słowo, tedy powiem inaczej — postąpił pan z tym kłusownikiem, jak mądry i dobry człowiek!
Garzycki zaśmiał się beztrosko i zauważył:
— Jak dobry — może być, ale nie jak mądry, panno Marysieńko! Teraz wszyscy kłusownicy pociągną do mego leśnictwa, bo będą myśleć, że do mnie można strzelać, jak do tarczy w strzelnicy, i wybijać bezkarnie powierzone mojej opiece bobry... Taki — to będzie wynik tej sławetnej mojej „mądrości“!
Do tego sporu wmieszał się Jurek i spytał pana Antoniego:
— Chyba pan mówi to żartem? Jestem przekonany, że, jeżeli wieść o wypadku na bagnie Wyżarskiem obiegnie ludność okoliczną, ani jeden kłusownik nie sprawi panu kłopotu, ba — innych powstrzyma!
— Oby tak było!... — westchnął leśniczy. — Bo, mówiąc szczerze, nie znoszę tych „podsłuchów“ i osaczania ludzi. Wolę tropić burego kosmacza, gdy, trafiony kulą, juszy[75] po śniegu; fladrować igrzyska[76] wilcze; przyglądać się usmolonemu kapelusznikowi[77], gdy, dmuchając i

roniąc pianę z ryja, idzie na dym[78]; wypatrywać zadziory[79] rysie i szukać plamistego kota w kniei! Ba — lepsza jest dodniówka[80] na lisa, gdy powraca z nocnej wyprawy, a nawet polowanie na pomykacza[81], gdy szarak zrywa się w polu i zmiata miedzą... A toki[82] głuszczowe? A ciąg słonek? A rykowisko[83] jelenia, gdy byki[84] walczą ze sobą, ze szczękiem i porykiem, zderzając się wieńcami[85]? Mój Boże ileż to jest piękniejszych łowów, niż na drapieżnego i ciemnego, jak noc kłusownika, który niewiadomo poco nadstawia swoją skórę i naraża się na więzienie?!
Jurek z zachwytem słuchał pięknej gwary myśliwskiej, starając się zapamiętać każde słowo, aby zapisać potem do notatnika.
Leśniczy tymczasem ciągnął dalej:
— Ale jakby tam nie było, musimy walczyć z kłusownikami! Ci z nich, którzy strzelają do zwierzyny, nie są tak szkodliwi, jak ci, co zastawiają sidła, pułapki, i różne żelaza, a tych to właśnie najtrudniej pochwycić na gorącym uczynku! My — leśnicy ochraniamy nietylko przyrodę w postaci lasów, zwierząt i ptaków, ale i majątek naszego państwa. Polska może posiadać taką obfitość zwierzyny, że powinna ciągnąć duże zyski z handlu tym artykułem, wywożąc go na rynki zagraniczne. Z drugiej strony możemy pociągnąć tu cudzoziemskich sportowców, którzy drogo płacić będą za prawo polowania podczas toków głuszców i cietrzewi, rykowiska jeleni i kozłów, ciągów słonek, przelotów kaczek, w zimie również — gdy się poluje na wilki, lisy, rysie i zające. Mogłoby to poza dochodem dla skarbu, mieć znaczenie głębsze. Cudzoziemcy poznaliby i pokochali Polskę, jej lud i przyrodę. Można snuć podobne myśli jeszcze dalej! Turystyka zwykła i sportowa spowodowałaby ulepszenie istniejących i budowę nowych szos, ustalenie linji komunikacji wodnej i lotniczej, ożywiłaby ruch kolejowy i, co najważniejsze, — wzbogaciłaby ludność, dając jej możność zarobkowania!
Rozmawiając, powracali do leśniczówki, skąd dobiegało już hukanie chłopaków i nawoływanie pani Wandy, zaniepokojonej, że śniadanie wystygnie i wszystkie jej starania pójdą na marne.
Po posiłku całem towarzystwem ruszyli do lasu.
Pani Garzycka i Marynia niosły koszyki, Jurek uzbroił się w aparaty, Stach miał za plecami karabinek. Tylko pan Antoni i Olek szli bez żadnego bagażu.
Pani Wanda co chwila pochylała się ku ziemi lub dotykała pni i gałęzi drzew, robiąc swoje uwagi.
— Co tu tych chrobotków się pojawiło! — mówiła do syna, wskazując na szare, suche porosty, okrywające ziemię. — Przez tę skorupę żadne runo[86] się nie przebije!
Garzycki skinął głową i odpowiedział:
— Widziałem już! Na jesieni będziemy je grabili, a potem spalimy... Porosty te są niepożądane, bo dają dobre schronisko owadom — szkodnikom... Przetrzebimy to...
W innem miejscu leśniczy pokazał młodym przyjaciołom blado-zielone nici, zwisające z gałęzi młodych sosenek i świerków.
— Zupełnie jak jakaś broda! — zaśmiała się Marynia.
— Właśnie są to porosty brodate — objaśnił Garzycki. — Na północy Europy — w Norwegji i Laplandji, a także na skraju lasów w Syberji tubylcy nazywają je „mchem jelenim“. Jelenie, a szczególnie renifery

przepadają za temi porostami. Niektórzy uczeni twierdzą, że zwierzęta te potrzebują ich dla zdrowia, a, nie mając ich, zaczynają chorować. To tak, jak psy, które szukają na łąkach młodych listków piołunu i mięty...
Towarzystwo wchodziło na wilgotny teren, przez który przepływała zarośnięta wierzbami rzeczułka.
Czarny ptak z jasno-szarą piersią wyleciał z krzaków i, machając szerokiemi skrzydłami, zniknął woddali.
Stach dostrzegł czerwone nogi i długi, również czerwony dziób ptaka.
— Bocian... — mruknął.
— Czarny bocian, — poprawił go leśniczy, — przybłęda z krajów południowych! Ptaki te upodobały sobie Polskę wschodnią, przylatują tu na wiosnę i wiją gniazda na drzewach. Prawo ochrania czarnego bociana, zakazując polowania na niego i zalecając spokój wpobliżu jego siedziby...
Szli dalej. W lesie za rzeczką pełno już było przeróżnych grzybów.
Krępe, przysadziste borowiki rosły całemi rodzinami, od największych — zdrowych i jędrnych do malutkich, ledwie wyzierających z próchnicy i z pod sypkiego igliwia; maślaki, mechowniki, podosinniki o jasno żółtej głowie na wysokiej nodze wyzierały z pod suchych liści, z trawy i mchu. Koszyki wypełniły się szybko.
Pani Wanda opowiadała, że dalej na zboczach pagórka, trochę później wyrosną całe płachty rydzów, gąsek i kurek, że Poleszucy jadają nawet opieńki, że z kraju można wagonami całemi wywozić pieczarki i smardze, tak bardzo poszukiwane w Warszawie i zagranicą, że suszonemi grzybami można byłoby okręty ładować, ale brakuje przedsiębiorczości i organizacji.
Zbierając grzyby, doszli do nowej pętli, którą robiła rzeczka, biegnąca przez las.
Otoczył ich gęsty podszyt. Składał się z krzaków maliny, porzeczek, kaliny, berberysu i dereniu, czerwone jagody nęciły spragnionych wycieczkowców, to też używali wszyscy, ile chcieli i mogli.
— Czyż to nie jest bogactwo? — wołała pani Wanda. — Ileż to sławetnych jam'ów[87] można wyprodukować z naszych dzikich jagód i rzucić na rynki krajowe i zagraniczne. Próbowałam robić marmoladę z borówek, czernic, łochyni[88] i żórawin. Powiadam wam — palce lizać! Dla aromatu dodawałam płatków głogu, mięty, macierzanki, kwiatu lipowego i przysięgam, że moja marmelada lepsza była od tych drogich angielskich galaretek, które wszystkie są na jedno kopyto!... Ale cóż robić, kiedy nie mamy ani przedsiębiorców, ani zrozumienia dla tego, co przepada tu bez pożytku!
Marynia i chłopcy słuchali uważnie tego, co mówiła krewka, podniecona własnemi słowami pani Wanda.
— Czas do domu! — zawołał wreszcie leśniczy, spojrzawszy na zegarek.
Czekając na rozproszonych po krzakach chłopców, usiadł przy matce i Maryni, układających grzyby w koszykach, i cichym głosem poprosił:
— Mamo! Pamiętasz starego Seweruka? Jego syn ma chorą żonę. Leczy ją jakiś tam znachor „strojem bobrowym"... Bardzo cię proszę — zbadaj ją i powiedz, co jej jest? Jeżeli trzeba będzie — wyprawimy kobiecinę do szpitala w Pińsku, do Henia... On ją tam przyjmie napewno, gdy go oboje poprosimy. Seweruk od przytomności odchodzi, tak bardzo troska się o żonę...

Marynia, która wiedziała, że kłusownik omal że nie zabił Garzyckiego, nie spuszczała pełnego uwielbienia wzroku z ogorzałej, radosnej twarzy Garzyckiego i rozumiała teraz wzruszenie, jakie ogarnęło Jurka po przygodzie ich na bagnach Wyżarskich, gdzie młodemu leśniczemu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Rozdział XXII.

## WŚRÓD RYBAKÓW.

Nazajutrz młodzi turyści rozpoczęli rozmowę z panią Wandą o zamiarze swoim wyruszenia w dalszą drogę, lecz pani Garzycka słuchać nawet o tem nie chciała, namawiając, aby jak najdłużej pozostali w leśniczówce.
— Proszę pani, — protestowała Marynia, — to jest zupełnie niemożliwe! Jak my wyglądamy, całą bandą mieszkając u państwa, narażając ich na wydatki i różne kłopoty? Proszę tylko pomyśleć?
Pani Wanda zamachała rękami i zawołała:
— A czyż Marysieńka nie pomagała mi robić porządków w spiżarni? Czy nie czytała mi książek, gdy szyłam? Wreszcie spadliście tu nam jak ta rosa z nieba! Ożywiliście nasz domek, wyprowadziliście mego syna z ciężkiego nastroju, bo ostatniemi czasy coraz częściej wpadał w zamyślenie i czuł się źle. Teraz tak cieszę się, że jest wesoły i pełen zapału do życia... Wszystko to dzięki wam!... Doprawdy, nie pożałujecie czasu, spędzonego w naszej pustelni! Mój Antoś jest wykształcony i w jego towarzystwie możecie nauczyć się wielu takich rzeczy, jakich wam ani szkoła, ani też książki nie dadzą!
— Pani wypowiedziała wielką prawdę! — ożywiając się nagle, wtrącił Jurek. — Od pana Garzyckiego nauczyłem się już czegoś, z czem pójdę przez życie!
— Ciekawam, cóż to takiego? — spytała pani Wanda.
— Dobroci! — odpowiedział chłopak. — Nie tej jednak łzawej i bezsilnej, lecz męskiej, mądrej dobroci.
— Właśnie! Właśnie! — ucieszyła się staruszka. — Wiedzcie zatem, że pobyt wasz w leśniczówce nie minie bez pożytku! Zresztą jesteście na prawdziwem Polesiu, wszystko tu możecie zobaczyć, co jest dla tych kresów najważniejsze, a nikt lepiej od Antosia nie wyjaśni wam wszystkiego i nie powiąże z zamierzeniami i dobrem całej Polski! Zdążycie też jeszcze odbyć swoją podróż kanałem Królewskim i obejrzeć tamte okolice. Dziś napiszę listy do waszych rodziców i będę prosiła, aby pozwolili wam spędzić z nami jak najdłuższy czas! Moi wy mili, młodzi przyjaciele!
Pani Wanda zaczęła ściskać Marynię, a chłopcy otoczyli staruszkę i całowali ją po rękach.
W tej właśnie chwili wyszedł z kancelarji leśniczy.
— Co się tu dzieje? — zaśmiał się, patrząc pytająco na matkę i gości.
— Wyobraź sobie, że te niedobre dzieciaki czują się zakłopotane, że zadługo mieszkają u nas i chcą już wyjeżdżać! — odpowiedziała pani Wanda, rozkładając ręce.

Garzycki spoważniał i nachmurzył czoło.
— Czy państwu niedobrze u nas? — rzucił krótkie pytanie.
— „Strasznie“ dobrze! — zawołała Marynia. — Tak dobrze, jak w raju!
Leśniczy uniósł ramiona i uspokoił się odrazu.
— No to i niema o czem mówić! — zawyrokował, roześmianym wzrokiem ogarnąwszy całą gromadkę. — Mamy jeszcze przed sobą kilka ciekawych wycieczek, koniecznych dla poznania kraju.
Jurek w imieniu całej kompanji podziękował uprzejmym i gościnnym gospodarzom i na tem skończyła się rozmowa o odjeździe turystów.
Olek, który dawno już nie łapał ryb na „porządnej“ rzece, skorzystawszy, że wozy z drzewem szły na Bobryk, zabrał cały swój sprzęt rybacki i wyruszył z Poleszukami.
Jurek wybierał się z leśniczym do lasu, a Stach, wziąwszy karabinek i naboje, postanowił zapolować na jastrzębie, gdyż pani Wanda skarżyła się, że porywają jej kurczęta.
Marynia, jak zawsze, pozostawała z panią Garzycką, którą serdecznie polubiła.
Poleszucy dowieźli Olka do miasteczka Pohost Zahorodzki, gdzie chłopak z listem Garzyckiego stawił się w biurze leśniczego — pana Wacława Żabskiego.
— Świetnie się składa! — zawołał leśniczy, odczytawszy list kolegi. — Wybieram się właśnie w sprawie służbowej na jezioro. Zabiorę pana ze sobą i oddam pod opiekę doświadczonego i inteligentnego rybaka, Romana Hancewicza, ale przedtem musi pan umyć się porządnie i trochę wypocząć. Jestem pewny, że szedł pan przez całą drogę, gdyż po naszych „traktach“, a do tego na wozie z drzewem, jazda nie należy do przyjemności!
— Największą część drogi jechałem, panie leśniczy, bo niedawno skaleczyłem sobie nogę, więc nie mogę jeszcze pozwalać sobie na długie marsze. Nie jestem zmęczony! Nocleg mieliśmy wygodny na świeżem sianie! — opowiadał mu Olek.
Żabski zmusił jednak chłopca do pójścia pod prysznic, napoił go herbatą i dopiero wtedy wsiedli do „karafaszki“ — małego wózka, zaprzężonego w jednego konika.
— Mój kolega pisze do mnie, żebym pokazał panu wszystko, co tu jest ciekawego — mówił leśniczy, — wobec tego jutro pojedziemy sobie w inną stronę; musi pan zobaczyć, jak gospodarują i dają sobie radę nasi osadnicy wojskowi i cywilni. Warto to widzieć, bo to dodaje otuchy i budzi jak najlepsze nadzieje!
Jechali dość dobrą drogą wiejską, biegnącą nad południowym brzegiem jeziora Pohost, aż wreszcie Olek zobaczył duży budan i kilka mniejszych kureni. W cieniu olch stała ziemianka, okryta grubą warstwą trzcin.
— Jest to przedsiębiorstwo starego Romana, — objaśnił leśniczy, — w tej ziemiance ma wzorowo urządzoną lodownię. Niedawno jeszcze rybacy nie wiedzieli, jak i gdzie mają sprzedać ryby, aż przybył tu Hancewicz, zjednoczył wszystkich, wybudował lodownię, zaprowadził dobre sieci i prawidłowy połów. Teraz rybacy nie szukają już kupców, bo ci przyjeżdżają sami i zabierają im ryby. Dzielny stary i mądry!
Z budanu, posłyszawszy szczęk podków, wyszedł siwobrody, rozrosły chłop w białej koszuli, przepasanej wąską, czerwoną „kromką“[89]. Poznał

Żabskiego i skinął w jego stronę ręką.
— Ach, to pan leśniczy! — zawołał, wychodząc na drogę. — Słyszę, że ktoś jedzie i — dziwię się, bo kupcy już dziś byli i odjechali. Jak zdrowie? Co słychać?
— Wszystko, chwała Bogu, dobrze, panie Hancewicz! — odpowiedział leśniczy, potrząsając rękę staremu. — Przywiozłem wam gościa, młodego, ale sławnego rybaka.... sportowego, rzecz prosta, a nie przemysłowca, jak wy... Pan Aleksander Malewicz, jak pisze do mnie Wiadotupicki leśniczy, na Czerwiszczu nabił na ość suma, co pociągnął 105 kilo!
— A jakżeż! — zawołał rybak. — Słyszeliśmy tu o tym sumie... Piękna ryba... Bardzo się cieszę, że będę gościć u siebie pana... pana...
— Malewicza — poddał mu nazwisko Żabski. — Pan Aleksander chciałby spróbować szczęścia na Pohoście.
— Dlaczegożby nie? — uśmiechnął się Hancewicz. — Pokażę panu rybne „plosa“[90] i na łodzie zaproszę, aby pan Malewicz zobaczył, jak to Poleszuki z sieciami dają sobie rady!
Leśniczy pojechał dalej, obiecując wpaść po Olka dopiero wieczorem. Stary zaczął wykopywać dżdżownice i łapać jętki na przynętę dla różnych gatunków ryb. Wreszcie odprowadził gościa na brzeg jeziora i skinął na kudłatego wyrostka, naprawiającego sieć.
— Słuchaj-no, Aleksy! Popłyniesz z paniczem na czarną „zawódź“[91]. Tam pan Malewicz ryby będzie łapał na wędkę.
W półgodziny potem Olek siedział już wpatrzony w dwa pływaki, pląsające na toni.
Łódź stała w wąskiej zatoce, głęboko wcinającej się w ląd. Dzień ten był wyjątkowo szczęśliwy dla młodego rybaka, przez parę bowiem godzin schwytał sześć dużych sandaczy.
Powróciwszy do kureni, Olek podarował ryby staremu Romanowi, zdumionemu obfitością połowu, i czekał na rybaków, układających długi niewód do łodzi.
Hancewicz, patrząc na jezioro, mówił do gościa.
— Czy pan wie, że w naszem jeziorze rośnie rzadki już teraz orzech wodny? Nie wolno go tępić ani podbierać orzechów, bo ta roślina wzięta została pod ochronę. Nazywają ją też kotewką, bo orzechy posiadają ostre, twarde kolce. Dawniej, za mojej jeszcze pamięci, takie kotewki rosły w innych też jeziorach, ale ludziska wytrzebili je. Baby koszami wyławiały je, suszyły i mełły na mąkę. Dobra była i pożywna, a lepsza od lebiody[92], którą u nas w głodne lata do chleba dodają, aby zaoszczędzić mąki żytniej! Rybacy też tępili tę roślinę, bo im sieci plątała i rozrywała. Teraz zabroniono nam ruszać kotewek... W naszem miasteczku przed trzema laty mieszkał pewien znakomity uczony z Warszawy. Opowiadał nam, że taka kotewka pozostała jedynie u nas w Pohoście i jeszcze gdzieś w Italji, w jakiemś jeziorze, w kraju gdzie jest zawsze ciepło i słonecznie, a nie tak, jak to u nas bywa; dzień — pogody, a dziewięć — deszczu i mgły!
— Przez cały czas jednak mamy tu świetną pogodę! — zauważył Olek.
— Ten rok jest jakiś inny! — zgodził się stary. — Zapewne zima zato będzie wczesna i mroźna... Nawet i oznaki już są...
— Cóż to za oznaki? — spytał chłopak.
— Rybacy, co to na Prypeci rybaczą, powiadali mi, że jesiotry tego roku

wcześniej niż zwykle staczają się ku morzu — objaśnił go Hancewicz. — Nieomylny to znak!
Spojrzał z uśmiechem na gościa i mruknął:
— Pan zapewne pomyślał sobie w tej chwili „głupi ten stary, bo baje o jakichś tam znakach“?
Olek potrząsnął głową i poważnym głosem zaprzeczył:
— Wcale tego nie myślałem, panie Hancewicz! „Znaki“, cieszące się zaufaniem wśród ludności, powstały z doświadczenia wielu wieków i często są bardzo trafne, prawie że niezawodne. Zresztą — nigdy nie należy bez dowodów nazywać głupim tego, w co inny człowiek wierzy.
Stary rybak słuchał uważnie i chwilami zdumionym wzrokiem wpatrywał się w twarz Olka.
— Mówi pan, jak dorosły... — szepnął.
— Nauczyli nas szanować przekonania każdego człowieka i walczyć z niemi dopiero wtedy, gdy okażą się szkodliwemi — odparł poważnym głosem chłopak i zawołał:
— Rybacy już są gotowi, panie Hancewicz! Czy mogę iść?
Stary odprowadził gościa i wskazał mu miejsce w największej łodzi, poczem machnął ręką i krzyknął:
— Z Bogiem — na wodę!
Plusnęły wiosła i łodzie odbiły od brzegu.
Większa łódź płynęła wolniej.
Stojący na niej ludzie, przebierając sieć, wrzucali ją do toni.
Mniejsza „podjazdka“[93] wyciągała jej skrzydło coraz dalej i dalej na jezioro, a gdy długa matnia ześlizgnęła się na głębinę, ludzie przestali wiosłować.
Na powierzchni jeziora kołysały się pływaki z kory, podtrzymując ściany sieci.
Na dany znak, rybacy, pluskając wiosłami i hałasując, popłynęli ku piaszczystej łasze, ciągnąc niewód ku brzegowi. Wyskoczywszy na piasek, zaczęli podbierać sieć, wywlekając ją za sznury.
W okach trzepotały się nieduże ryby. Stojący na skrzydłach łowcy ostrożnie zwalniali uwikłane płotki i małe liny i puszczali je na wolność, ponieważ nie osiągnęły jeszcze wskazanej przez prawo wielkości i wagi.
Skrzydła niewodu szarą, mokrą kupą leżały już na piasku, gdy nagle z wody zaczęły wyskakiwać duże ryby.
Kilka szczupaków, zakreślając w powietrzu łuk i śmigając złocistą łuską, przewaliło się przez ścianę sieci i umknęło na głębinę.
Inne ryby co chwila wyskakiwały z toni, rozrzucając strugi i bryzgi wody, czołgały się po dnie i uderzały się z rozpędu o przegrodę z mocnych nici.
Nastąpiła wreszcie najciekawsza chwila.
Z jeziora sunąć zaczęła matnia. Dokoła niej kotłowała się woda. Ryby szamotały się bezładnie, próżno szukając wyjścia z worka.
Wyciągnąwszy sieć na łachę, rybacy zaczęli wyrzucać ryby.
Piękne, drapieżne sandacze, szczupaki o długich zębatych paszczach, szerokie, złociste karpie i leszcze, duże, pręgowane okonie o czerwonych płetwach miotały się i skakały po ziemi.
Łowcy wrzucali je do długich, podziurawionych skrzyń, pływających koło brzegu. Ryby mogły żyć w nich przez trzy doby, poczem przenoszono je do napełnionych wodą beczek, z któremi przyjeżdżali kupcy po świeży

towar.
Oddzielono tylko sandacze.
Te delikatne ryby nie znoszą niewoli i giną. Rybacy ponieśli je do kureni, aby złożyć na lodzie.
Olek powrócił zachwycony do budanu Hancewicza.
— Rybne macie jezioro! — wołał. — Widziałem piękny połów!
— Poprawił się teraz, poprawił! — zgodził się stary. — Przed dziesięcioma jeszcze laty nasi Poleszucy mocno tu przetrzebili ryby, ale za polskich czasów, gdy zaprowadzono mądre przepisy i czas ochrony na każdy gatunek ryb, to połowy poprawiły się bardzo! Będą teraz jeszcze lepsze, bo wpuszczamy nowy zarybek i ustalamy miejsca niełowne, gdzie ryby mogą dorastać w spokoju...
Hancewicz zaprosił Olka do budanu na wieczerzę.
Chłopcu bardzo smakowała zupa ze świeżych ryb z kartoflami i perłową kaszą.
Popijając herbatę, na prośbę rybaków, opowiadał im o połowach potworów morskich, o czem czytał niedawno.
Podczas tej pogadanki do budanu wszedł leśniczy.
Wszyscy byli tak zajęci opowiadaniem, że nikt nawet nie słyszał turkotu wywrotnej „karafaszki".
Pożegnawszy rybaków i uwożąc ze sobą podarowaną mu przez Hancewicza kolczastą „kotewkę", Olek odjechał razem z Żabskim, pełen wrażeń i wspomnień o uprzejmych ludziach z kureni nad Pohostem.

Wielki zasiąg ma niewód poleski.

Rozdział XXIII.

## NA BIAŁEM JEZIORZE.

Olek Malewicz zabawił u pana Żabskiego, dłużej niż myślał, lecz nie żałował tego, ponieważ razem z nim zwiedził wschodnie krańce Polesia, a nawet jedno z największych bagien — Hryczyńskie.
Pan Wacław, wybierając się nazajutrz na objazd leśnictwa, poradził swemu gościowi, aby zabrał ze sobą przyrządy rybackie, gdyż będzie miał

sposobność schwytania kilku ryb w jeziorze Białem.
Wyjechali bardzo wcześnie długim wozem drabiniastym, zaprzężonym w parę koni.
Woźnica śmigał batem i pokrzykiwał wesoło; leśniczy, uśmiechając się do Olka, usiłował przekrzyczeć turkot kół i klekot powozu.
— Ten lekki, sprężysty wehikuł — najlepszy jest na nasze pocięte koleinami i pełne wybojów drogi! — mówił. — Siedzimy sobie w tej słomie wygodnie, podskakujemy i kołyszemy się niby w kolebce. Ani to się załamie, ani się przewróci! Co do mnie, to umiem nawet spać podczas jazdy!
Jechali traktami wśród lasów. Od czasu do czasu napotykali pola uprawne na wykarczowanych terenach, niedawno posadzone młodniaki sosnowe i szkółki leśne, ogrodzone mocnemi płotami.
Olek spytał, przed czem ochrania leśniczy malutkie sosenki i świerczki, dopiero co wyrośnięte z ziaren i ledwie wyzierające z zoranej piaszczystej gleby.
— Ba! — zawołał Żabski. — Nie brak mi amatorów na nie! Przychodzą tu jelenie i sarny. Nietyle najedzą się, ile potratują! Uczęszczają w te miejsca również dziki. Są one najgroźniejszymi wrogami szkółek i sadzonek... Zając też nie omieszka zajrzeć do nich i narobić szkody... Dlatego to ochraniamy przyszłe lasy sosnowe i świerkowe mocnemi ogrodzeniami, których nawet dzik nie obali!
Z traktu skręcili niebawem na drogę wiejską i po dwóch godzinach ustawicznego bujania z boku na bok, niby w łódce na rozkołysanych falach morskich, wyjechali na obszerną polanę, niedawno zapewne wyrąbaną w lesie, gdyż tam i sam leżały jeszcze niesprzątnięte drzewa i sterczały niewykarczowane pnie.
Na polanie widniały trzy nowe zagrody.
Niepodobne jednak były do zwykłych „chutorów“ poleskich.
Wysokie, nowe drewniane domy miały dachy z połyskującej blachy cynkowej i okna świecące się zdaleka dużemi szybami. Zabudowania gospodarskie — obszerne, o strzechach gontowych od pierwszego już rzutu oka różniły się od zwykłych stodół i obór poleskich. Biły w oczy jaskrawe plamy kwiatów przed gankiem.
— Cóż to za budynki? — spytał Olek. — Nie widziałem takich na Polesiu, chyba we dworze Czerwiszczańskim.
— A właśnie! — zawołał leśniczy radośnie. — Osiedlili się tu osadnicy wojskowi. Zaraz ich pan pozna, bo są z pewnością w domu.
Wóz zatrzymał się przy najbliższej osadzie. Z domu wybiegł natychmiast wysoki, zwinny człowiek o bystrych i śmiałych oczach.
— Cieszę się, że pana widzę, panie Rulacki! — powitał go leśniczy. — Jak się pan miewa? Co słychać u sąsiadów?
— Dziękuję! Wszystko jakoś się klei — odpowiedział wesołym głosem osadnik. — Jestem dziś sam na gospodarstwie, bo sąsiedzi pojechali do Łunińca po sprawunki. Ale, proszę do domu!
W izbie pachniało czystością, świeżym tatarakiem i żywicą. Na ścianie pomiędzy oknami wisiał w prostej drewnianej ramie portret Marszałka Piłsudskiego, w trosce i zadumie opartego o głownię pałasza. Na przeciwległej ścianie umieszczono mapę Polski i kilka barwnych obrazów. Proste, lecz nowiutkie sprzęty, doniczki z kwiatami na oknach i lekkie

białe firanki nadawały świąteczny wygląd schludnej izdebce. Koło pieca leżał biały kot w rude łaty i zielonemi ślepiami leniwie przyglądał się gościom.
— Jak się wam powodzi? — spytał leśniczy.
Osadnik wzruszył ramionami i odparł:
— Przydałoby się to i owo, a, prawdę powiedziawszy, brak jeszcze wielu potrzebnych rzeczy, no, ale skoro to niemożliwe, to i tak musi iść.
— Świetnie! — zawołał Żabski. — Jak w wojsku!
— Pewnie, że jak w wojsku! — zgodził się gospodarz. — Przybyliśmy tu, aby założyć osadę. Założyliśmy ją — to teraz musimy się tu trzymać. Uważamy się za wojsko, które pracą i wytrwałością powinno wzmacniać i utwierdzać polskość, jak to było ongiś... za Jagiellonów i Batorego! To też bylejakie trudności nie zniechęcą nas i nie odstraszą... Skoro tu już jesteśmy, to i zostaniemy!
Osadnik otworzył drzwi do sąsiedniej izby i zawołał:
— Stefciu, mamy gości! Pan leśniczy przyjechał z przyjacielem...
Żabski skoczył do drzwi i krzyknął:
— Ale niechże pani nas niczem nie częstuje, bo zaraz jedziemy dalej! Czy można wejść?
Leśniczy wszedł do sąsiedniego pokoju. Olek, przyglądając się z ciekawością gospodarzowi, poprosił go:
— Niech mi pan opowie, jak się tu wam żyje?
Rulacki zapalił papierosa i zaczął mówić:
— Rząd dopomógł nam zabrać się do pracy na tym terenie... Zrobiliśmy, co tylko było w naszej mocy... Las wykarczowaliśmy na wszystkich prawie działkach, rowy odwadniające pokopaliśmy i w znacznym stopniu osuszyliśmy już całą posiadłość... Ha! Nawet na torfowisku sapowatem mamy już łąki, gdzie pasie się bydło i stoją stogi wcale pokaźne... Na takim to ugorze założyliśmy przed ośmiu laty pola, ogrody warzywne, a teraz już i sad owocowy... Chleba nigdy nie kupujemy i włoszczyzny mamy wbród! Poleszucy okoliczni przyjeżdżają do nas przyjrzeć się naszej robocie. Podziwiają szczerze a ten i ów naśladować nas zaczyna, zupełnie tak, jak w pogranicznym pasie wieśniacy wzorują się na gospodarce Kopu[94] i dobrze na tem wychodzą.
Wypuściwszy strugę dymu, opowiadał dalej:
— Teraz zakładamy stawy rybne, hodowlę królików i drobiu. Powinno to dać dochód, który użyjemy na wydobycie z pod torfów i bagien ziemi ornej... Rynek dla chleba mamy na miejscu, gdyż rzadko Poleszuk własnem żytem się obejdzie. Zawsze coś dokupywać musi, jak nastąpią głodne, wiosenne miesiące, gdy to lebiodę jedzą, biały zaskórek drzewny i suszone wijuny, modą dawidgródecką[95] na pręciki nadziane. My od nich pieniędzy nie żądamy. Czubaryki[96] zwracają nam należność pracą, bo robotnik bardzo nam jest potrzebny w gospodarstwie!
— Czy ludność chętnie tu widzi osadników? — zadał pytanie Olek.
Rulacki odpowiedział bez wahania.
— Zależy jak gdzie! Bliżej granicy, skąd dobiegają różne podszepty, — Poleszuki boczą się jeszcze, ale tam, gdzie widzą, jak Polacy rządzą krajem, — dobrze z nami żyją. Minęły już bezpowrotnie niespokojne czasy! Teraz chyba, że tylko jakaś banda przemytników lub „bibularzy“, co to zakazane druki przewożą, przedziera się przez kordon, a potem,

kryjąc się przed Kopem, policją i strażą leśną, śmiga przez Hryczyn ku kolei... Ale i to już coraz rzadziej się zdarza... My zaś, jak umiemy i jak możemy, doradzamy i pomagamy Poleszukom — sąsiadom... Śród nich mamy już przyjaciół szczerych. Należałoby na dobre zająć się nimi, bo choć nieufni są jeszcze i długo przeciwko nam buntowani, — szybko zmiarkują, że z nami iść — to nie strata dla nich ale pożytek prawdziwy! Wiemy jednak, że nie odrazu Kraków zbudowano i wszystkiego w kilka lat odrobić się nie da... Wierzymy też, że rychło i na tę robotę znajdą się ludzie i pieniądze, bo inaczej nie można...

Osadnik zaśmiał się i zawołał:

— Teraz Rząd przeprowadza meljorację[97] Polesia, a za kilka lat zacznie pracę i nad Poleszukami!

Wszedł Żabski, mówiąc:

— Pani Stefanja wstydzi się wyjść do gościa, bo jest w roboczym stroju, właśnie w oborze pracowała...

— Gnojówkę rozrabiała! — parsknął śmiechem Rulacki i nagle się zasmucił:

— Jeszcze nam się ani razu nie zdarzyło, żeby goście odjechali od nas bez poczęstunku, a pan leśniczy..

— Doprawdy, że nie mogę! Mam komisję w rewirze Białozierskim... Musimy już jechać! Wpadłem, aby państwa zobaczyć i temu oto młodzieńcowi pokazać wachmistrza ułanów, siedzącego na roli i wykonywującego ważne zadanie państwowe na kresach!

Pożegnawszy osadnika, podróżnicy wgramolili się na wóz i ruszyli w dalszą drogę.

Przecinali obszerną polanę, gdzie stały zagrody osadników. Wszędzie widniały głębokie rowy, odwadniające miejscowość. Brzegi ich były wzmocnione faszynami[98], chroniącemi przed podmyciem i obsuwaniem się ziemi. Na szerszych rowach ustawiono ruchome tamy, które pozwalały skierować wodę do wykopanych już stawów rybnych.

Nieduże pola, starannie zaorane, wypoczywały, oczekując na zasiew oziminy, inne cieszyły wzrok łanami żyta, pszenicy i owsa; zrzadka bielała hryka, lśniły się złociste łubiny i kraśniało poletko maku. Ogrodzone płotem z drągów grały różnemi odcieniami zieloności grzędy z warzywem, a nad niemi, niby straż czujna, stały słoneczniki wysmukłe, pod płotem zaś wybujał obficie ząb koński.

Widać było kupy kory, suchych gałęzi, liści i trocin, zebranych na nawóz, gdyż torfowa gleba wymagała próchnicy.

— Tak... — po długiem milczeniu odezwał się leśniczy. — Gdyby im dać porządny kredyt, mogłaby tu powstać pierwszorzędna osada polska! I tak prawie bez pieniędzy, dużo już oni zrobili na tych nieużytkach... Pomyśleli o wszystkiem, wszystko wykorzystali i przewidzieli... ale najważniejszą rzeczą, którą zastosowali od pierwszych kroków, była samopomoc!... Ci osadnicy mają wszystkie narzędzia rolnicze do wspólnego użytku, większe zakupy robią zbiorowo, pomagają jeden drugiemu, jak mogą.

Dojechali wreszcie do gajówki.

Stały tam trzy wózki. Na ławeczce pod dębem siedziało sześciu panów.

Z domku wybiegł gajowy i po wojskowemu salutował leśniczego.

— Panie Kłopowiec, w wozie pod słomą znajdziecie kosz z przekąskami i piwem — powiedział Żabski, podając rękę gajowemu. — Migiem

sporządźcie śniadanie, bo mamy sporo dziś do zrobienia. Urządzimy targi na podkłady dębowe... Musimy zaciosać drzewa, które sobie wybiorą kupcy w pierwszym rewirze... Ale, ale! — przypomniał sobie leśniczy. — Mój drogi, każcie swemu chłopakowi, żeby po śniadaniu poszedł z panem Malewiczem na Białe jezioro na ryby!
Kłopowiec uśmiechnął się pod wąsem i mruknął:
— Memu Kostkowi w to tylko graj! Przepada on za wędką. Ucieszy się malec... Tylko ech, zapomniałem! Okonie mu wszystkie haczyki poobrywały...
— Ja mu podaruję cały tuzin najlepszych — angielskich i linkę jedwabną z zielonym pływakiem! — zawołał Olek.
— Ucieszy się malec! — powtórzył gajowy, uśmiechając się do gościa. — Rybakiem będzie zapewne...
— No to i dobrze! — kiwnął głową leśniczy. — Mamy przecież na Polesiu szkoły rolnicze z wydziałem rybołówstwa. Niech się wykształci na uczonego rybaka, to nie przepadnie w życiu... Potrzebny to tutaj i pewny fach!
Po krótkiem śniadaniu, Żabski z kupcami i gajowym podążyli do lasu. Do Olka zaś wybiegł chłopak trzynastoletni i stanął przed nim, szczerząc białe zęby i błyskając roziskrzonemi oczyma.
— Kostek? — spytał go z uśmiechem Malewicz.
— Aha! — odpowiedział. — Nakopałem dżdżownic pełną blaszankę. Na tydzień starczy!
— Trzymaj paczkę z haczykami i linkę z pływakiem — to dla ciebie, bracie, — powiedział Olek.
— Oj, panie, dziękuję wam! — szepnął chłopak, nie wierząc własnym uszom. — Poniosę wasze wędki, bo swoje na jeziorze w dziupli wierzbowej zostawiłem.
— Daleko do jeziora? — z pewnym niepokojem spytał Malewicz, bo noga bolała go od długiego trzęsienia się na wozie.
— Gdzież tam! — zawołał malec. — Za kwadrans dojdziemy, panie, a jeżeli biegiem — to i prędzej!
— Nie, pójdziemy sobie, jak na poważnych rybaków przystało! — zaśmiał się Olek.
Ścieżka leśna doprowadziła ich do Białego jeziora.
Coprawda, zabrało im to całe półgodziny, lecz chłopak nie miał żadnego żalu do swego towarzysza, bo wiedział, że ludzie miejscowi z jakiegoś niezrozumiałego nawyku, zawsze zmniejszają rzeczywistą odległość.
Małe, prawie zupełnie okrągłe jeziorko miało istotnie białą barwę przy brzegu.
Powodem tego była glina, okrywająca dno. Białe jej warstwy wybijały się też z pod darniny i torfu. Jeziorko leżało w otoku krzaków i drzew, przeglądających się w jego nieruchomej tafli.
Przesiedzieli na jeziorze do zachodu słońca, bo Malewicz tak się umówił z leśniczym, ale zdobycz ich składała się wyłącznie z okoni i miętusów.
Olkowi udało się wkońcu poderwać małego karpia, ale okazał się on jedynym, którego znęciły grube dżdżownice, zwisające z haczyków.
Powracali więc do gajówki, przemoczeni i głodni. Kostek dźwigał worek z rybami, Malewicz niósł wędki i bosak, chociaż nie przydał mu się dziś ani razu.

Olek około godziny jeszcze czekał na leśniczego. Wyjechali z gajówki, gdy już wieczór zapadł. Koniki biegły ochoczo. Księżyc w pełni oświetlał drogę. Leśniczy i Olek drzemali.

Rozdział XXIV.

## W SERCU LEŚNO-BAGIENNEGO KRAJU.

Żabski, urodzony na Polesiu, kochał ten leśno-bagienny kraj i chciałby wszystko pokazać Olkowi, wyjaśnić liczne potrzeby i pragnienia Polesia i wzbudzić w nim miłość dla tego tak osobliwego kraju — niepodobnego do reszty Polski.

Przez kilka dni obwoził go po wschodniem Polesiu.

Podróżnicy, spędziwszy jedną noc w karczmie, stojącej koło przewozu przez Horyń, jechali dalej doliną tej rzeki.

Żabski pokazywał chłopakowi piękne bory, ciągnące się po obu brzegach.

Proste, jak kolumny świątyni, gładkie, ogromnej wysokości sosny wzbudzały zachwyt w Olku. Żałował, że nie ma przy sobie Gruszczyńskiego, który dopiero szalałby tu ze swoim kodakiem!

Leśniczy objaśnił Olka, że są to, bodaj, najlepsze na Polesiu bory sosnowe, gdyż gatunek dostarczonego przez nie drzewa uważany jest za najwyższy.

Następny nocleg mieli w domu kolegi Żabskiego, leśniczego w ordynacji Dawidgródeckiej.

Nazajutrz przed zachodem słońca zajechali przed schludny domek łowiecki, zbudowany nad brzegiem rzeki Lwy.

Przyjął ich niemłody już, poważny pan — słynny znawca Polesia i znakomity uczony, spędzający tu lato na studjach.

Olek był tak znużony, że, nie czekając na kolację, rzucił się na tapczan w przeznaczonym mu pokoju i usnął odrazu.

Obudziło go słońce, padające mu na twarz, więc szybko się umył i, ubrawszy się, wyszedł z domu.

Dookoła widniała ciemna puszcza olchowa, tam i sam zrzadka urozmaicona białemi strzałami brzóz i przysadzistemi dębami.

W lesie nogi chłopca tonęły w wybujałem runie z rzeżuchy, śledziennicy, bodziszka i sitowia. Gleba stawała się coraz bardziej wilgotna i grząska.

Olchy zdumiewały chłopca swym rozrostem. Stanowczo takich olszyn nie widział jeszcze nigdy. Piękne, grube ich pnie, jakgdyby wytoczone z ciemnego kamienia na wysokości zapewne 25 metrów rozrzucały swe potężne konary. U stóp tych wspaniałych drzew tłoczyły się krzaki kaliny, porzeczek czarnych, kruszyny i haszcze wierzb, gdzie roiło się od ptactwa śpiewnego i szczebiotliwego.

Po przechadzce chłopak powrócił do domu, gdzie już czekano na niego.

Obejrzawszy botaniczne zbiory profesora i piękne fotografje, Żabski poprosił uczonego o konie i wózek, mówiąc:

— Chciałbym pokazać panu Olkowi naszą polską dżunglę!

— Pochwalam ten zamiar! — zgodził się profesor. — Każę wam podać

linijkę. Na obiad nie zdążycie powrócić, więc — do wieczora! Furman zawiezie was do gajowego Nauma. Ten — to już wszystko pokaże i naopowiada. Stary to „osocznik“[99]!

Droga, którą sunęła długa, prężna linijka, wiła się brzegiem Lwy. Olek co chwila pokrzykiwał, pokazując leśniczemu wspaniałe okazy drzew.

— W puszczy pomiędzy Lwą, a Stwihą olszyny dochodzą do 28 metrów wysokości, — objaśniał Żabski. — Stare, mające po sto dziesięć lat drzewa są zupełnie zdrowe i mocne. Nadają się one znakomicie do wyrobu fornierów, gdyż drewno mają ciemne, ciężkie i jędrne. Ale nietylko to stanowi bogactwo puszczy. Sama natura urządziła tu prawdziwe muzeum i złożyła w niem całe piękno i bogactwo Polesia. Widzimy więc tak, bardzo swojską Polesiu puszczę olchową, bagna, torfowiska, ostrowy, dwa jeziora, które powoli zamieniają się w torfowiska, wreszcie mamy tu... bezludzie! Człowiek nigdy nie dążył na te bagna i do olszyńców ciemnych, gdyż nie znalazłby tu dobrej dla rolnictwa gleby. Zawładnęły więc tą częścią Polesia puszcza, zwierzęta i ptactwo...

— Prawdziwy Park Narodowy, jak w Białowieży lub słynny Yellowstone — w Stanach Zjednoczonych! — wtrącił Olek.

— Właśnie! Właśnie! — zapalając się, mówił Żabski. — Tę część należałoby zmienić na Polski Park Narodowy! Polesie w niedalekiej już przyszłości, gdy nasi inżynierowie potną kraj kanałami i osuszą go, straci swój urok dzikiej, pierwotnej natury. Uczeni zoologowie i botanicy będą tu mieli niezastąpioną pracownię, gdzie przed ich oczami będzie płynąć naturalne życie roślin i zwierząt, wrzeć nieustająca walka o był i sposobem naturalnym rozwiązywać się będą zagadnienia życia i współżycia drzew, krzewów, ptaków, owadów i zwierząt! Inni, jak geografowie i geologowie, ujrzą tu znów ziemię, która, ukształtowawszy się przed dziesiątkami tysięcy lat, trwa w formie pierwotnej, i będą mieli żywy wzór dla porównań teraźniejszości z zamierzchłą przeszłością naszej planety. My leśnicy przyglądać się będziemy walce lasu z wrogiemi mu siłami — martwemi i żywemi i uczyć się, jak w tej walce może pomóc człowiek. Z Parku tego wytryśnie w przyszłości ożywcze źródło piękna! Malarze, pisarze i poeci szukać tu będą natchnienia i prawdy dla swoich utworów, które rozsławią po świecie potęgę sztuki i słowa polskiego!

Olek słuchał z przejęciem gorącego przemówienia leśniczego i nie czuł nawet wstrząsów linijki, skaczącej niemiłosiernie po dylowatym „nakacie“.

Wreszcie uszu Olka dobiegło ujadanie psów.

— Zbliżamy się do siedziby ludzkiej! — zauważył.

Żabski w milczeniu skinął głową i ziewnął głośno.

Za zakrętem drogi, na obszernej polanie stała duża chata i kilka zabudowań gospodarskich. Dalej pod lasem za ogrodzeniem z żerdzi wznosiły się wysokie, podłużne stogi siana i pasły się krowy. Woddali po przez krzaki połyskiwało jezioro.

— Dojeżdżamy do Naumowej gajówki! — powiedział furman Poleszuk. — Patrz-no, jak te psy rwą się z łańcuchów... Och, straszne to i złe sobaki! Prawdziwe wilcze syny!

Istotnie dwa jasno szare o ciemnych łbach wilki, szarpiąc łańcuchy, skakały i wyły ponuro. Od czasu do czasu milkły, a wtedy rozlegało się suche kłapanie potężnych kłów.

— Oj, złe to wilczury! — rozwodził się Poleszuk. — Ileż to one prawdziwych wilków podusiły — strach! A mądre to psy! Ot teraz gotowe nas poszarpać, a przyjdzie Naum i zacznie z niemi rozmawiać, — umilkną i do bud powłażą... Tak ich nauczył stary łowczy...

Ze stodoły wyjrzała jakaś kobieta i machnęła komuś ręką. Za chwilę z poza domu wybiegł ogromny, o długiej, siwej brodzie chłop i, po drodze zapinając szarą kurtę z zielonym kołnierzem, szybkim krokiem wyszedł na drogę.

Poznawszy leśniczego, zdjął czapkę i w tej samej chwili urwało się wściekłe szczekanie.

— Wejdźcie do chaty! — zaprosił gości Naum. — Zdrożyliście się, panowie, bo droga tu u nas ciężka!

Głos miał poważny, basowy i dostojny.

Znać było po nim, że nieraz już rozmawiał z osobami wysoko postawionemi i nikt zapewne nie mógłby mu już zaimponować. Ujmował uprzejmością, lecz nie wyczuwało się w niej ani cienia uniżoności.

Posłyszawszy, w jakim celu zawitali tu niespodziewani goście, ucieszył się i zaczął wychwalać piękno i bogactwo swej puszczy olchowej.

— To widzę, żeście się dobrze dobrali z profesorem! — zaśmiał się Żabski. — On też bez zachwytu nie może mówić o tych okolicach!

— A jakże! — odpowiedział Naum. — Któż, gdy pozna, nie pokocha tego kraju?

Wypocząwszy trochę, wyruszyli pieszo do puszczy.

Stary łowiec prowadził gości, uzbroiwszy ich w mocne, wysokie tyki brzozowe.

— Profesor nazywa was dawną gwarą — osocznikiem... — zauważył leśniczy, z uśmiechem patrząc na starego.

— Ano — i słusznie! — zaśmiał się Naum. — Noszę nazwisko — Ostapczuk... Stara to rodzina w tych stronach, panie! Za Zygmunta-Augusta, prawego Jagiellona, siedzieli moi prapradziadowie nad Stwihą, a wszyscy już byli królewskimi osocznikami... Posiadamy nawet stare papiery z podpisami królów... a wszystkie zpowodu służby naszej w łowiectwie! Ot, widzieliście, panowie, polanę, gdzie gajówkę pobudowano? Moja to ziemia, przez Władysława króla nadana... choć my nigdy szlachtą nie byli...

Szli ścieżką, ledwie widzialną śród wybujałych paprotek, turzyc, czartawy[100] i czermienia[101].

— W takim to gąszczu spokojnie lęgnie się i żyje zwierz wszelaki! — odezwał się łowiec. — Znam ja tu każden ostęp, każdy skrawek kniei, niczem wyżeł wywęszyłem, do najdalszych zajrzałem mateczników!...

Powiedział to z dumą uczciwie spełnionego obowiązku i ciągnął dalej:

— Wszystko tu mamy! Łosie z rezerwatu przysłano tu w roku ubiegłym na wiosnę. Upodobały sobie sochacze[102] olosy nasze! Puściliśmy sześć sztuk, a teraz już żerują, wodząc za sobą pięcioro cielaków! Jeleni też się namnożyło i sarn aż zadużo! Przydałby się w puszczy jeden dobry, „szparki“ niedźwiedź, a lepiej ze dwu, żeby porządek zrobili... Dziki też... Strach, co się tu „czarnej zwierzyny“[103] napłodziło! Chodzi tu po puszczy jeden odyniec — „kapelusznik“. Gdy idzie i dmucha, to wszystko „pryska“, gdzie nogi poniosą, bo taki, powiadam panu leśniczemu, srogi! Oj, chwalić się nim dopiero będzie ten myśliwy, który go zwali!... Mam tu też pięć

gniazd rysich... Brakowało nam tylko bobrów, ale Bóg dopomógł... W uroczysku „Kryniczny Mech“ pozostały stare żeremia i dwa lata temu przywędrowały skądciś bobry i zajęły dawne „stojanki“[104]...
Ścieżka przebijała się przez gęste zarośla wierzbowe.
Osocznik z lubością im się przyglądał, mówiąc:
— Dobre oczerety[105]... bogate... i łowne, bo lubi w nich zając siedzieć, lis też w takich haszczach się pęta, cieciorki i „głucharki“ się gnieżdżą... Wilki też mają tu lęgi... A jakich tu tylko wierzb niema?
Olek ze zdumieniem słuchał, gdy Naum zaczął pokazywać leśniczemu różne krzaki i sypał nazwami:
— Rokicina, popielatka, wierzba laurowa i lapońska... lancetowata, migdałolistna... wierzba purpurowa...
Przedarli się wreszcie przez to kłębowisko wierzb i wyszli na skraj torfowiska.
Rosły na niem cienkie, mocno omszałe brzózki i nędzne sosenki, do pierwszych gałęzi ukryte w wysokich trawach i sitowiu.
— Tu w puszczy już i dęby się wybijają... Nie mają one bardzo wysokich pni, ale zato — rozłożyste! Na piachach — sosna strzela ponad wszystkie drzewa, ale inne to sosny — nie horyńskie... Słabsze są i drewno mają łamliwsze...
Naum umilkł nagle i przysiadł, ręką dając znać, aby leśniczy i Olek uczynili to samo.
Chłopak przykucnął przy starym łowcu i z kierunku jego wzroku starał się określić miejsce, na którem coś spostrzegł Ostapczuk. Olek nie mógł oczu oderwać od jego nagle skrzepłej twarzy i ostro patrzących, nieruchomych źrenic.
— Tam pomiędzy dwiema sosnami... — szepnął Naum.
Olek zaczął się wpatrywać w gęste zarośle na torfowisku, lecz nic dostrzec nie mógł.
Stary osocznik długo rozglądał się i rozmyślał, aż wreszcie pochylony nad ziemią jął przekradać się przez haszcze, stąpając ostrożnie. Długo gdzieś przepadł, ale, gdy powrócił, — oczy błyszczały mu niezwykle. Zacierał ręce i śmiał się radośnie.
— Chwała Bogu! — szepnął. — Niedźwiedź zawędrował do puszczy... Nieduży jeszcze... Zapewne piastun[106], którego stary „burczymucha“[107] od niedźwiedzicy odpędził...
— Skądżeż tu niedźwiedź? Nigdy o nich nie słyszano po wojnie... — spytał leśniczy.
— Mógł zabrnąć z Hryczyńskich błot, przed wilkami uchodząc, a może... z poza Stwihy, od ruskiej strony... — odpowiedział Naum, rozradowany, jakgdyby po spotkaniu najlepszego przyjaciela. — Ech! Teraz to już tylko brakuje nam... żubra!...
Żabski wybuchnął głośnym śmiechem i zawołał:
— Widzieliście takiego! On wszystkie zwierzęta umieściłby w swoich ostępach! Może jeszcze lwa chcecie i nosorożca?
Ostapczuk, uśmiechając się, machnął ręką i burknął:
— Tego nam nie trza! Nie nasze to stwory...
Wyszedłszy na ścieżkę, przecięli tę część puszczy olchowej, gdzie wyrastały już rozłożyste dęby, a na suchych wyżynkach — sosny. Wkrótce zaczął się znów gąszcz wierzbowy i z pomiędzy gałęzi wyjrzało

połyskujące w słońcu zwierciadło wody.
— Jezioro Zasumeńskie! — zawołał Żabski.
Poczęli zbliżać się do niego.
Ścieżka wybiegła na torfowisko, okryte wybujałemi zaroślami wełnianki, żórawiny, turzycy i knieci. Rosły na niem północne, otulone porostami modrzewnice, północne również karłowate sosny, czarne olchy, brzozy i osiki.
— Idziemy teraz nad dawną tonią jeziora, które z każdym rokiem zmniejsza się, bo torfy szerzą się coraz bardziej, aż kiedyś zniknie ono pod ich grubą warstwą i — umrze! — zauważył leśniczy.
— Każdego roku spostrzegam, że jezioro się kurczy! — potwierdził osocznik. — Nasz profesor mówi, że tak musi być, a ja się smucę jednak, że niebawem już nie będzie jeziora, do którego ojciec mój, dziad i pradziad sieci rzucali...
Leśniczy zaśmiał się i powiedział:
— A dlaczegoż to, panie Ostapczuk, nie smucicie się, że na wydmach piaszczystych rosną tylko sosny słabowite, suche mchy, blade porosty, wrzosy, jałowiec, borówki i mącznica? To przecież też niewesoły obraz? — Ileż to ziemi marnuje się bez korzyści...
— Prawda... prawda!... — mruczał osocznik. — Ale tam nic się nie zmienia, bo były wydmy i pozostają wydmy...
Ostapczuk stracił humor i, milcząc już, prowadził gości do domu.
Po obiedzie i krótkim wypoczynku leśniczy z osacznikiem poszli do lasu, aby obejrzeć rewir, napadnięty przez szkodliwe owady o co prosił Żabskiego profesor, Malewicz zaś w towarzystwie parobka, pracującego u Nauma, udał się na jezioro, zabrawszy ze sobą wędki, bosak i przynętę.
— Oj, panoczku, — mówił parobek, — toż to wy ryb nałowicie na takie dobre wędki! Czasami tylko, gdy kniaź[108] pismo przyśle, gajowy sieci rzuci do tej toni, a poza tem ryby żyją, jak im Bóg przykazał...
— Obaczymy — odpowiedział młody rybak, — już nieraz mówiono mi o obfitości ryb, a potem się okazywało, że cierniki jedynie się biorą. Bywa i tak!...
Szli ścieżką, wijącą się po torfowisku. Przedzierali się przez gąszcz traw i różnych krzewów tak wysokich, że z poza ich zielonej ściany nie widać było idących ludzi.
Cięły ich bąki i spłoszone komary.
Z pod nóg podrywały się sikory błotne. Z głuchym, gardłowym krzykiem przenosiły się nad torfowiskiem zaniepokojone kszyki; w krzakach olszowych kukała kukułka; zdaleka dobiegały jękliwe, chciwe zawodzenia rybitw, krążących nad jeziorem.
Doszli wreszcie do miejsca, gdzie ścieżka urywała się nagle tuż nad torfiastym brzegiem jeziora.
Stała tam płaskodenna dłubanka, uwiązana do wbitego w dno kółka.
Olek, wszedłszy do łódki, zaczął rozwijać linkę i składać wędzidło.
Parobek, stojący na rufie, łopaciastem wiosłem, wyprowadzał dłubankę na toń. Wreszcie stanął i oświadczył, że jest to najlepsze miejsce, gdzie właśnie najwięcej ryb chwyta gajowy, gdy siecią otoczy „zawodzie“, obrzeżone sitowiem i olszyną.
Olek zarzucił wędki, ale po chwili musiał wyciągnąć je, gdyż ryby wciągnęły pływaki pod wodę. Na haczykach chłopak nie znalazł jednak

ani zdobyczy ani też przynęty. Powtórzyło się to kilka razy, aż parobek, przechyliwszy się przez burtę i wpatrując się w ciemną toń, machnął ręką i powiedział:
— Nic z tego nie będzie, panoczku! Na dnie leży kilka martwych ryb. Obsiadły je raki... One to zrywają wam przynętę! Trzeba dalej podpłynąć!
Wkrótce stanęli znowu, znalazłszy głębsze miejsce, zdawało się, wolne od roślin wodnych.
Olek na nowo rozpoczął połów.
Pływaki długo tkwiły w wodzie bez ruchu.
Rybak siedział znudzony, coraz to klepiąc się w czoło i szyję, bo obsiadły je komary i dokuczały nieznośnie. Na dobitkę jakieś drobne muszki wpadały mu do oczu i wciskały się do nosa i uszu.
Zniechęcony, miał zamiar już powracać do gajówki, gdy w tej samej chwili coś wciągnęło pływak pod wodę.
Olek podciął ostrożnie i, czując, że na haczyk nadziała się ryba, wyciągał ją ostrożnie. Już plusnęła na powierzchni, gdy z głębiny śmignął ciemny cień, porwał rybę i zniknął z nią w toni.
— Coby to mogło być? — spytał parobka niezadowolonym głosem, zwijając resztki linki.
— Czy ja wiem?! — wzruszył ramionami Poleszuk. — Może „szczuka“[109] albo sum, a może...
Umilkł nagle i spuścił oczy.
— Cóżby to znów mogło być innego? — nalegał chłopak.
Parobek, nie patrząc na niego i rozpędzając łódź, mruknął:
— Zasumeńskie to jezioro... Wiadomo, że w niem żyją... „wodzianice“...
— Nie słyszałem o takich rybach...
— Też mówicie — ryby! To — rusałki... topielice, które wabią ludzi słodkiemi głosami, a gdy ci zbliżą się do jeziora, chwytają ich i wciągają na głębinę!...
— Nie opowiadajcie mi bzdur! — oburzył się chłopak.
Poleszuk nie odzywał się więcej, lecz coraz szybciej pochylał się i prostował, pędząc łódź ku brzegowi i z przerażeniem w oczach wpatrując się w ciemną głębię jeziora.
Gdy przybili do brzegu, parobek wyskoczył pierwszy i przeżegnał się trzykrotnie, westchnąwszy z ulgą.
— Sława Spasu[110]! — szepnął. — Na śmierć zapomniałem, że zbliża się noc Orabinowa...
— Orabinowa?... — powtórzył chłopak, nic nie zrozumiawszy.
— Trzy dni przed nią nie wolno tropić zwierza w lesie, szukać gniazd ptasich, rzucać sieci i węd do jeziora — odpowiedział drżącym głosem Poleszuk.
— Niech i tak będzie, — zgodził się Olek, — ale co to znaczy — Orabinowa?
— A kto ją wie? Tak nazywali ją starzy ludzie i tak już pozostało...
— Umiecie czytać i pisać? — spytał Malewicz parobka.
Ten potrząsnął głową i mruknął:
— A nie! Nie umiem...
— To odrazu widać, bo gadacie od rzeczy! — zawołał Olek i nagle zaświtała mu śmiała myśl.
— Przed tą waszą nocą Orabinową, czy jak ją tam... wolno się kąpać w

jeziorze, w którem żyją wodzianice czy nie? — spytał parobka, śmiejąc się w duchu.
— Niech was Bóg broni! — przeraził się młody Poleszuk. — Porwałyby was, załechtały i potopiły!
— Spróbujmy! — zaśmiał się Malewicz i zaczął zrzucać z siebie ubranie.
— Panoczku! Panoczku! — jęczał zabobonny chłopak.
Olek skoczył do jeziora i popłynął, silnemi ramionami tnąc ciemną wodę i pokrzykując żartobliwym głosem:
— Topielice, wodzianice, rusałeczki, cyp, cyp, cyp!...
Odpłynął daleko od brzegu, nurkując i rozrzucając mieniące się w słońcu i skrzące bryzgi. Pływał długo, kładł się na plecy i leżał nieruchomo na gładkiej powierzchni skazanego na zagładę jeziora. Gdy powrócił wreszcie i wyszedł na brzeg, parobek długo patrzał na niego z zachwytem i podziwem aż wreszcie szepnął:
— Staruchy takie bajdy wymyślają i tylko ludzi straszą bez potrzeby...
— A pocóż im wierzycie? — odpowiedział Olek pytaniem i zaśmiał się beztrosko.
Powrócili do gajówki Nauma bez zdobyczy.
Leśniczy, posłyszawszy to, zdziwił się.
— Panie Olku, co się stało? Pan, taki wprawny rybak, przychodzi z niczem?! — zawołał. — To niemożliwe!
— Możliwe, panie leśniczy! — zaśmiał się chłopak. — „Wodzianice“ pozrywały mi linki, bo trzeba panu wiedzieć, że te panie przed nocą Orabinową są w złym humorze...
Osocznik, ustawiający talerze na stole, zdumionem spojrzeniem obrzucił chłopaka i nagle roześmiał się na głos.
— To zapewne mój Demidka o tych gusłach panu naopowiadał?! — zawołał. — Tym starym bajdom wierzą jeszcze Poleszuki. — Co im czarownicy powiedzą, temu wnet posłuch dają.
— Czarownicy?! — spytał Olek, chytrze mrużąc wesołe oczy.
Ostapczuk nic już nie powiedział i tylko machnął ręką pogardliwie, bo stary osocznik, oddawna wprawdzie wiedział, że istnieją na świecie wierzenia i podania sędziwsze od najstarszych ludzi, dogorywających po chutorach, ukrytych w olosach i na ostrowach poleskich, lecz wiary już im nie dawał.

Rozdział XXV.

## „CZAROWNIK“.

Tymczasem w leśniczówce Wiadotupickiej koledzy Malewicza nie próżnowali, a Garzycki, który bardzo ich polubił, starał się nietylko uprzyjemnić im pobyt u siebie, ale uczynić go dla nich jak najbardziej pożytecznym.
Pani Wanda chodziła uśmiechnięta i cieszyła się, że przypadkowo przybyłą do leśniczówki młodzież udało się zatrzymać na czas dłuższy, co ożywiło cały dom i jego gospodarzy, przybitych samotnością i brakiem odpowiedniego towarzystwa.

Staruszka uśmiechała się chytrze i w duchu dziękowała Żabskiemu, że, zatrzymując u siebie Olka, zmuszał młodą kompanję do odkładania odjazdu.

Gruszczyński i Wyzbicki, naradziwszy się pewnego wieczora, postanowili pracą swoją odwdzięczyć się leśniczemu za gościnę.

Dowiedziawszy się, że Garzycki otrzymał papier od Dyrekcji lasów z poleceniem dostarczenia jej zbiorów szkodników, spotykanych w granicach leśnictwa, podjęli się wykonania tej roboty.

Całe dnie spędzali teraz w lesie, gromadząc setki różnych owadów i znosząc je do leśniczówki. Wieczorami pod kierownictwem pana Antoniego chłopcy wybierali sówki, prządki, mniszki, mszyce, korniki, różne gąsienice i liszki.

Wkrótce wiedzieli już, czego właściwie szukać należało.

W zbiorach ich poza szkodnikami znalazły się też pożyteczne owady, tępiące wrogów lasu.

W osobnych skrzyneczkach tkwiły, zatknięte na szpilkach piaskowce, — drapieżne chrząszcze, zabijające szkodliwe owady, zaczajone w piasku; tęczniki, należące również do rodziny chrząszczów, które polują na przeróżne ćmy, niszczące drzewa; kusaki — mordujące gąsienice korników; biedronki, pożerające mszyce, osiadłe na drzewach iglastych, i inne stworzenia, wskazane im przez Garzyckiego.

Gdy ukończyli tę robotę — wzięli się do następnej.

Pomagała im w tem Marynia, a w wolnych chwilach — nawet i sama pani Wanda.

Leśniczy nosił się z zamiarem ułożenia zielnika, zawierającego rośliny lecznicze, rosnące w lasach wiadotupickich.

Z tą robotą szło im jednak niesporo, gdyż Garzycki i jego matka znali się zaledwie pobieżnie na tej odrębnej części botaniki.

Z pomocą przyszedł im szczęśliwy zbieg okoliczności.

Do jednej z wiosek, leżących wpobliżu bagien Wyżarskich, przyjechał młody lekarz — Witold Misztowt. Przed rokiem dopiero ukończył on uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie i, korzystając z urlopu, zbierał właśnie materjał do rozprawy naukowej o lecznictwie ludowem.

Dr. Misztowt postąpił bardzo sprytnie, wynajął sobie bowiem na cały miesiąc znachora poleskiego i wraz z nim wędrował po lasach i bagnach, zbierając wskazywane przezeń rośliny i zioła.

Jurek i Stach spotkali obydwu w uroczysku Turzem i, dowiedziawszy się, co tu przygnało doktora, rozpoczęli razem z nim i znachorem wspólne wyprawy.

Znachor, którego drwale nazywali „czarownikiem“, miał pozornie tylko wygląd ponury, a nawet odrażający. Małe czarne oczki jego jarzyły się z pod zwisających gęstych brwi i biegały ustawicznie, unikając wzroku innych ludzi. Brudny, odziany w jakieś dziwne łachmany — zbieraninę różnokolorowych szmat, któremi łatano niegdyś jego świtkę, koszulę i portki, brodaty i ospowaty, okazał się bardzo rozmownym i wcale niegłupim człowiekiem. Na leczniczych ziołach i ich zastosowaniu w medycynie ludowej znał się wybornie, ale zato jego ględzenie o pochodzeniu i przebiegu chorób śmieszyły lekarza.

Doktór Misztowt starał się objaśnić znachorowi prawdziwy obraz najbardziej znanych na Polesiu chorób i budowę organizmu ludzkiego.

Fedor Konopat — tak się nazywał znachor — słuchał uważnie, lecz wkońcu machał ręką i mruczał:
— To zbyt mądre dla mnie! Jak mnie uczyli starzy znachorzy, tak i ja już będę myślał, mówił i leczył...
Śmiał się przytem, dowcipkował i opowiadał zabawne dykteryjki. Do żartów wogóle ochoczy był w każdej chwili, choć nie licowało to bynajmniej z jego ponurym wyglądem zewnętrznym i tajemniczym tytułem „czarodzieja“.
Od tego to Konopata przedewszystkiem doktór Misztowt, a potem i młodzi turyści dowiedzieli się różnych niezmiernie ciekawych szczegółów z praktyki lekarskiej znachora poleskiego.
Czarownik zrywał coraz to nowe zioła i trawy i gadał bez przerwy:
— To są babki — skuteczne na rany od kosy i siekiery, ale nie od kuli, bo ona nie jest z żelaza! Dobrym jest lekiem jałowiec! Czyści krew, pomaga na spuchnięcie i koi bóle w kościach i ciele, gdyż „romatus“[111] boi się tego ziela! Widzicie łopian? Taki zwykły chwast, a niema lepszego lekarstwa na ból głowy, na wrzody i wypadanie włosów!... Słyszałem, że w Warszawie fabryki przyrządzają olejek łopianowy dla łysych... Cha—cha—cha! W Warszawie, powiadają ludzie, każdy piąty pan — łysy, niczem moje kolano! Cha—cha—cha!
Doktór przerwał rechotanie znachora, pytając go żartobliwie:
— Wy, Konopat, chyba żujecie łopian, bo kudły macie nie gorsze niż niedźwiedź.
— Cha—cha—cha! — śmiał się jeszcze głośniej „czarownik“. — U nas nie znajdziecie łysych! Nasza woda poleska — najpierwsze to lekarstwo na włosy...
Po chwili ciągnął mrukliwym i przyciszonym głosem, jakgdyby powierzając swoim znajomym wielką tajemnicę.
— Rany, zadane kulą, zębami lub pazurami, goją się pod młodemi liśćmi olchy... Piołunem, skrzypem, macierzanką i miętą leczą bóle żołądka, kiszek i nerek, bo nerki, widzicie...
Zaczął teraz coś pleść od rzeczy, wykładając swoje poglądy na ten ważny organ w ciele człowieka, aż Misztowt zamachał na niego rękami i, zatykając sobie uszy, zawołał:
— Ani słowa o nerkach, znachorze, bo wrzucimy was do topieli! Gadajcie o waszych ziołach i — tyle!
Stary Fedor śmiał się na głos, a, uspokoiwszy się, opowiadał dalej:
— Napar z wrzosów najsłabowitsze dzieci wzmacnia i uzdrawia tak samo, jak paproć i chabry „wypędzają“ z piersi gruźlicę i kaszel. Na złamane kości kładę gorące okłady z żywokostu, dobrze przeżutego i z pajęczynami zaprawionego...
Długo jeszcze mówił o leczniczych właściwościach rdestu, piołunu, czarnych jagód, kacanek, bratków, dziewanny, belicy i kwiatu lipowego, ożywiając to wszystko wesołemi opowiadaniami lub tajemniczemi historjami, w które sam napewno nie wierzył, bo chytrze przytem mrużył oczy i uśmiechał się pod wąsem.
Misztowt zapisał kilkanaście stronic notatnika, umieszczając w nim nazwy roślin, ich zastosowanie w lecznictwie ludowem i legendy, związane z tem lub innem zielem, a tak barwnie, zajmująco opowiedziane przez znachora i „czarownika“.

Podczas krótkich wypoczynków kudłaty Fedor, zerkając na słuchaczów przebiegłemi oczkami, prawił o starodawnych zabobonach, które przetrwały jeszcze na Polesiu w najdalszych, od świata odciętych wioskach i samotnych chutorach, a w tych opowieściach doktór odnajdywał echa pogańskich jeszcze czasów, gdy w całym kraju, przeciętym Prypecią, składano ofiary dawnym bogom. Konopat opisywał różne sposoby zwalczania zarazy morowej śród bydła, wścieklizny, odpędzania złych czarownic, powodujących choroby, nieurodzaj i inne klęski; magiczne formuły przebłagania rusałek, aby nie szkodziły ludziom i nie plątały sieci rybakom.
Fedor tak się rozochocił, że odśpiewał nawet strofkę z pieśni, rozbrzmiewającej na Polesiu w noc Świętojańską:

Kupało, Kupało, hdzież ty zimu zimowało?
Hdzież ty lito litowało?
Zimowało w pirjejku,
A litowało w ziljejku[112]...

Po trzech dniach wypraw botanicznych leśniczy dostał od młodych przyjaciół blisko sto arkuszy bibuły, w której się suszyły lecznicze zioła i krzewy. Jurek zaopatrzył każdy okaz w opis miejsca, gdzie roślina została znaleziona i w jakich wypadkach bywa stosowana przez znachorów.
Garzycki gorąco dziękował przyjaciołom za cenną pomoc.
Dziękowała im też i pani Wanda, bo wraz z Marynią uzbierała spore pęki arniki, babek, dziewanny, chabrów i żywokostu.
— Taką konkurencję zrobię rychło „czarownikowi“, że wyniesie się chyba z naszej okolicy! — śmiała się staruszka, zacierając ręce.

Rozdział XXVI.

## POŻAR LEŚNY.

Pewnego razu, gdy leśniczówka pogrążona była we śnie, rozległo się nagle ujadanie psa. Chłopcy podnieśli głowy i nadsłuchiwali.
Uszu ich dobiegł wkrótce tupot cwałującego konia.
Po chwili urwał się tuż przed gankiem.
Ktoś dobijał się teraz do drzwi i wołał strwożonym głosem:
— Panie leśniczy, otwórzcie!
— Kto tam tak łomocze? — rozległ się głos Garzyckiego.
— To — ja, Maksym Ucios — gajowy...
— Co się u was stało? — z niepokojem spytał leśniczy, wpuszczając go do sieni.
— Nieszczęście, panie, nieszczęście! — jęknął gajowy. — Mój leśniczy zachorował i musiałem odwieźć go do Pińska... Podleśniczy wyjechał na urlop do Lwowa... Nikogo w lesie niema, a tu raptem w Lipowem Uroczysku pożar wybuchnął... w kilku naraz miejscach...
Garzycki nie słuchał dalszego meldunku.
Wypadł na ganek i huknął w mrok:

— Ostap! Kondrat!...
Niebawem nadbiegli parobek i furman leśniczego.
— Ostapie! Osiodłasz bułanka i popędzisz do Budniaka. Powiesz mu, że pali się Lipowe Uroczysko! Niech bierze wszystkich drwali i chłopców od wozów, da im siekiery, piły i łopaty i — biegiem, biegiem prowadzi na pożar!... Zaraz sam przyjadę. No — ruszaj! Kondracie, zaprzęgaj konie!
Wydawszy rozkaz, zwrócił się do gajowego Maksyma i spytał:
— Znacie drogę przez Hniłuchę na Nowosiele nad Bobrykiem?
— Znam, panie leśniczy! Toż ja w drugim rewirze gajował przez dwa lata — odpowiedział Maksym.
— Dobra! — ucieszył się Garzycki. — Jedźcie tam tedy czemprędzej i zapytajcie o Seweruka, a, gdy go znajdziecie, powiedzcie mu ode mnie, żeby z tym swoim sąsiadem, z którym widziałem go na Wyżarach, biegł na pożar. Niech zwoła jak najwięcej ludzi i prowadzi do uroczyska... Zapłatę dostaną... powiedzcie im tylko, żeby koni nie żałowali i własnych nóg... A nie zapomnijcie o siekierach i łopatach!
Gajowy wskoczył na siodło i po chwili tupot kopyt zaczął się szybko oddalać.
Chłopcy, nie umawiając się, zerwali się z tapczanów i zaczęli się szybko ubierać.
Jurek wbiegł do biura, gdzie przed chwilą wszedł leśniczy.
Garzycki ze zdumieniem podniósł na niego oczy.
— Obaj jesteśmy już gotowi i do dyspozycji pana! — oznajmił Jurek stanowczym i poważnym głosem.
Pan Antoni w milczeniu skinął głową.
Rozumiał, że odmówić im nie może, zresztą silni, inteligentni chłopcy mogli mu się bardzo przydać w walce z pożarem leśnym, gdy przerażeni Poleszucy potracą głowy.
Wsiedli więc we trzech na linijkę i ruszyli.
Powoził sam leśniczy, poganiając konie w milczeniu.
Gdy przejechali już około sześciu kilometrów ujrzeli przed sobą łunę. Ni to czerwona płachta, zawieszona pod obłokami, drgała i kołysała się nad ciemnym lasem. Chwilami stawała się jaśniejszą, a wtedy można było spostrzec oświetlone od dołu kłęby dymu, buchające coraz wyżej.
Powiał nagle wiatr i przyniósł zapach spalenizny i płonącej żywicy.
Las obniżył się wkrótce i droga wiła się kręto w młodniaku sosnowym.
Jurek zobaczył miotające się z poza piaszczystych wydm żagwie i iskry, wyrzucane wysoko w powietrze.
— Rozhulał się na dobre „czerwony kur“[113] — syknął Garzycki i zaciął koniki.
Zbliżali się coraz szybciej do palącego się lasu.
Zapanowało już w niem przerażenie.
Ogień szerzył lęk i siał obłęd.
Drogą pędziły, prześcigając się, oszalałe dziki, sarny i jelenie, co chwila wpadały pod koła linijki mknące naoślep zające i wiewiórki; lis, wypadłszy z krzaków, usiadł na drodze i nie ruszał się. Dopiero po okrzyku leśniczego uskoczył nabok, lecz tuż na skraju krzaków usiadł znowu.
Minąwszy pagórkowatą miejscowość, ujrzeli jak na dłoni płonące uroczysko.
Słupy dymu i ogniste języki przerywały się przez gęstwinę koron w trzech

naraz miejscach.
Leśniczy, popędzając konie, mruczał coś do siebie.
Chłopcy ze zgrozą przyglądali się strasznemu, nielitościwemu żywiołowi i milczeli.
Minęło jeszcze kilka minut, gdy zaczął dobiegać ich trzask palących się drzew.
W powietrzu, roznosząc pożogę, latały płonące gałęzie smolne; ognistym deszczem spadało palące się igliwie; po wrzosowisku biegły strugi ognia i nagle wylatywały do góry, niby szkarłatne słupy, gdy płomień ogarniał mchy, krzak jałowcowy lub niemal spróchniałą już kupę posuszu, wybuchającego, jak proch.
Jacyś ludzie niby czarne widma na czerwonem tle pożaru, biegali bezładnie, krzyczeli i bezmyślnie zaczynali rąbać drzewa, a, nie zwaliwszy żadnego, pędzili dalej.
Garzycki zatrzymał konie, rzuciwszy lejce Stachowi.
Chłopak uwiązał je do samotnie stojącej wierzby i dogonił leśniczego.
Szybko obiegli cały rewir.
Garzycki poznał już teren i odrazu obmyślił plan walki z pożarem.
Zwołał ludzi, bez celu i pożytku miotających się po lesie, i przemówił do nich.
— Ten matecznik, co się kończy nad Bobrykiem, musi się spalić... Na to już niema rady! Trzeba tylko zatrzymać w nim ogień, aby nie przerzucił się dalej na sosnowy rewir! Wszyscy stawajcie tam do roboty! Rąbać drzewa liściaste, a tak, aby wierzchołkami padały w stronę ognia... One się nieprędko zapalą! Kopać ziemię i przysypywać nią wrzosowisko!...
Odesłał ludzi pod wodzą Stacha, który odrazu zrozumiał cały plan leśniczego i postanowił wykonać go jak najlepiej.
Spostrzegłszy, że kopanie gleby, okrytej siecią korzeni i wrzosami, postępuje bardzo wolno, postanowił zrobić tak, jak opisują autorzy amerykańscy sposoby gaszenia pożaru stepowego.
Skrzyknąwszy więc kilku ludzi z łopatami, kazał im rzucić płonące gałęzie na suche, łatwo palne wrzosowisko, skierowując ogień w stronę szerzącego się pożaru. W ten sposób szeroki pas lasu został pozbawiony suchego, łatwo palnego runa.
Pracując razem z drwalami Maksyma, Stach nie słyszał nic poza wyciem, trzaskiem i sykiem, któremi był przepełniony ogarnięty ogniem las.
Nawet łomot siekier i huk padających drzew nie mogły się przebić przez jazgot ogłuszających dźwięków i panujący tam zgiełk.
Z palącego się matecznika biegły gorące podmuchy wichru, opalały żarem i odurzały dymem. Co chwila, zapalały się coraz to nowe drzewa, wybuchając niby pociski armatnie.
Wyzbicki osmolony i odurzony żarem i dymem, nie słyszał, że z dwóch stron naraz rozległy się krzyki i nawoływania tłumu, a po chwili — częstotliwe łomotanie siekier po pniach, trzask i huk padających drzew.
Niby przez mgłę widział ptaki, krążące nad ognistem morzem i wpadające w rozszalałą zwarę płomieni; nietoperze, naoślep lecące w ogień, duże i małe ćmy, miotające się w rozpalonem powietrzu.
Z głośnym furkotem i złośliwem syczeniem spadały rozwichrzone gałęzie, wymachując płomiennemi językami, tryskały snopami iskier i zapalały krzaczki wrzosów i smolną leżaninę.

Ogień, cieknąc po ziemi, docierał do suchych, butwiejących sosen, szybko ogarniał ich strzały, aż zapalały się wielkim płomieniem w jednej chwili niby potworne pochodnie — zwiastunki klęski i zagłady. Tymczasem leśniczy z Jurkiem pracowali w innych miejscach. Jurek wraz z Budniakiem i jego drwalami wycinali szerokie pasmo boru sosnowego, obrąbując gałęzie i przysypując je piaskiem. Pożar, doszedłszy do wyciętego pasma, musiał się zatrzymać, nie mając nowego żeru. Garzycki kierował partją, przyprowadzoną przez gajowego Maksyma Uciosa.

Ludzie wycinali sosny, usiłując otoczyć płonącą część boru szerokim duchtem[114], którego nie mógłby przekroczyć ogień.

Szuhaleje, duszehubki i obijaniki suną po rozlewisku rzecznem. Na czele chłopów, przyprowadzonych z nad Bobryka, w samym ogniu niemal szalał Seweruk, a obok niego rzucał się też chudy, brodaty Poleszuk, schwytany przez Wyzbickiego na Wyżarach.

Od samego dzieciństwa nawykli obaj do spuszczania drzew, to też pracowali z takiem zacięciem, że leśniczy nie mógł się nadziwić. W czerwonej poświacie pożaru siekiery ich tworzyły błyskawice, a pod ciosami ostrz leciały odłupane szczapy i jedna po drugiej kładły się pokotem sosny. Spostrzegłszy, że któryś z Poleszuków zaczyna się już męczyć i zmniejszać szybkość pracy, Seweruk wydawał groźny okrzyk, a błyski jego siekiery stawały się jeszcze szybsze, nieuchwytne prawie. Przez całą noc i następny dzień aż do zachodu słońca trwała ciężka walka z pożarem leśnym. Wreszcie ludzie zwalczyli ogień. Matecznik nad rzeką wypalił się istotnie, lecz poza zwalone drzewa ogień przerzucić się nie zdołał. W innych rewirach wyrąbane pasma leśne zatrzymały szerzący się pożar. Leśniczy polecił obydwu gajowym sprowadzić pompy ręczne i ostatecznie zagasić tlejące i dymiące się jeszcze drzewa, a potem jak najstaranniej zalać wrzosowiska i warstwice burych, zeszłorocznych iglic sosnowych. Skończywszy z tem, wydał gajowym poświadczenia na dowód

przepracowanych godzin. Mieli podjąć pieniądze w nadleśnictwie i wypłacić je Poleszukom, wezwanym na gaszenie pożaru.
Do siedzącego już na linijce Garzyckiego podszedł Seweruk.
— Ja nie wezmę zapłaty, panie leśniczy... — burknął cichym głosem, zdejmując czapkę.
— No, to zapewne chcecie, żebym zamiast pieniędzy skrócił wam termin pracy karnej? — spytał pan Antoni.
— Nie, panie leśniczy! Ja swoje odrobię... Dziś przyszedłem, bo gajowy powiedział, że to pan zwołuje ludzi... Dla pana tylko przyszedłem i... zawsze przyjdę...
Garzycki popatrzył na niego badawczo, ale nic na to nie odpowiedział.
Już konie ruszyły, gdy, przypomniawszy sobie coś, leśniczy obejrzał się i krzyknął:
— A jak się ma żona wasza?
Poleszuk w kilka susów dopędził linijkę i, biegnąc obok, mówił:
— Zdaje się, że będzie dobrze! Już weselsza jest i nie tak słaba... Panie leśniczy, panie leśniczy...
— Co tam jeszcze? — nie patrząc na Poleszuka, mruknął pan Antoni.
— Panie leśniczy... Opowiedziałem żonie wszystko, jak na spowiedzi... Wtedy ona... zapłakała i...
Garzycki zaciął konie.
Pobiegły kłusem.
Wózek potoczył się szybciej, a w turkocie jego kół utonął głos Seweruka.
Jurek, przyglądając się temu spotkaniu, zdziwił się narazie, lecz po chwili zrozumiał postępowanie leśniczego. Nie mógł on dopuścić do żadnej poufałości człowieka, który zabił mu bobra. Jako urzędnik chciał czemprędzej widzieć swego niedoszłego mordercę, odbywającego wyznaczoną mu karę za niedozwolone polowanie.
A może przykro mu było, że chora żona Seweruka zapłakała i zapewne troska się teraz i boi o swego męża, nie dowierzając mu?
Gruszczyński o nic nie pytał jednak leśniczego.
Znużeni śmiertelnie milczeli wszyscy trzej, marząc o prysznicu i łóżku. Byli tak przepracowani, że nie czuli nawet głodu.
Jechali teraz inną drogą, która wybiegła na brzeg Bobryka.
Przejeżdżając wbród jeden z dopływów rzeki, leśniczy zatrzymał nagle konie i, stęknąwszy, bo bolały go stawy, zeszedł z linijki i skierował się brzegiem rzeczułki.
— Co pan tam spostrzegł? — dopytywali się chłopcy.
— Zaraz zobaczymy, — odpowiedział, — nie wiem jeszcze, może się pomyliłem...
Doszli wkrótce do miejsca, gdzie w krzakach stał mały kureń.
Nikogo w nim nie było. Przed wejściem leżały trzy okopcone kamienie — ślad ogniska.
Przeszli jeszcze kilkadziesiąt kroków i za ostrym zakrętem rzeczki ujrzeli wbite w jej łożysko pale, oplecione gałęziami.
— Tama, czy co? — zdumiał się Stach.
— Nie! — potrząsnął głową leśniczy. — Jest to zakazany przez prawo „jaz“... Najdrapieżniejszy sposób łowienia ryb! Poleszucy budują takie zagrody na wiosnę, gdy ryby dążą ku źródłom rzek na „nerest“, to znaczy na składanie ikry. Napotykając przegrodę, ryby zaczynają gromadzić się

przed nią, a wtedy łowiec otwiera jedno wąskie przejście, za którem ustawia wiersze, mereże, więcierze i inne sieci i pułapki... W ten sposób tępi wszystkie ryby, pozbawia rzeki narybku i niszczy dobytek państwa... Przepisy ochrony ryb zabraniają stawiania jazów. Na dużych rzekach Poleszucy zaniechali już takich rabunkowych połowów, ale po małych rzeczkach i potokach leśnych pełno jeszcze tego...
Zniszczywszy jaz, powrócili do koni i wgramolili się na twardą, roztrzęsioną linijkę.
Konie szły wolno, bo droga wybiegła na szmat sypkich piasków.
Wjechali wreszcie do olszyńca.
Skacząc po korzeniach i kołami wpadając w wyboje, linijka, skrzypiąc i chybocąc, sunęła przez las.
Już zmierzch zapadał.
Chłopcy tracili nadzieję, że dojadą dziś do przytulnej leśniczówki. Nagle wyłoniła się przed niemi w otoku czarnych dębów, wabiąc ku sobie czterema oświetlonemi oknami i latarnią naftową palącą się przed gankiem.
— Hurra! — wydali chłopcy radosny okrzyk.
Odpowiedziały im szczekanie psa, tupot butów nadbiegającego parobka, a po chwili strwożone głosy pani Wandy i Maryni:
— Nareszcie! Nareszcie! Byłyśmy bardzo o was niespokojne!...

Rozdział XXVII.

## NIEDŹWIEDŹ.

W dwa dni po pożarze w Lipowem Uroczysku do leśniczówki przybył dawno oczekiwany Olek.
Przyjazd jego dał hasło do odjazdu młodych turystów.
Ze smutkiem i wzruszeniem żegnała młodzież państwa Garzyckich, którzy poza dobrocią swoją dla nich, dali im całe skarby wiadomości i wrażeń nigdy niezapomnianych.
Jurek, długo i serdecznie ściskał leśniczemu dłoń i na pożegnanie, gdy stali już przed gankiem, powtórzył wypowiedziane kiedyś przez siebie słowa:
— Jakżebym pragnął spotkać pana, gdy będę już człowiekiem samodzielnym!
— Kto wie? Może do tego czasu zmienię się gruntownie i pan, panie Jerzy, nie będzie rad z odnowionej znajomości?... — uśmiechając się smętnie, szepnął Garzycki.
— Nie! — zawołał z przerażeniem w głosie chłopak. — To byłoby straszne! Pan nie może się zmienić!
Ostatnie słowa pożegnania i podziękowania, uściski, wiwaty, brzmiące jednak smutno, i — wszystko się skończyło.
Po chwili leśniczówka, w której przeżyli tyle pamiętnych i doniosłych w ich życiu chwil, znikła z przed oczu młodych turystów, gdyż las ogarnął ich ze wszystkich stron.
Mieli przed sobą około sześćdziesięciu kilometrów do Pińska.

Z małym wyjątkiem szli traktem, na znacznej przestrzeni przecinającym lasy nadleśnictwa pińskiego. Późnym wieczorem stanęli w Łohiszynie. Przenocowawszy w zajeździe, od samego rana obiegli to małe, bardzo niezamożne miasteczko, podupadłe wraz z rozbiorem Polski. Nic tu nie przypominało młodym podróżnikom dawnej świetności Łohiszyna, gdy to miasto należało do książęcego rodu Radziwiłłów, którzy ozdobili go piękną świątynią i gmachami starostwa. Opuściwszy Łohiszyn, przez pewien czas szli pomiędzy polami, gdzie wśród żyta biły w oczy barwne plamy chabrów i maków, aż trakt doprowadził ich znów do lasu. Po godzinie marszu zaczęli napotykać miejsca bagniste, częściowo przecięte groblami lub zwykłemi w tym kraju dylowatemi „nakatami“ i wkońcu ujrzeli przed sobą burą wstęgę Jasiołdy. Przeprawiono ich promem na drugą stronę rzeki, gdzie podróżnicy wypoczęli i posilili się, aby już nigdzie nie stając, przed zachodem słońca dojść do Pińska. Ostatni odcinek traktu biegł przez pozbawioną lasów, falistą równinę. Widniały wszędzie ubogie wioski poleskie; wznosiły się ponad szarem zbiorowiskiem chat kopulaste cerkiewki drewniane, tam i sam błysnęły białe kolumny dworu i strzelił dzwonnicą ku niebu kościół murowany. Wieśniacy pracowali w polu. Pastuszkowie paśli na łąkach bydło, pletli łapcie i grali na fujarkach. Stary pastuch, oparłszy długą na trzy metry trąbę, zwiniętą z brzosty[115], tak zwaną po polesku „trubę“, wydawał ponure zawodzenia, to groźne, to pełne niewypowiedzianej skargi. W kilku miejscach Jurek spostrzegł głębokie rowy, najczęściej suche już i zarośnięte krzakami. Były to dawne kanały, które uczyniły z połaci bagnistej ziemi, wciśniętej pomiędzy Piną i Jasiołdą, kraj rolny i gęściej zaludniony. Turyści spotykali na trakcie wozy włościańskie, dążące na jarmark do Pińska lub powracające ze stolicy poleskiej. Doszedłszy do miasta, znużonym krokiem skierowali się do schroniska. Zanim siostra i przyjaciele zdjęli plecaki i umyli się naprędce, Jurek pobiegł na przystań, aby obejrzeć kajaki. Leżały w szopie, starannie opięte płótnem i nieuszkodzone. Chłopak spokojny już o dalszą podróż powrócił do schroniska i, przebrawszy się w strój kąpielowy, skoczył do rzeki. Napływawszy się, odświeżony i wypoczęty, poszedł wraz z Marynią do miasta po zakupy prowjantów, uśmiechając się na wspomnienia kiwającego się i milczącego Stacha, znużonego drogą. Olek, lekko utykając po długim marszu, wybierał się na ryby, chociaż nie rokował sobie wspaniałego połowu, gdyż widział już, że innym chłopakom brały się wyłącznie cierniki i piskorze. Spędziwszy jedną noc w schronisku, o świcie turyści byli już na Pinie, powolnie płynącej wśród niskich, błotnistych brzegów. Koło południa nad rzeką zaszumiał las, a wtedy ujrzeli białe napisy na słupach „Kanał Królewski“.

Tę sztuczną drogę wodną, łączącą morze Czarne z Bałtykiem przez Dniepr, Prypeć, Muchawiec, Bug i Wisłę, zapoczątkowano w roku 1780 za panowania króla Stanisława Augusta, ukończono zaś już przez rząd

rosyjski w roku 1839.
Kilka jezior dostarcza potrzebnej dla żeglugi ilości wody. Jeziora Orzechowiec, Orzechowskie, Święte, Wolańskie i Białe oddają zapasy wody kanałowi. Dla podniesienia poziomu jej służą tamy i śluzy na samym kanale i na rzece Muchawcu. Wody gruntowe z bagien i torfowisk nadbrzeżnych spływają również do koryta tej drogi wodnej.
Kanał Królewski ciągnie się na przestrzeni 216 kilometrów, ma szerokość około 22 metrów i głębokość półtora metra.
Kajaki szybko sunęły wzdłuż umocowanych faszynami brzegów.
Podróżnicy zrzadka spotykali płaskodenne duby, płynące z ładunkiem drzewa.
Załoga popychała je długiemi bosakami lub holowała na sznurach, idąc ścieżką, wydeptaną na brzegu.
Kajaki mijały te ciężkie, małe krypy. Chłopcy pozdrawiali mozolnie pracujących ludzi. Poleszucy odpowiadali im uprzejmie.
Młoda kompanja pierwszą noc spędziła w wiosce Kuźliczynie, położonej tuż przy stacji kolei wąskotorowej, łączącej Telechany z Kamieniem Koszyrskim.
Spotkali tam kilku ziemian, którzy opowiadali im, że o jakieś 15 kilometrów na północ znajduje się miasteczko Janów, gdzie niegdyś złożone zostały zwłoki apostoła Polesia, błogosławionego Andrzeja Boboli, zamordowanego podczas wojny polsko-kozackiej w w. XV-ym.
Nazajutrz, wyruszywszy w dalszą drogę, turyści płynęli szybko i bez wypoczynku aż do ujścia rzeczki Sosnowieckiej, gdzie zupełnie przypadkowo zmuszeni byli pozostać przez całą niemal dobę.
Stało się to z tego powodu, że spostrzegli na brzegu kanału tłum ludzi, wymachujących rękami i krzyczących przeraźliwie.
Jurek zawsze chętny do pomocy lub obrony, przybił do brzegu i zapytał wieśniaków o przyczynę niepokoju.
Jakiś młody chłop, poprawnie mówiący po polsku, opowiedział mu, że do okolicznych lasów niewiadomo skąd zabłąkał się niedźwiedź.
Drapieżnik grasował już od kilku dni, czyniąc znaczne szkody wieśniakom, gdyż zdążył już zagryźć dwie krowy i źrebaka.
Bury bandyta odznaczał się taką zuchwałością, że wpadł nawet na stado w oczach pastuchów i kosiarzy, pracujących na łące.
— Myśleliśmy, — skarżył się Poleszuk, — że pójdzie sobie dalej, bo zabrnął tu zapewne z poza „ruskiej“ granicy i przekrada się do Białowieży, ku dawnym „łomom“ i „budowiskom“[116]. Ale gdzież tam?! Zapadł w haszczach na Ślepem Bagnie, tuż — tuż przy drodze i wczoraj rzucił się na baby, które powracały z pogrzebu, poranił i nastraszył je na śmierć... Powiadomiliśmy policję... Dziś właśnie mają przyjechać myśliwi i ubić złego kudłacza... Czekamy na ich przybycie, gdyż w „huczki pójdziemy“, aby wypędzić niedźwiedzia na strzelców.
Jurek przekonywał swoją kompanję, aby wziąć udział w polowaniu.
— Zrozumcież — mówił do towarzyszy i siostry — że muszę przy tak niezwykłej sposobności sfilmować króla polskiej kniei! Zaryzykujemy jeden dzień! Takie zdjęcie warte jest i dłuższej nawet zwłoki w podróży!
Widząc zapał przyjaciela, koledzy zgodzili się natychmiast i, obiecawszy niedużą zapłatę dozorcy nad odcinkiem kanału, zaczęli ulokowywać się w jego domku.

— Niestety, nie będę ci jutro towarzyszył, bo mi jakoś ból dokucza w nodze! — oznajmił Olek, patrząc na Gruszczyńskiego. — Pozostanę na straży przy Maryni, a może uszczknę sobie jakąś rybkę na kolację!
Jurek przygotowywał już swoje aparaty do zdjęć, wkładając nowe rolki i nawijając wstęgę filmową. Stach zaś czyścił lufę karabinka, gdy nadpłynęła motorówka z sześciu myśliwymi.
Panowie zgodzili się wziąć ze sobą dwu chłopaków, uprosiwszy Gruszczyńskiego o sfotografowanie całej paczki myśliwych przy zabitym niedźwiedziu.
Wkrótce przeszli spory szmat lasu i, nie wypłoszywszy zwierza, dotarli do Ślepego Bagna.
Mechowe błoto, porośnięte wysoką trawą, cienkiemi świerkami i brzózkami, leżało pomiędzy dwiema ścianami borów.
Nad sitowiem i krzakami unosiły się wrony. Krakanie ich dobiegało uszu myśliwych.
— Zapewne, leżą tam gdzieś resztki porwanych przez niedźwiedzia krów! — szepnął komisarz policji, kierujący wyprawą, i zaczął tłumaczyć Poleszukom, co mają robić i skąd zaczynać pędzenie zwierza.
Wieśniacy zdaleka otaczali błota, idąc bez hałasu i kryjąc się w gąszczu.
Myśliwi rozstawiali się na przesmykach, któremi niedźwiedź mógł wyjść na nich.
Stach, na wszelki wypadek, trzymając w ręku karabinek, pozostał przy Jurku.
Gruszczyński umieścił aparat na trójnogu i skierował go na duży wyżar, ledwie okryty rzadką trawą i suchemi badylami.
Długo obchodzili bagno „huczki“, aż oba ich skrzydła złączyły się wreszcie.
Zwierz został ogarnięty miotem i miał do wyboru, albo pójść na myśliwych, albo przerwać się przez nagankę, pozostawiając wyraźny ślad na miękkiej ziemi.
Poleszucy szli, łomocąc kijami i krzycząc — narazie nieśmiało, a potem coraz głośniej.
Minęli już krzaki, rosnące na wąskim końcu bagna i zbliżali się do rowu, przecinającego błotnistą kotlinę, ale zwierz nie zdradzał swej obecności.
— Uszedł, czy co? — posłyszał Jurek głos najbliższego strzelca i w tej samej chwili spostrzegł niedźwiedzia.
Zwierz wypadł z haszczy i, niby czarny głaz, potoczył się przez zieloną równinę, zdążając w stronę lasu.
Gdzieś na skrzydle huknął strzał. Niedźwiedź zmienił odrazu kierunek i z niezwykłą zwinnością, skacząc przez rowy i kałuże, popędził w inną stronę.
Jurek syknął z rozpaczy.
— Przerwie się przez linję naganiaczy! — zawołał, obejrzawszy się na Stacha.
Niedźwiedź jednak zawrócił nagle i popędził wprost na Jurka, potrząsając łbem.
Odważny chłopak filmował go spokojnie, nie myśląc nawet o niebezpieczeństwie. Bury kosmacz, ujrzawszy ludzi, z głuchem mruczeniem potoczył się jeszcze prędzej i, postanowiwszy zapewne być jak najdalej od tej niegościnnej miejscowości, rwał przez haszcze,

uchodząc z miotu.
Szare tego dnia niebo ściemniało nagle. Zaczął padać deszcz i wkrótce przeszedł w ulewę. O tropieniu i pościgu kosmatego uciekiniera mowy być nie mogło.
— Oby tylko Olek naciągnął płótno na kajaki! — zaniepokoił się Jurek.
— Nie pierwszyzna to dla niego! — odezwał się Wyzbicki, otulając kurtką lufę strzelby. — Wie on, co należy robić w takich wypadkach!
Powrócili przemoknięci do nitki i zziębnięci, gdyż zerwał się porywczy wiatr i w jednej chwili ochłodził powietrze.
Chłopcy szczękali zębami i dygotali z zimna.
Musieli się przebrać od stóp do głów, napić się gorącej herbaty i nawet przełknąć po pastylce chiny, na co stanowczo namawiała ich Marynia.
Ulewa trwała i turyści czuli się szczęśliwi, że w taką niepogodę mają dach nad głową.
Deszcz ustał dopiero przed świtem.
Przy pierwszych jego blaskach wsiedli do kajaków i popędzili je szybko.
Słońce skrzyło się na wodzie i na mokrych od deszczu łodygach tataraków.
Lekki wietrzyk zmiatał resztki chmur z nieba i wiszącą jeszcze nad bagnem białawą, mętną zasłonę mgły.

Rozdział XXVIII.

## STRASZNA WIADOMOŚĆ.

Całe dwie doby płynęły małe łodzie kanałem, aż trzeciego dnia Jurek spostrzegł, że wiosłowanie bez przerwy i krótkie, niewygodne noclegi wyczerpały Marynię i słabszych od niego kolegów. Postanowił więc zarządzić dłuższy popas.
Podczas jednego z postojów, gdy pili herbatę na brzegu, rozejrzał się po mapie i powiedział:
— Zbliżamy się do rozległego i niezaludnionego bagna, „Dubowe“. Odwadnia je cała sieć rowów, które osuszają błota i dostarczają wody kanałowi. Spójrzcie na mapę! Tu przechodzi kanał Białojezierski, tam Orzechowski, przecinając bagna od południa na północ, a za nim kilka drobniejszych, a nawet raczej wprost zapewne rowów — Stary Dywiński, Trościaniecki, Kozacki, Mikołajewski, a tuż pod Kobryniem — rów Królewskiej Bony. Nie zaszkodzi nam zobaczyć, jak to w dawnych czasach Polacy starali się zwalczać bagna i wzbogacić Polesie nowemi zagonami ziemi ornej!
— Zapewne! Będzie to bardzo ciekawe! — zawołali wszyscy, ucieszeni z wypoczynku, o który jednak każde z nich wstydziło się upomnieć.
Minąwszy kanał, doprowadzający wodę z jeziora Białego, dopływali do niedużej osady Halik.
Kilku Poleszuków, spostrzegłszy płynące kajaki, wyszło na brzeg i przyglądało im się z ciekawością.
— Gospodarze, — zwrócił się do nich Gruszczyński, — czy moglibyśmy prosić was o gościnę na dzisiejszy dzień i noc? Zapłacimy za wszystko...

Wieśniacy zgodzili się chętnie i zaczęli się naradzać, w jakiej chacie należy ulokować gości. Wreszcie jeden z Poleszuków oświadczył:
— Karp Siwczuk buduje nową kleć... Pokrył ją już strzechą i prycze postawił w obydwu izbach... Niema tam jeszcze podłogi i szyb w oknach, ale zato gościom będzie tam czysto i przestronnie!
Wieśniacy pomogli turystom wciągnąć kajaki na brzeg i zanieść je na podwórze zagrody Siwczuka, młodego jeszcze chłopa, który przed pięciu dopiero laty odbył służbę wojskową w baonie saperów.
Nauczono go tam wielu pożytecznych rzeczy. Po powrocie do wioski stał się budowniczym na całą okolicę. Budował domy, mosty, drogi i uczył sąsiadów jak należy osuszać błotniste łąki.
Słowem Siwczuk stał się niezbędnym dla Poleszuków doradcą i kierownikiem całego niemal życia w okolicy.
Za porady i pomoc brał niedużą zapłatę, żył oszczędnie, nie żałując jednak pieniędzy na dobre narzędzia ciesielskie, stolarskie i rolnicze.
Zarabiał dobrze, więc dokupił sobie dwadzieścia hektarów bagna, odwodnił je i otrzymał doskonałą łąkę, nabył kilkanaście sztuk krów rasowych i dopiero wtedy zaczął wystawiać nową zagrodę.
Nie chciał już Karp mieszkać w niskiej, ciemnej i zadymionej chacie poleskiej.
Niedarmo przecież spędził cały czas służby w Wielkopolsce!
Zbudował więc sobie wysoki, o dużych oknach i ciepłej sieni dom, założył ogródek przed gankiem i wszystko otoczył nowym, pomalowanym na zielono parkanem z cienkich heblowanych desek, ozdobiwszy całą swoją posiadłość pięknie wycinaną bramą ze spiczastemi, rzeźbionemi wieżyczkami po bokach.
Siwczuk i jego młoda żona przyjęli gości uprzejmie i dopomogli im urządzić się wygodnie w przewiewnej kleci, pachnącej żywicą i świeżem drzewem.
Gospodarz na poczekaniu wstawił starą ramę z szybami w otwór okna, aby Marynia, zajmująca tę izbę, nie odczuwała przeciągów.
Hoża, roześmiana Karpowa zawiesiła nad pryczą dziewczynki kawał samodziału, a ziemię posypała wonnym tatarakiem.
Marynia podziękowała jej za opiekę i postanowiła sobie, że na pożegnanie podaruje miłej kobiecinie kawałek różowego mydła o przyjemnym zapachu.
Nie przewidywała wówczas, że nadarzy jej się sposobność czemś innem, a bardziej pożytecznem odwdzięczyć się tym życzliwym ludziom.
Szybko rozmieściwszy swoje szczupłe bagaże, turyści, na zaproszenie Julji Siwczukowej, weszli do domu, gdzie gospodyni przyrządziła już herbatę i postawiła na stół misę z plackami żytniemi i lipową nieckę miodu.
Młodzież ochoczo zajadała ten wiejski przysmak i ze swej strony częstowała gospodarzy herbatnikami i cukierkami owocowemi.
Siwczuk z zainteresowaniem wypytywał Jurka o ich wyprawę i przygody, głośnemi okrzykami wyrażając swoje zdziwienie i zachwyt.
Posłyszawszy o rybackich zamiłowaniach Olka, Poleszuk zawołał:
— To i ja lubię! Jeżeli zechcecie, zaprowadzę was na nasze bagno. Tam w małych jeziorkach, właściwie — kałużach wśród trzcin, można nałapać karasków!

— Czyż innych ryb tu nie macie? — spytał go Malewicz.
— Czasem miętus chwyci przynętę, a na „żywca“[117] można wyciągnąć szczupaka, ale to rzadko! Zato karasi mamy — moc nieprzebraną!
— Dobre są i karasie, jeżeli ochoczo się biorą! — zauważył młody rybak.
— Zaprowadzę was, to sami przekonacie się, ile tego jest! — zaśmiał się Siwczuk.
Poleszuk z Olkiem wybrali się wkrótce na połów ryb i wyszli z domu.
Jurek, wziąwszy ze sobą kodak, skierował się ścieżką, biegnącą wzdłuż brzegu kanału.
Doszedł do przewozu, gdzie stał nieduży prom.
Stary Poleszuk o bielmie na jednem oku przeprawiał podwody na drugi brzeg. Pomagał mu w tem chłopak — niemowa. Biedak ten miał łagodną, zadumaną twarz i niebieskie, smutne oczy.
Gruszczyński sfotografowawszy prom i przewoźników, wszczął rozmowę ze starym Poleszukiem.
Gwarząc o tem i owem, przewoźnik wspomniał, że przeprawiając w nocy bryczkę z technikami, robiącymi pomiary i plany błot, słyszał wycie wilka.
— Dziwy! — mruczał Poleszuk. — Żeby tak mógł wyć w lesie?! Chyba wściekły, abo co?
— Wściekły? — spytał Jurek. — Czyżby się i wilki wściekały?
— Oj, panoczku, i jeszcze jak! — zawołał przewoźnik. — Pamiętam, a było to przed samą wojną, że w moich stronach na bagnie uroczyska Wielki Las pojawiła się wściekła wilczyca. Pogryzła ludzi, psy i bydło... Dziedzic w Jamnicach musiał trzydzieści krów zastrzelić, bo mu się powściekały potem, a na psy, pogryzione przez wilczycę, obławę zarządzono i wystrzelano wszystkie. A co chłopów pogryzły! Leczono ich potem w Pińsku, a przecież pięciu wonczas zmarło...
Jurek zaniepokoił się nagle.
Pomyślał sobie, że Olek jest w tej chwili na bagnie Dubowem, gdzie właśnie, jak twierdził Poleszuk, rozlegało się tej nocy wycie wściekłego wilka. Może i Stach błąka się tam również, wypatrując jastrzębi?...
Szybkim krokiem pośpieszył do wioski.
Rybacy nie powrócili jeszcze. Wyzbicki spał w najlepsze, wyciągnąwszy się na pryczy, i chrapał.
Jurek obudził go i razem poszli do Maryni.
— Stara Siwczukowa zachorowała na „postrzał“[118]. Dałam jej salicylu, natarłam spirytusem kamforowym i robię okłady z gorącego siemienia lnianego. Czuje się już lepiej... Jeżeli będzie przez całą noc pod moją opieką, — jutro wstanie.
Jurek nachmurzył czoło i mruknął:
— Daj jej potrzebne lekarstwa, a okłady niech robi kto inny. Musimy stąd uciekać...
— Uciekać?! Dlaczego? Co się stało? — padły trwożne pytania.
Chłopak opowiedział, co słyszał od przewoźnika, i zakończył taką uwagą:
— Wiecie, że nie jestem tchórzem, ale zrozumiecie, że nie mogę narażać was wszystkich i siebie na niebezpieczeństwo! Co będzie, jeżeli któreś z nas zostanie pogryzione przez wściekłego wilka? Będziemy zmuszeni jechać natychmiast do najbliższego dużego miasta na kurację. Tego leczenia nie można przeprowadzić byle gdzie, bo na to potrzebne są zastrzyki surowicy przeciwko wściekliźnie, bardzo staranna opieka i dozór

nad chorym. Ileż to niepokoju i troski przysporzylibyśmy rodzicom? Musimy więc jak najprędzej płynąć dalej!
Stach potakiwał koledze ruchem głowy.
Marynia patrzała na obydwu skupionym wzrokiem i milczała.
Po długim namyśle powiedziała:
— Dziś nie mogę jechać... Radzę wam nie wychodzić z domu, wyspać się za wszystkie czasy i na zapas. Najprędzej pojutrze możemy odpłynąć...
Jurek zrozumiał myśl siostry i, westchnąwszy, szepnął:
— Pozostańmy tedy, ale musicie dać mi słowo, że nikt z was nosa poza bramę nie wytknie! Zgoda?
— Zgoda... — niechętnym głosem mruknął Stach.
Marynia spojrzała na przyjaciela z wyrzutem i potrząsnęła główką.
— Wstydź się, Stachu! — szepnęła. — Czyżbyś stchórzył?
Chłopak spłonął rumieńcem i odparł z całą szczerością:
— Nie boję się zwykłego zwierzęcia, ale wściekłego... to, przepraszam ciebie, — już inna rzecz! Przed niem czuję strach... Nie ukrywam tego...
— Zrozum, że muszę wyleczyć staruszkę, skoro się podjęłam tego!
— Rozumiem i — przecież nie sprzeciwiam się! Pytacie mnie, czy się boję, powiadam, że boję się, ale zostanę, skoro wy zostaniecie — mówił Stach.
— Postanowiono zatem! — zakończył naradę Jurek. — Pozostajemy, ale nikt nie ma prawa wychodzić poza bramę chutoru Siwczuka!
— Wobec tego — idę znowu spać! — zaśmiał się Stach i ziewnął.
Gdy Marynia udała się do swej pacjentki, a przyjaciel, jakoś dziwnie tego dnia znużony, powrócił na pryczę w kleci, Gruszczyński uzbroił się w grubą żerdź, jedną z tych, które suszyły się przy stodole, i, wlokąc za sobą tę maczugę godną Herkulesa[119], ukradkiem wyszedł za bramę i podążył w stronę bagna.
Trapiła go myśl o niebezpieczeństwie, grożącem Olkowi. Musiał uprzedzić kolegę i Siwczuka o tem, co słyszał od przewoźnika z bielmem na oku.
Przez bagno, w znacznym już stopniu osuszone, na wszystkie strony rozbiegały się ścieżki, wydeptane przez pasące się tam bydło z okolicznych wiosek — Halik, Jamnik, Nowosiółki, Sople i inne, rozrzucone w pobliżu kanałów Królewskiego i Orzechowskiego.
Jurek nie wiedział, którą ścieżką szli rybacy, więc, wybrawszy najszerszą, szedł nią przez krzaki i zarośla wysokich, twardych „wiszów“[120].
Oddalił się już znacznie od wioski, gdy ścieżka urwała się raptownie.
Chłopak ujrzał przed sobą gęstsze haszcze wierzb i wystające nad niemi cienkie, blade osiki.
Twarda gleba pozwalała mu iść dość szybko, więc dążył naprzód, obchodząc małe jeziorko, gdzie z przeraźliwem kraczeniem zrywały się kaczki i płoszyły zaczajone wśród kęp kszyki, które długo potem miotały się nad bagnem, wydając przeciągłe, gniewne jęki.
Z sitowia, machając szerokiemi skrzydłami, wylatywały milczące czaple szare i ciągnęły ku dalekim olszyńcom.
Ku ich ciemnemu pasmu jakieś przeczucie kierowało Jurka.
Przedzierał się więc przez młodą porośl i, zatrzymawszy się w niej na chwilę, krzyknął jak mógł najgłośniej.
— Hop! Hop! Olku-u-u! Hop! Hop!
Ledwie echo tego okrzyku zamarło gdzieś woddali, gdy rozległ się trzask

roztrącanych gwałtownie krzaków, urywane, zdyszane sapanie i szelest rozkołysanych nagle gałęzi.
Gruszczyński stał na niedużej, wypalonej zapewne w zimie polance wśród olszynowego młodniaka i usiłował przebić wzrokiem gąszcz krzaków i wysokich badyli burych chwastów.
Serce kołatało mu w piersi i drżały kolana.
Myśl o wściekłym wilku, wyjącym w nocy letniej, przerażała go.
Stał z podniesioną nad głową żerdzią, gotów w każdej chwili do obrony.
Tymczasem łomot i szelest szybko zbliżały się w jego stronę.
Za chwilę duży, prawie biały wilk wypadł z gęstwiny i rzucił się ku chłopakowi.
Jurek z całej siły opuścił swoją maczugę, lecz chybił.
Od rozmachu i ciężaru żerdzi mimowoli zsunął się z kępy i postąpił kilka kroków naprzód.
Wilk, wbrew swemu zwyczajowi, gdy to raz po raz ponawia swój napad, nie zatrzymując się, przebiegł dalej.
Jurek widział wyraźnie rozwartą jego paszczę, zwisający ozór i spływające z pyska długie nici gęstej piany.
— Wściekły! — mignęła mu myśl i, podniosłszy znów ciężką żerdź, czekał powrotu zwierza.
Wilk pędził przed siebie, jakgdyby ścigany przez sforę psów, i wkrótce zniknął woddali.
Widocznie zapędził się w głąb bagna, oszalały i nieprzytomny.
Jurek przekonał się wkrótce, że basiur był już daleko, gdyż z pod widniejących na końcu bagna drzew podniosło się w popłochu stadko cietrzewi i, z łopotem przeleciawszy nad niewidzialnym w krzakach chłopakiem, wpadło pomiędzy wysokie kępy.
— Szukać, szukać Olka! — wołało coś w sercu Gruszczyńskiego.
Zaczął więc krzyczeć z całej mocy płuc, rozglądając się podejrzliwie i zaciskając w rękach ciężką żerdź.
Upłynęło jednak kilka minut, zanim posłyszał daleką odpowiedź:
— Hop! Hop! Tu-ta-aj!
Pobiegł na ten głos i w pół godziny potem znalazł jeziorko, obrzeżone wysokiemi trzcinami.
W środku jego, usadowiwszy się wygodnie na wystających z wody kępach, siedział Olek, a o kilka kroków dalej — Siwczuk.
Śledząc ruch pływaków, trzymali w rękach wędki.
W chwili, gdy Gruszczyński wychodził na brzeg, Olek wyciągnął rybę.
Złocisty karaś, zginając płaskie, szerokie ciało, trzepotał się na haczyku.
Jurek opowiedział rybakom o szczęśliwie zakończonem spotkaniu z wilkiem.
Opis wyglądu jego i słyszane przez jednookiego przewoźnika nocne wycia przeraziły Siwczuka.
— Nic innego — tylko wściekły! — zawołał, szybko zwijając wędkę. — Trzeba czemprędzej zapędzić krowy na chutor i zwołać sąsiadów, aby ubić wilka, bo inaczej — biedy nam przysporzy!...
Powracali przez bagno, starając się nie robić hałasu.
Poleszuk odszukał swoje stado i, pozbierawszy je do kupy, popędził ku domowi.
Czarno-białe, łaciaste krowy szły niechętnie, rozpierzchały się co chwila i

myczały, zdumione tem, że o tak niewłaściwej porze, gdy słońce stoi jeszcze wysoko, muszą porzucić pastwisko i powrócić do wsi.
Siwczuk i chłopcy bez przygód doszli do chutoru.
Poleszuk obiegł wszystkie chaty i, opowiedziawszy o pojawieniu się wściekłego wilka, namawiał sąsiadów, aby, nie zwlekając, szli z nim na wytropienie podwójnie niebezpiecznego drapieżnika.
Wieśniacy jednak ociągali się z wyjściem na bagno.
— Póki zajdziemy i będziemy szukać — noc zapadnie, a w mroku wilczura łatwiej skradnie się do człowieka i pogryzie! Jutro, skoro świt, hajda — na szarego!
Stach Wyzbicki, posłyszawszy o przygotowującej się wyprawie, zapałał chęcią wzięcia w niej udziału.
— Moja kulka nie zna różnicy pomiędzy zdrowym, a wściekłym wilkiem. Położy równie dobrze i tego i drugiego! — mówił.
— Kulka — tak, ale jak będzie z okiem i ręką — uśmiechnęła się Marynia. — Przecież parę godzin temu przyznałeś się, że masz stracha?... Ręka ci drgnie i oko zawiedzie...
Stach jednak zapomniał już o wszystkiem i, potrząsając czupryną, powtarzał:
— Nic nie zawiedzie!... Zresztą postaram się strzelać do wilka z dalekiej odległości!
Widząc, że nic już nie powstrzyma kolegi od jego zamiaru, Jurek powiedział:
— Pójdę, bracie, z tobą...
— I ja z wami... — jak echo, odezwał się Olek.
Tegoż wieczora do wsi wpadł posterunkowy policji i zgromadził chłopów koło przewozu.
— Na bagnie Dubowem grasuje wściekły wilk! — oznajmił.
— Wiemy już o tem — rozległy się głosy. — Jutro od rana będziemy go szukali...
— To dobrze! — pochwalił policjant. — A śpieszcie się tylko, bo wilk pogryzł już wczoraj kilka psów i krów, dziś zaś nad ranem napadł na chłopa, idącego z poczty i poszarpał mu nogi...
— Nie daj Boże nieszczęścia! — zawołał jeden z Poleszuków. — Trzeba będzie teraz powybijać wszystkie psy, wałęsające się po okolicy. A co się stało z listonoszem?
— Odwiozłem go na stację kolejową i wysłałem do Kobrynia, tam w starostwie zaopiekują się nim, albo przewiozą do Brześcia na kurację. Jadę teraz dalej, a wy od rana zaczynajcie! Dzieci i bydło trzymajcie w domu, psy uwiążcie na łańcuchy, by nie pogryzł ich wilk! Bywajcie zdrowi!
Posterunkowy odjechał, a gospodarze zaczęli omawiać jutrzejszą obławę i skarżyć się, że nikt nie ma broni palnej.
— Z kijem, widłami i siekierą niesporo nam będzie, sąsiedzi, na wściekłego wilka iść! — mruczeli do siebie wieśniacy, ale Siwczuk twardym głosem powiedział:
— Sporo czy niesporo, ale pójdziemy! Ledwie brzeszczyć pocznie, zwołam wszystkich i wyruszymy dwiema partjami. Jedną ja poprowadzę od kanału Białojezierskiego, Wasyl — drugą, od uroczyska Hał...
Młody Poleszuk, pożegnawszy sąsiadów, powrócił do domu, gdzie chłopcy

oczekiwali jego przybycia, aby powiadomić go o swojem postanowieniu.
— To — dobrze! — ucieszył się Siwczuk. — Będziemy mieć choć jedną strzelbę!

Rozdział XXIX.

## TROPEM WŚCIEKŁEGO WILKA.

Chłopcy źle spali tej nocy.
Rozumieli, że wdali się w sprawę bardzo poważną i niebezpieczną.
Cofnąć się już jednak nie mogli. Obiecali swoją pomoc Poleszukom i musieli przyrzeczenia dotrzymać.
Jurek gryzł się tem, że nie mają odpowiedniej broni. Sam na sobie doświadczył już, że kij, choćby najtęższy, może zawieść w stanowczej chwili. Nie łatwą bowiem rzeczą jest powalić pędzącego wilka uderzeniem drąga.
Tymczasem postanowił trzymać się jak najbliżej Stacha, który w razie chybionego strzału, byłby zupełnie bezbronny.
O tem samem myślał też Olek Malewicz, rozważając w jaką broń należałoby się zaopatrzyć, aby skutecznie stawić czoło wściekłemu drapieżnikowi.
Nie czując się dostatecznie silnym, aby władać sprawnie ciężkim kijem, przyszedł do wniosku, że uzbroi się w widły.
Uśmiechnął się do samego siebie i pomyślał:
— Widły — to jakby ość na ryby! Umiem przecież niezgorzej władać tą bronią!
Takie postanowienie uspokoiło go, więc usnął wkońcu.
Wyzbicki przewracał się na twardej pryczy i borykał się z myślami.
Wiedział, że spotkanie z wściekłym wilkiem nietylko groziłoby mu niebezpieczeństwem, ale wymagałoby zabicia i unieszkodliwienia zwierza, trzymającego w oblężeniu całą okolicę.
— Strzelam celnie — rozumował — lecz czy w krzakach potrafię wziąć wilka na cel i czy trafiony padnie odrazu?!
Nagle zdawało się, że dobiega go dalekie wycie.
Uniósł głowę i nadsłuchiwał.
Nie mógł jednak sprawdzić czy nie zawiódł go słuch, bo psy, uwiązane przy budach, zaczęły ujadać i wyć, jakgdyby odpowiadając na jakieś wyzwania.
— Chyba że posłyszałem dobrze — pomyślał i — sen odbiegł go zupełnie.
Chłopak leżał, wpatrując się w ciemność i z niecierpliwością oczekując świtu.
Psy uspokoiły się wreszcie i, brzęknąwszy łańcuchami, wcisnęły się do bud.
Zapadła cisza.
Słyszał teraz wyraźnie najsłabszy nawet dźwięk, rozlegający się w pobliżu.
Przed otworem okna z cichem trzepotaniem skrzydeł przelatywały nietoperze i cykały cienko.

Chrobotała mysz pod ścianą.
Grał świerszcz, ukryty w mchu pomiędzy belkami.
We wsi od czasu do czasu poszczekiwały psy.
Wzdychały leżące na podwórzu krowy i głośno przeżuwały paszę.
W stajni rozległ się głuchy tupot koni.
Tuż przed brzaskiem, jakgdyby w przeczuciu zbliżającej się ważnej chwili, umilkło wszystko i — chłopiec usnął twardym snem.
Obudziły śpiących ciche kroki na podwórzu.
Posłyszeli skrzypienie desek na ganku i szurganie bosych stóp.
— Niebawem świtać zacznie! — powiedział Siwczuk, wchodząc do izby.
Jurek, ubrawszy się szybko, pobiegł ku stodole i siekierą zaczął obrąbywać cienki koniec żerdzi i obciosywać rękojeść. Wkrótce miał już prawdziwą maczugę.
Podniósł ją nad głową i machnął z całej siły.
— Poręczna! Jakoś dam sobie z nią radę teraz! — mruknął z zadowoleniem.
W półgodziny potem chłopcy szli już w partji Siwczuka, obchodząc bagno, gdy tymczasem drugi oddział Poleszuków otaczał je z przeciwnej strony.
Przechodząc przez nieduże wzniesienie gruntu, chłopcy spostrzegli długi łańcuch ludzi, nadciągających od dalekich olszyńców.
Całe bagno Dubowe zostało wkrótce osaczone.
Poleszucy, uzbrojeni w kije, widły i siekiery, powoli posuwali się ku środkowi kotliny, chwilami znikając w wysokich haszczach i zaroślach trzcin.
Nad bagnistą równiną latały w popłochu stada kaczek. Zrywały się czaple i ociężałe bąki, zaniepokojone odgłosami zbliżających się ludzi.
Śmignęła w oczeretach ruda kita lisa. Wypadł zając-błotniak i, ujrzawszy przed sobą człowieka, pomknął przez haliznę, skacząc przez kałuże.
Z kwileniem wzbijały się coraz wyżej krążące nad błotem jastrzębie, odlatywały kanie i małe kobuzy, częstotliwie wymachując skrzydłami.
Gdzieś na prawo od Jurka, idącego tuż przy Stachu, daleko jeszcze rozdarł ciszę przeraźliwy krzyk.
— A — tu, jego! A — tu, wilk!
Dobiegł gwar zmieszanych i strwożonych głosów i zamilkł.
I — znowu pełen przerażenia, a zarazem drażniący okrzyk:
— Pilnuj!...
Jurek, zaciskając w ręku maczugę, i Olek z wystawionemi naprzód widłami wpatrywali się w zbity gąszcz wierzb i wiklin, aby dojrzeć zwierzę i w czas uprzedzić Stacha, który z palcem na cynglu stał o krok przed nimi.
Bystrooki chłopak pierwszy jednak dojrzał coś w gmatwaninie chwastów i pędów wiklinowych, bo raptem podniósł karabinek do ramienia i pochylił głowę nad kolbą.
Nie wystrzelił jednak...
Jakaś jasno szara plama przez krótki ułamek sekundy mignęła w gąszczu i przepadła.
Wyzbicki stał nieruchomo i czekał.
Nagle odwrócił się szybko i pobiegł.
Na lewo, na wysokiej kępie stał Siwczuk z siekierą w ręku. Młody Poleszuk śledził uważnie, czy dobrze idą chłopi i czy nie pozostawiają

gdzieś wolnego wyjścia z matni.
Stach spostrzegł wilka.
Zwierz pędził wprost ku Siwczukowi, płaszcząc się po ziemi i przesadzając rowy.
Miał rozwartą, okrytą pianą paszczę z wywieszonym językiem i podwinięty ogon.
— To ten! — pomyślał chłopak, słysząc rwące się zewsząd krzyki: — Wilki! Wilki! Trzyma-a-aj! Nie daj! A-tu!
Jurek też zobaczył wilka.
W jednej chwili, zapominając o niebezpieczeństwie, przegonił Stacha i popędził ku Siwczukowi.
Dopadł go w tym momencie, gdy wilk, zrobiwszy potężny skok, przeniósł się, jak ptak, nad sitowiem i wczepił się w Poleszuka.
Na szczęście, porwał go za rękaw i połę świtki, oparłszy się przedniemi łapami o pierś zaskoczonego nagle chłopa.
Jurek, zamachnąwszy się potężnie, uderzył wilka maczugą. Jednak, czy się zbytnio pośpieszył, czy też źwierzę zdołało uskoczyć nabok, — cios ślizgnął mu się tylko po zadzie.
Wilk, urwawszy Poleszukowi szmat poły, skoczył w krzaki i zniknął.
Mignął po chwili między kępami, więc Stach strzelił do niego.
— Chybiłem, bo strzelałem z przerzutu — zawołał z rozpaczą w głosie, lecz w tej samej chwili inny wilk, o ciemnym grzbiecie, wybiegł na brzeg rowu i już przysiadł, aby przeskoczyć go — i wpaść do krzaków.
Wyzbicki szybko wziął go na cel i strzelił.
Zwierzę potoczyło się na dno rowu.
Siwczuk i jego goście posuwali się wolno i ostrożnie ku środkowi bagna.
Coraz częściej rozlegały się krzyki, oznajmiające ruchy wilka.
W jednem miejscu powstało zamieszanie, łomot bijących o ziemię kijów i tupot nóg.
— Trzym-a-aj! Dostał mocno... kuleje... Dobi-ja-aj! — ryczeli Poleszucy.
— Ten wściekły kluczy po miocie i nie wychodzi! — zawołał Siwczuk. — Dobrze strzegą chłopi skrzydeł, nie puszczają go!... Chyba i na nas raz jeszcze wybiegnie...
Poleszuk zgadł.
Obchodzili właśnie małe jeziorko, przedzierając się przez sitowie, gdy na przeciwległym brzegu ujrzeli wściekłego wilka. Pędził naoślep, włócząc przetrąconą łapę.
Majaczył pomiędzy krzakami, chwilami znikając w ich gęstwinie.
Stach, umocowawszy się dobrze na nogach, wziął go na cel i prowadził za nim muszkę. Czekał chwilkę aż zwierzę wybiegnie na wąski przesmyk, wijący się wśród haszczy.
Ledwie wilk wynurzył się z pomiędzy wysokich badyli, Stach nacisnął cyngiel.
Zwierz podskoczył i upadł na lewy bok, wyciągając grzbiet i kopiąc ziemię tylnemi łapami.
Stach zmierzył do niego po raz drugi, lecz wilk, niby wąż, błyskawicznym ruchem wślizgnął się znowu do gąszczu.
Siwczuk z Jurkiem już biegli ku niemu.
Pierwszy dopadł ranne zwierzę Siwczuk i w bojowym zapale wydał głośny okrzyk:

— Gotów! Gotów!
Poleszucy biegli ze wszystkich stron, aby spojrzeć na wściekłego wilka. Chłopi z niezwykłą wprawą w jednej chwili rozpalili ognisko i w płomienie jego wrzucili odwiecznego wroga pasterzy, tem bardziej niebezpiecznego, że dotkniętego wścieklizną.
Spaliwszy go, odszukali drugiego, zabitego przez Stacha wilka, i, zdarłszy skórę, wrzucili kadłub jego do ognia.
Po powrocie do wsi Siwczuk opowiedział w domu o wypadkach na bagnie Dubowe.
— Gdyby pan Gruszczyński nie był przyszedł mi z pomocą, — pogryzłby mnie wilk! Nie mogłem podnieść ręki z siekierą, bo schwycił mnie za rękaw...
Julja i staruszka-matka z wdzięcznością patrzyły na Jurka, który natychmiast skierował rozmowę na inny tor, chwaląc Stacha za celne jego strzały.
Poleszuk zachwycał się szybkością, z jaką młody strzelec potrafił wziąć na cel biegnące przez haszcze zwierzę.
— Żebyście widziały, jak padały wilki! Zdawało się że to piorun w nie uderzył! Wystrzału prawie nie słyszałem, tylko coś, jak gdyby trzask suchej gałęzi!... Raz i — gotowe! Wilk już leży, a ja do niego z siekierą...
— Tak! Przyjaciel nasz znakomicie strzela i za celność dostał już kilka nagród! — zauważyła z dumą Marynia.
Wkrótce do izby jeden po drugim zaczęli wchodzić sąsiedzi. Chcieli poznać młodego myśliwego i obejrzeć mały karabinek.
Poleszucy siedzieli długo, gwarząc z gospodarzem i jego gośćmi aż do obiadu.
Wstawszy od stołu, chłopcy zaczęli pakować rzeczy i obejrzeli kajaki, przygotowując się do odjazdu, wyznaczonego nazajutrz.

*
* *

Wczesnym rankiem, pożegnawszy Siwczuków, turyści płynęli szybko kanałem Królewskim, aby przed wieczorem stanąć na nocleg w Horodcu.
Wyruszywszy nad ranem z Horodca, wypłynęli wkrótce na uregulowaną rzekę Muchawiec.
Liczne wioski, dwory, cerkwie i kościoły widniały na obydwu brzegach. Te swojskie już widoki cieszyły młodych podróżników.
Wylądowawszy w Kobryniu, odnaleźli schronisko szkolne i, złożywszy w nim bagaże, obiegli to miasto powiatowe, znane już kronikarzom w. XIII-go. Należało ono niegdyś do Olgierda — księcia litewskiego i jego potomków i dopiero Zygmunt I wcielił Kobryń do Polski.
Jakiś usłużny chłopak pokazał im skromny domek, w którym mieszkał dyrektor powstania r. 1863, Romuald Traugutt, urodzony wpobliżu miasta, w majątku Szostakowo.
Nazajutrz turyści rozpoczęli ostatni etap swej podróży.
Przed wieczorem ujrzeli zdaleka jeszcze wysokie wieże kościelne. Z Muchawca wpłynęli wkrótce na Bug.
Wycieczka kajakowa po wodach Polesia dobiegła końca.
Podróżnicy wylądowali w Brześciu.

Tegoż jeszcze wieczora odwieźli kajaki na przystań i statkiem wyprawili swoje łodzie do Warszawy.
Zwiedzając miasto z zawiadowcą schroniska szkolnego, dowiedzieli się od niego, że Brześć jest bardzo starem miastem, bo w X-ym jeszcze wieku znane było jako potężna twierdza. O władanie tem doskonałem do obrony miejscem walczyła Polska z Rusią Kijowską i Litwą do czasu aż Jagielloni przyłączyli Brześć do korony polskiej.
Bogaty, handlowy Brześć słynął w wieku XVI-ym ze swych szkół, świetnie urządzonej drukarni i wybitnych uczonych, pracujących tu pod opieką Radziwiłłów i Sapiehów.
Po rozbiorze Polski nastąpiły smutne dla Brześcia czasy.
Moskale zburzyli i spalili miasto, leżące w rozwidleniu wód pomiędzy Muchawcem i Bugiem, i zbudowali tu twierdzę, pozostawiając tylko gmachy dawnych klasztorów.
Mieszkańców zaborcy przenieśli o ćwierć mili i wyznaczyli im miejsce na budowę domów.
Wojna światowa i nawała bolszewicka — niewiadomo który to już raz — zamieniła w ruiny i zgliszcza nowy Brześć.
Dźwiga się on teraz z gruzów, odbudowuje, stroi się w piękne, nowe gmachy.
Stojąc na zielonych zboczach wałów fortecznych, Marynia i chłopcy patrzyli na szerokie zlewisko dwu rzek, na potężny wart Bugu i na prawie czarne już ściany borów na zachodzie, jakgdyby zamarłych nad jego korytem.
Wieczorem przy kolacji zawiadowca, wysłuchawszy opowiadań gości o ich pobycie na Polesiu, uśmiechnął się i zauważył:
— Jakie to dziwne! Tylu już turystów zwiedziło nasz kraj, a nikt nie miał tak porywających przygód! A wiecie, moi drodzy, dlaczego?
Wszyscy spojrzeli na niego pytająco.
— Dlatego — ciągnął dalej — że kochacie życie nietylko takie, co dostarcza przyjemności, lecz życie, wymagające walki, trudów i umiłowania, polegającego nie na słowach tylko, ale na czynach. Każdy z was jest prawdziwym człowiekiem, a do takich wyłącznie należy przyszłość. Cieszę się bardzo, że was poznałem.
O północy cała gromadka siedziała już w wagonie.
Pociąg turkotał, dzwonił łańcuchami spięć, zgrzytał hamulcami, uwożąc młodych podróżników coraz dalej i dalej od cichego, głuchego Polesia, gdzie po ostrowach, wśród lasów i bagien siedzą milczący Poleszucy i Polacy, pamiętający dalekich pradziadów swoich, co tu przed wiekami przybyli z Podlasia i Mazowsza na nigdy nieustającą walkę o Polskę i na samotne, ciężkie nieraz życie.
Jurek spojrzał w okno.
Pociąg biegł pomiędzy czarnemi ścianami lasu.
— Puszcza!... — szepnął. — Ta, co broniła Polski od wschodu... pełna legend i bardziej od nich porywających opowieści prawdziwych... Puszcza Białowieska!
Istotnie tor kolejowy przecinał południowe zagony potężnej Puszczy — dumy Polski.
Łapy świerków i konary sosen ciągnęły się ku przyciśniętym do okna młodym podróżnikom i jakgdyby chciały ująć ich za ręce, wprowadzić do

swoich tajemnych ostępów i otworzyć przed nimi nieprzebraną skarbnicę natchnienia, piękna, zachwytu i myśli twórczej — potężnej, jak sama Puszcza, co przez dziesiątki tysięcy lat trwa i trwa nieprzerwanie...

Warszawa, 1935 r.

1.

 Myśliwska nazwa wilków.
  Szczeka.
  Łopaty — rogi łosia, inaczej „rosochy“.
  Łyżki — myśliwska nazwa uszu łosia i jelenia.
  Topiel.
  Świecznik, z palącem się w nim łuczywem, czyli smolnemi szczapami.
  Łuczenje — chwytanie ryb ością.
  „Szost“ — poleska nazwa bosaka.
  Rodzaj łodzi poleskiej.
  Młody dzik.
  Świnie-samice.
  Fajki i szable — górne i dolne kły dzików.
  Talerz — myśliwska nazwa tylnej, okrytej białą sierścią części ciała kozła i sarny.
  Miotełki czarnych włosów na końcach uszu rysia.
  Żółty proszek przeciwko zakażeniu krwi i ropieniu się ran.
  Rosyjską.
  Borsuki.
  Rozlewisko na łąkach.
  Żabry — zeszłoroczne, suche trzciny, leżące na ziemi.
  Duża sieć.
  Mała sieć, używana na Polesiu.
  Faszyny — cięte pręty wiklinowe dla wzmocnienia brzegów rzek, a w czasie wojny — rowów strzeleckich.
  Łodzie poleskie.
  Zamykające się koszyki, noszone na rzemieniu.
  Mała, ręczna sieć.
  Worek z sieci do łapania ryb.
  Czworokątne budowle z grubych płach, okryte darniną.
  Brusznica to samo, co borówka.
  Maciory.
  Żarzące się węgle.
  Schowek na węgle w przedniej części pieca.
  Poleszucy nazywają tak zagrody.
  Papiery, dokumenty.
  Oszajca — osadnik wojskowy na kresach.

 Bagiennej.
 Trzęsawisko.
 Pracować w lesie.
 Poleska nazwa „naganiaczy“, pędzących zwierzynę na myśliwych.
 Tak Poleszucy nazywają łąkę najczęściej błotnistą, porośniętą trawą i krzakami.
 Myśliwska nazwa miejsca, gdzie się składa upolowaną zwierzynę.
 Nietry, biele — różne rodzaje łąk, czasem niedostępnych.
 Podoki — pale z pomostem na nich.
 Osobny budynek, gdzie się przechowuje odzież, przędza i najdroższe dla Poleszuków rzeczy.
 Cmentarz.
 Maksym stary i brodaty przeraził się i uciekł z chaty; cóż to za dziwy, dziatki? Ogień płonie — wielkie dziwo!
 Poleszucy siołem nazywają wieś.
 Miejsce nizinne w lesie, porosłe krzewami.
 Lęgi wilcze.
 Krzyczą.
 Bagno leśne, otoczone trzcinami.
 To znaczy odurzający.
 Ścieżki.
 Grzywa.
 Rogi.
 Łuk, napinany korbą.
 Ogon bobra.
 Spuszczać drzewo — ścinać je.
 Miejsce odgrodzone i surowo ochraniane.
 Kiść — białe włosy na końcu ogona.
 Ogon.
 Olszyńce.
 Twarda, długa sierść na karku.
 Wilk.
 Zbiórka suchego drzewa.
 Dziać barć — robić ją, dłubiąc pień drzewa „bartnicą“.
 Roje.
 Moczarowata nizina w lesie.
 Bagno, porośnięte trawą i trzcinami.
 Lekka łódź poleska.
 Czółenko, zrobione z jednego pnia.
 Mieszkańcy nowej osady.
 Jest to płyn, znajdujący się w brzusznych gruczołach bobra. Z dawnych czasów płyn ten uważany był aż do końca w. XIX-go za potężny środek leczniczy na różne choroby.
 Poleska (właściwie rosyjska) nazwa wozu włościańskiego.
 Brakarz — fachowiec, trudniący się ocenianiem i sortowaniem drzewa, przeznaczonego na sprzedaż w lesie.
 Krwawi.
 Otaczać sznurami z czerwonemi na nich szmatkami miejsca, gdzie w zimie zbierają się wilki.
 Nazwa starego odyńca, mającego guz na czole.

 Iść na dym, mówi się o dziku, biegnącym na myśliwego po strzale.
 Ślady pazurów na korze drzew.
 Polowanie przed świtem.
 Polowanie samotnego myśliwca na zająca.
 Wiosenny śpiew głuszcza.
 Miejsce walk jeleni na wiosnę.
 Samiec — jeleń.
 Rogi.
 Trawa i zioła, rosnące na glebie leśnej.
 Czytaj — dżem, angielska nazwa marmelady.
 Rodzaj jagód leśnych.
 Tasiemka, szeroka na 5 cm.
 Zatoki.
 Zatoka.
 Roślina łąkowa.
 Rodzaj lekkiej, zwrotnej łodzi.
 Korpus Ochrony Pogranicza.
 Dawidgródek, miasteczko nad Horyniem (dopływem Prypeci), gdzie rybacy nawlekają drobne rybki na pręty, solą i suszą.
 Żartobliwa nazwa Poleszuków, stale pływających na „czubarkach“ — małych czółnach.
 Meljoracja — osuszenia błot, a w związku z tem budowa kanałów i dróg.
 Faszyny — splecione z prętów wiklinowych płoty.
 Łowiec, tropiący zwierzęta w puszczy.
 Czartawa — roślina o liściach sercowatych i różowem kielichu, rosnąca po lasach.
 Czermień — roślina trująca, pospolita na mokrych łąkach.
 Nazwa łosia.
 Nazwa dzików.
 Inaczej — gniazda.
 Oczeretami nazywają trzciny, ale również zarośle wierzbowe na bagnach.
 Nazwa młodego niedźwiedzia, nie opuszczającego jeszcze matki.
 Nazwa niedźwiedzia — samca.
 Książę.
 Szczupak.
 Zbawicielowi.
 Reumatyzm.
 Kupało, Kupało, gdzie ty zimą zimowałeś, gdzież ty lato spędzałeś? Zimowałem w pierzynce, lato spędziłem w zielu.
 Stara nazwa pożaru.
 Ducht — przerąbana w lesie linja.
 Kora brzozowa.
 Łom — zwalone drzewa i pnie przy barłogu niedźwiedzim, który nosi nazwę „budowiska“.
 Przynęta z żywej ryby lub żaby.
 Rodzaj bóli reumatycznych.
 Bohater z mitologji greckiej.

120. Chwasty.